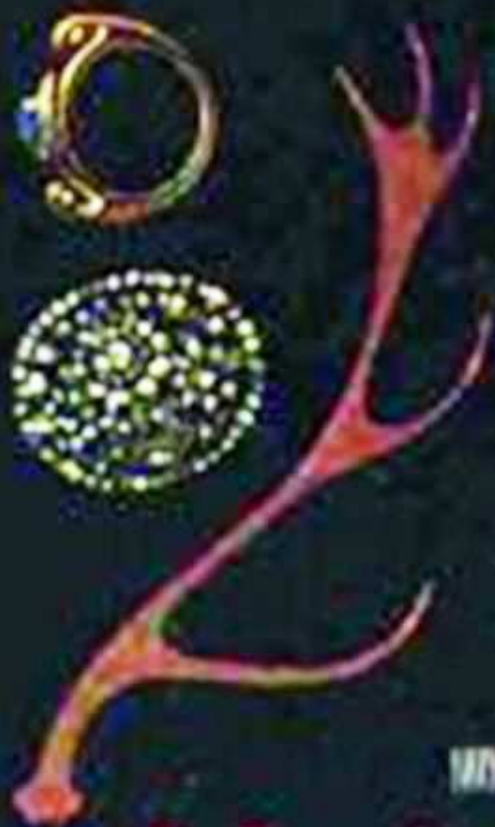


Henryk Gaworski 



WY

**Jelenie**  
jedzą klejnoty

# Henryk Gaworski

## Jelenie jedzą klejnoty



ISKRY WARSZAWA 1978

Redaktor

ANNA KOWALIK

Redaktor techniczny

ANNA ŻOŁĄDKIEWICZ

Korektor

JOLANTA SPODAR

© Copyright by Hehryk Gaworski,

Warszawa 1978.

Printed In Poland

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”,

Warszawa 1978 r.

Wydanie I.

Nakład 100000 + 300 egz.

Ark, wyd. 8,7. Ark, druk. 13.

Papier druk, mat, ki. VII 60 g, rola 93 cm.

Druk ukończono we wrześniu 1978 r.

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego”

Zam, nr 1720/78 F-4

Cena zł28-

## *Rozdział 1*

**G**ranica była jeszcze daleko, ale celnicy już przystąpili do pracy. Przeglądali przedział po przedziale, zadając stereotypowe pytania na temat przewożonych dewiz, kosztowności, alkoholu i innych dóbr materialnych podlegających przy wywozie oczeniu. Tu i tam kazali sobie otworzyć jakąś walizkę, tu i tam zwracali uwagę na niewłaściwe wypełnienie deklaracji, które pasażerowie gorliwie uzupełniali. Ludzie w zielonych mundurach przystawiali pieczętki, podróżni otwierali i zamykali walizki, koła wagonów miarowo stukotały po szynach.

Witold Manicki, który w urzędzie ceł pracował kilka lat, a na trasie wiedeńskiej zaledwie od kilku tygodni, stanął w drzwiach ostatniego przedziału.

- Dzień dobry państwu. Kontrola celna. Zechcą państwo usiąść na swoich miejscach.

Szybkim, ale uważnym spojrzeniem obrzucił szóstkę pasażerów, potem przeniósł wzrok na bagaże. Pasażerowie

podawali przygotowane zawczasu papiery. Celnik wskazał ręką na pękatą walizkę ledwie mieszczącą się na półce.

- Czyj to bagaż?

Sześć par niespokojnych oczu spojrzało do góry.

Manicki znał dobrze nastrój ludzi przekraczających granicę, ich podekscytowanie, jakby mieli coś na sumieniu. Na początku wprowadzało go to w błąd, wychodził bowiem z przekonania, że nie mający nic do ukrycia, nie zachowywaliby się w ten sposób. Sprawdzał więc skrupulatnie wszystkie paczki, walizki i pakunki, nie pomijając nawet damskich torebek i był bardzo zdziwiony, gdy wszystko okazywało się w porządku. Dopiero doświadczenie nauczyło go, że spokój, przynajmniej pozorny, zachowują przeważnie przestępcy, uczciwi zaś podróżni na ogół nie mają pewności, czy wszystko z ich strony jest zgodne z przepisami.

Mała, zasuszone kobiecina podniosła się od okna.

- A to moje, panie, moje - powiedziała drżącym głosem.

- Do córki jadę, do Salzburga, co jest od wojny za Austryjakiem. Wiozę trochę rzeczy z Polski, no bo jakże tak jechać z pustymi rękami. Jeszcze by Austryjaki pomyśleli, że polska dziadówka po prośbie do nich przyjechała, a ja, panie, nigdy dziadówka nie byłam i nie będę. Swój honor mam i nie chcę być na łasce u obcych. Bo chociaż to zięć, ale zawsze obcy. Austryjak.

- Co pani wiezie? - zapytał Manicki oficjalnie, choć argumentacja kobieciny wydała mu się całkiem dorzeczną i sympatyczną.

- Nic takiego, panie, nie wiozę. Parę lnianych szmatek, trochę naszych słodyczy, podarki dla wnuków.

- Wódki pani nie ma?

- Jest i wódka, a jakże. Ale nawet nie powiem ile, bo to mąż z synem pakowali. W deklaracji musi być wyszczególnione, syn wszystko wypisał, bo to, panie, akuratywny człowiek.

- Dobrze, dziękuję. - Celnik oddał kobiecie podstemplowaną deklarację.

- To co, panie, otworzyć?

- Dziękuję, nie trzeba. Wierzę pani na słowo. - Manicki zwrócił się do pozostałych podróżnych. - Czy nikt z państwa nie zgłasza żadnej dodatkowej rzeczy do oclenia?

- Ja mam tylko to, co w deklaracji - powiedział spocony grubas, siedzący obok kobieciny pod oknem.

- Ja też - uśmiechnął się chłopak w kraciastej koszuli, wyglądający na studenta.

Trzej pozostali pasażerowie - dwaj mężczyźni i kobieta - powtórzyli to samo. Jednemu z podróżnych Manicki polecił otworzyć neseser, który sprawdził szybko, z zawodową rutyną. Teraz zwrócił się do kobiety, której uroda od pierwszej chwili rzuciła mu się w oczy.

- A pani? Nic pani nie ma do zadeklarowania, naprawdę?

Smoliste źrenice, na poły przykryte powiekami, zaświeciły nieznacznie.

- Nic, poza lojalnością wobec władzy ludowej - powiedziała, odsłaniając w uśmiechu białe zęby. - Ale to chyba nie podlega ocleniu?

Witold Manicki miał poczucie humoru, jednak ten dowcip wydał mu się trochę naciągany. Może dlatego, że miał stanowić dowód swobody jego pięknej autorki.

- Owszem, to nie - powiedział z ledwie wyczuwalną złośliwością. - Ale w deklaracji napisała pani, że ze złotych przedmiotów wywozi tylko obrączkę i pierścionek, a na pani rękach widzę jeszcze bransoletkę i zegarek.

Kobieta roześmiała się nerwowo.

- Nie sądzi pan chyba, że to złoto? - wyciągnęła do niego rękę. - Proszę, niech pan sprawdzi. Przekona się pan, że nie wszystko złoto, co się świeci.

Nie potrzebował sprawdzać. Doskonale wiedział, że biżuteria była sztuczna, zbyt wiele widział w życiu podobnych błyskotek. Udawał jednak, że ma wątpliwości.

- Nie jestem jubilerem - odparł. - Skąd mogę wiedzieć, czy mówi pani prawdę?

Kobieta hamowała zniecierpliwienie.

- Może pan wobec tego zatrzymać te „skarby” w depozycie. Odbiorę przy powrocie, a pan w tym czasie uzyska opinię ekspertów.

Demonstracyjnie zaczęła odpinać bransoletkę. Manicki wyglądał na szczerze zafasowanego.

- Sam nie wiem, jak mam postąpić. Dużo pani tego ma?

Smoliste oczy przez króciutki moment zatrzymały się na leżącej obok torebce. Manickiemu chciało się śmiać z jej konsternacji.

- Chyba nie chce pozbawiać mnie pan wszystkich błyskotek? - zapytała z wyraźnym niepokojem. - Jak pan sobie wyobraża kobietę pozbawioną biżuterii? Zresztą, jeśli pan sobie życzy, mogę całe to bogactwo wpisać do deklaracji. Słowo honoru, że przywiozę je z powrotem.

Za parę minut pociąg zatrzyma się na granicy. Manickiemu nie chciało się jednak kończyć tej przekornej rozmowy z piękną pasażerką. Ruchem głowy wskazał na torebkę.

- Zechciałyby pani pokazać, co pani tam ma?

Tym razem kobieta zbladła najwyraźniej. Uśmiechnęła się z przymusem.

- Proszę bardzo, mogę pokazać.

Gdy otwierała torebkę, jej ręce leciutko drżały. Podróżni

przyglądali się tej scenie z napięciem, grubas pod oknem chusteczką ocierał pot z czoła. Tylko chłopak wyglądający na studenta przyglądał się ironicznie celnikowi, przejrzawszy jego grę. Manickiemu zrobiło się głupio, postanowił się wycofać.

- No dobrze - powiedział. - Niech pani...

Nagle oczy mu zabłyśły. Zdecydowanym ruchem Wyjął kobiecie z rąk torebkę, otworzył szerzej. Wśród jabloneksowych świecidełek i tombakowych błyskotek dojrzał coś, co przyprawiło go o bicie serca. Nabyta w ciągu kilku lat rutyna pozwoliła mu jednak zachować spokój. Piękną nieznajoma nie była tak niewinna, za jaką pragnęła uchodzić. Istniała możliwość pomyłki, oczywiście, ale nie mógł ryzykować.

- Muszę panią z sobą pofatygować - powiedział zamykając torebkę.

- Z jakiego powodu, dokąd? - ciemne oczy kobiety jeszcze bardziej pociemniały od lęku.

Manicki był teraz tylko chłodnym urzędnikiem, rzeczowo wypełniającym swój obowiązek. Orientalna uroda kobiety nagle przestała na niego działać.

- To nie potrwa długo, miejmy nadzieję - jego głos był obojętny. - Trzeba dokonać pewnej formalności. Bo, widzi pani - dodał pozornie bez związku - tak się złożyło, że jestem z wykształcenia historykiem sztuki.

## ***Rozdział 2***

**W** gabinecie komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej odbywała się narada. Uczestniczyli w niej, oprócz gospodarza, przedstawiciele Komendy Głównej, pułkownik Jankowski i oddelegowany od toku do tutejszej komendy major Grot. Referował pułkownik Jankowski:

- Sprawa, którą przedstawię, nie dotyczy tylko waszego



terenu działania. Być może jedynie przypadkowo o was zaha-  
czyła. Wiecie jednak równie dobrze jak ja, że w naszej pracy  
raczej nie ma przypadków, dlatego nie wolno nam lekceważyć  
żadnego drobiazgu. Proszę więc, abyście na wszystko, co się u  
was wydarzy, zwracali teraz baczną uwagę także pod wzglę-  
dem ewentualnych związków tych wydarzeń ze sprawą, z  
którą do was przyjechałem.

Jankowski pociągnął łyk kawy i uśmiechnął się do majora,  
bawiącego się machinalnie pudełkiem papierosów.

- Możesz zapalić, Alfred. Komendant chyba nie będzie  
miał nic przeciwko temu?

- Nie, skądże - roześmiał się pułkownik Zbarski. - Za-  
bronić Grotowi palenia, to od razu zrobić sobie z niego wroga.  
Wolę nie ryzykować.

Jankowski także wyjął papierosy, zaciągnął się dymem.

- Przed trzema mniej więcej laty wykryliśmy nadużycia  
w jednym ze stołecznych sklepów Desy. Nie byłoby w tym  
może nic nadzwyczajnego - ostatecznie nadużycia takie zda-  
rzają się od czasu do czasu - gdyby nie fakt, że jeden z pra-  
cowników antykwariatu zeznał podczas śledztwa, iż nielegalne  
przyjęcie do sprzedaży dwóch statuetek chińskich z epoki  
Ming - a o nie w tym wypadku chodziło - i prawie natychmia-  
stowe ich upłynnienie nie stanowiło wyjątku w działalności  
sklepu, lecz raczej regułą. Nieraz już się zdarzało, że kierow-  
nik polecał przyjąć do komisju jakiś cenny, czasami bardzo  
cenny przedmiot od osoby nieznannej, nie zadając sobie nawet  
trudu sprawdzenia tożsamości tej osoby na podstawie dowodu  
osobistego. W takim samym trybie wypłacano potem należ-  
ność, niekiedy zupełnie innej osobie, jeśli powołała się na  
nazwisko sprzedającego.

Ta sprawa i jeszcze kilka innych, które przy okazji ujawniono, nie były jednak najważniejsze. W toku drobiazgowego śledztwa natrafiono na ślad przestępstw zupełnie innego rodzaju, z którymi na taką skalę dotychczas nie mieliśmy do czynienia. W wielkim skrócie: uzyskaliśmy podstawy do przypuszczeń, że w Polsce działa rozgałęziona szajka handlowo-przemysłowa, której głównym obiektem zainteresowania są kosztowności. Nie kosztowności w ogóle - te rzeczy nie są obce naszym specjalistom od dewiz, złota i klejnotów - lecz kosztowności jako dzieła sztuki. Diademy, klamry, pierścienie, brosze, kolie - przede wszystkim o historycznej wartości - stanowią główny cel działalności gangu.

Nie muszę wam mówić, że łatwość wyjazdu za granicę, ożywienie międzynarodowych kontaktów, nie tylko służbowych, oficjalnych, lecz także prywatnych, stwarza sprzyjające warunki działania dla rozmaitego rodzaju niebieskich ptaków, większych i mniejszych kombinatorów złąknionych użycia za wszelką cenę, byle nie za cenę uczciwej pracy. Jednak to, co się od pewnego czasu dzieje na podziemnym rynku kosztowności, specjalnie zaś kosztowności o historycznym rodowodzie, nie jest działaniem na oślep, nie jest działaniem li tylko poszczególnych osobników. Na rynek wkroczyła znakomicie zorientowana w jego możliwościach organizacja, z którą, jak dotychczas, nie bardzo możemy sobie poradzić. Chwytamy, owszem, tego i owego przestępcę, tu i tam likwidujemy meliny i punkty kontaktowe, ale świetnie zakonspirowany sztab organizacji i główny teren wymiany kosztowności na dolary i złotówki pozostają poza zasięgiem prawa. A jednocześnie u jubilerów Amsterdamu i Londynu, Rzymu i Paryża, nawet na drugiej półkuli - w Stanach, pojawiają się przedmioty o nieocienionej wprost wartości historycznej dla naszego narodu,

przedmioty, których pochodzenie nie może budzić żadnej wątpliwości. Jednak drogi, jakimi te kosztowności idą za granicę, mimo ofiarnej pracy wielu naszych ludzi, pozostają ukryte. Dopiero niedawno, na początku lata, kontrola celna przyłapała pewną panią, jak próbowała przemyścić za granicę platynową, zdobioną rubinami bransoletkę, niegdysiejszą własność Izabelli Czartoryskiej, słynnej założycielki Świątyni Sybilli i Domu Gotyckiego w Puławach. Bransoletka znajdowała się przed wojną w jednym z naszych muzeów, jednak podczas okupacji hitlerowskiej ślad po niej zaginął. I oto teraz, zaginiony od kilku dziesiątków lat, klejnot znalazł się nagle w posiadaniu pani wyjeżdżającej, jak miała napisane w paszporcie, do Austrii. Próba wywiezienia bransoletki nie udała się. Docieklivość urzędnika celnego, Witolda Manickiego, udaremniła zamiar owej „turystki”.

- No dobrze - wtrącił komendant Zbarski. - Ale co to ma wspólnego z nami, z naszym terenem?

Jankowski wzruszył ramionami.

- Może to tylko przypadek, nie wiem. Ale, jak wiemy, w naszej służbie każdy przypadek może mieć znaczenie. Otóż owa zatrzymana na granicy pani, Zofia Poznańska, pochodzi z waszego miasta.

- Ostatecznie, każdy skądś pochodzi - zauważył filozoficznie Zbarski.

- Właśnie - zgodził się pułkownik. - Poznańska pracowała tutaj w zarządzie Lasów Państwowych, ale od trzech lat mieszka w Warszawie. Wyszła za mąż za jednego z warszawskich jubilerów, który umarł przed niespełna rokiem. U was jednak bywała od czasu do czasu, rzekomo z wizytami u znajomych. W śledztwie podała kilka adresów, które trzeba będzie sprawdzić, choć osobiście nie sądzę, aby owi znajomi mieli z przemytem kosztowności coś wspólnego.

- A co z bransoletą? - zapytał Grot, korzystając z chwili przerwy w relacji Jankowskiego. - To znaczy, gdzie ją nabyła, od kogo, w jakich okolicznościach?...

Pułkownik uśmiechnął się lekko.

- To jeszcze jeden powód mojego do was przyjazdu. Poznańska twierdzi, że bransoletkę nabyła w tym mieście, w jednym ze sklepów jubilerskich.

- Nic łatwiejszego, jak sprawdzenie tego faktu - wtrącił komendant. I dodał z przekąsem: - Nawet, jeśli nie pamięta adresu tego sklepu.

- Obawiam się, że nie będzie to takie proste - Jankowski nie przestawał się uśmiechać. - Poznańska bowiem nabyła bransoletkę od przypadkowego klienta, którego spotkała właśnie w sklepie i który nosił się z zamiarem oddania jej do komisu. Sklep o tym nie wiedział, ponieważ nasza znawczyni kosztowności uprzedziła go w transakcji.

- Trele-morele - powiedział Zbarski. - Ktoś musiał przecież ocenić wartość przedmiotu, jakiś rzeczoznawca. Takich rzeczy nie kupuje się na piękne oczy.

- Pewnie, że trele-morele - przyświadczył Jankowski. - Ale Poznańska ma jeden ważki argument na korzyść swojej wersji. Była przecież przez kilka lat żoną jubilera.

Zapanowało milczenie.

- Tak - odezwał się wreszcie komendant. - Chytra sztuka z tej babki. A może po prostu mówi prawdę?

- To jest właśnie do ustalenia, między innymi.

- No cóż, majorze - powiedział Zbarski do Grota. - Będziesz się musiał tym zająć.

- Tak jest, obywatelu komendancie - wyprostował się Grot na krześle.

- Tym i, być może, jeszcze paroma innymi sprawami - dodał pułkownik Jankowski. - W każdym razie powtarzam: wszystko, co by się zdarzyło na waszym terenie, musi być

brane pod uwagę również pod względem ewentualnego związku z tą sprawą. Szczegóły dotychczasowego naszego działania macie tutaj - pułkownik podał Grotowi tekturową teczkę. - W razie czego wiesz, jak się ze mną skontaktować. Grot sięgnął po kolejnego papierosa.

### *Rozdział 3*

**M**ężczyzna bawił się kieliszkiem.

- Jeśli to prawda - powiedział wolno - jeśli nie dałeś się napuścić na wodę, to po sfinalizowaniu tego interesu, będziemy mogli na pewien czas zwinąć żagle.

- Zobaczymy - powiedział drugi mężczyzna. - Zobaczymy, z tym zwijaniem żagli...

- W każdym razie będzie to najpoważniejszy interes, z jakim dotychczas mieliśmy do czynienia. Żeby tylko...

- Co, żeby tylko?

- Fucha z Poznańską kosztowała nas za drogo - powiedział pierwszy sucho.

- Nas? - wpadł mu w słowo tamten. - O ile wiem, nie straciliśmy ani grosza. To było jej osobiste ryzyko. Wyłącznie.

Mężczyzna z kieliszkiem skrzywił się niechętnie. Był przy stojny, nawet ów grymas niechęci nie odebrał uroku jego smagłej twarzy.

- Nie chodzi o forszę. Przez tę cholerną bransoletę cała milicja stanęła na nogi. Chyba żadnemu z nas na tym nie zależało?

- Robisz z igły widły - powiedział drugi uspakajająco. Był starszy od swojego rozmówcy przynajmniej o piętnaście lat, siwa czupryna nadawała mu wyrazu godności i powagi, których tamtemu brakowało. - W żadnym wypadku nas to nie dotyczy.

Siwy robił wrażenie lekko zniecierpliwionego.

- Dlaczego przesyłka nie poszła normalną drogą?
- Przecież mówiłem. Babka chciała mieć towar przy sobie. Wyjeżdżała legalnie, powinno się było udać.

- Ale się nie udało.

- Jej sprawa. Nie mogłem się nie zgodzić. Ostatecznie, pomogła nam w paru sprawach, za które miała prawo oczekiwać rewanżu.

- Jak to było z tą bransoletą?

- Zwyczajnie. Cynk od kierownika sklepu, parodniowa ekspertyza, żebyśmy mieli czas przygotować transakcję, potem babka czekała już tylko na klienta. Wiedziała, kiedy się mniej więcej pojawi, miała jego dokładny rysopis. Sprawa nie przeszła nawet przez sklep.

- A jak znajdą faceta i dowiedzą się, że zgłaszał bransoletę do sprzedaży i że kierownik sklepu skierował go do ekspertyzy.

- No to co? Kierownik z czystym sumieniem potwierdzi jego słowa. Po prostu powie prawdę. Właściciel bransoletki nie miał obowiązku sprzedawać jej w państwowym sklepie. Zwłaszcza że prywatny kontrahent zapłacił mu więcej niż wynosiła jej oficjalna wartość. I to zapłacił na rękę, bez prowizji dla przedsiębiorstwa. Poznańska nie ma żadnych powodów podawać innej wersji. Wie tak samo dobrze jak ty i ja, że wobec prawa odpowiada jedynie za próbę wywozu przedmiotu podlegającego wprawdzie ochronie, ale stanowiącego jej bezsporną własność. Ta odpowiedzialność byłaby zupełnie inna, gdyby... Nie, mój drogi. Od tej strony nic nam nie grozi, jestem o to spokojny.

Młodszy wziął do ręki butelkę francuskiego koniaku. .

- Jeszcze po kieliszku?

- Nie widzę przeszkód.

Stuknęli się kieliszkami. Wyszczęli po łyku złocistego płynu.

- Szkoda tylko, że ta cholerna bransoletka przechodziła przez Bydgoszcz - mruknął przystojny. - Tamten teren powinien być czysty.

- Trudno było proponować facetowi przyjazd do Warszawy - zaczął się siwy. - Albo do Rzeszowa.

- Dobra - w głosie przystojnego brzmiała ugodowość. - Nie mam wątpliwości, że przemyślałeś wszystko do końca i wiesz, co mówisz. Jak proponujesz załatwić sprawę Radziwiłła?

- Tutaj nie wolno nam iść na żaden eksperyment. Ściśle trzymajmy się wypróbowanej drogi. Odbiór, zawiadomienie o wysyłce, przyjęcie towaru na miejscu i dalej jak zwykle. Biznes jest dla nas za poważny, abyśmy mieli ryzykować. Zresztą jedziesz tam i będziesz miał oko na wszystko. Nasz rezydent - siwy uśmiechnął się z leciutką ironią - dotychczas nie zawiodł, ale kiedy w grę wchodzi miliony... Dlatego musisz tam być do końca.

Młodszy mężczyzna zmrużył oczy.

- Denerwuje mnie ten zafajdany redaktor. Co on wie? Jeśli dalej będzie wtykał nos w nie swoje sprawy, może narobić nam bigosu.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział siwowłosy. W jego słowach zabrzmiała ledwie wyczuwalna groźba. - W tej konkretnej sprawie nie powinno być kłopotów. Ale na przyszłość... Są przecież sposoby przywoływania ludzi do porządku. Zostaw to mnie.

Przystojny podeszedł do otwartego okna. Rzucił okiem na skwer pełen bawiących się dzieci, potem przeniósł spojrzenie na błękitne, ani jednym obłoczkim nie zaćmione niebo. Powiedział:

- Zapowiada się piękne polowanie. Żeby tylko pogoda się nie zepsuła.

## *Rozdział 4*

**J**ajecznica na wędzonym boczku z dodatkiem odpowiedniej ilości przysmażonej cebuli była gotowa i Węgierski obwieścił stanowczo, że najwyżej po trzech minutach podaje do stołu. Pokrojony przez redaktora Rudka chleb piętrzył się w apetycznych stertach, kawa stygła, po półmisku z pomidorami łąziły muchy. Dalsze czekanie rzeczywiście nie miało sensu.

- Sam sobie winien - burczał Węgierski rozdzielając jajecznicę na trzy talerze. - Dobrze wie, bo sam za tym gardłował, że śniadanie jadamy punktualnie o dziewiątej. A teraz, dzięki Bogu - spojrzal na tykający głośno wielki i chyba bardzo stary zegar ścienny - mamy dziesiątą za dwadzieścia. Czuję cholerny głód i żadnych wyrzutów sumienia.

- Ostatecznie, może sobie sam przyrządzić żarcie, jak wróci - dodał dziennikarz. - Jest z czego.

Trzeci z myśliwych, inżynier Wójcik, roześmiał się złośliwie.

- I sam będzie musiał pozmywać po sobie naczynia. A nie lubi tego, oj, nie.

Zasiedli we trzech do stołu i wzięli się do jedzenia. Jedli jednak bez zwykłego apetytu, jakby z konieczności. Nawet dzwonienie łyżek o talerze było jakieś niemrawe. Dwa teriery - Aga i Ber - siedziały na podłodze i pożądliwie, ale karnie, przyglądały się ludziom, czekając na swoją kolej.

- Roman strzelił byka - powiedział inżynier wycierając talerz kawałkiem chleba. Był oklapnięty, nie starał się tego ukrywać. - Dlatego jeszcze nie przyszedł. Pewnie patroszy.

- Gadanie! - wzruszył ramionami Węgierski. - Nawet dobrą łąnię trudno jest obrobić w pojedynkę, a co dopiero



byka. Mówisz, jakbyś pierwszy raz polował.

- To jak wytłumaczyć jego spóźnienie? - zapytał Wójcik.  
- Chyba nie zabłądził.

Rudek popatrzył na kolegę z politowaniem.

- Roman zabłądził? Wprawdzie poluje od niedawna, ale ma świetny zmysł orientacji w terenie. Wiem coś o tym. Poza tym akurat tutaj przyjeżdża od paru lat i zna chyba każde drzewo i każdą rysę na słupku oddziałowym.

- Założę się o pół basa, że spotkał jakąś Krysę Leśniczkę i dlatego zapomniał o śniadaniu - powiedział z przekonaniem dziennikarz. - My sobie tu opowiadamy na jego temat gadki-szmatki, a on się z nas śmieje w kułak.

Węgierski spojrzał na niego przeciągle.

- Najbardziej prawdopodobna wersja. Wczoraj w sklepie w Mękowie o mało ze skóry nie wyskoczył, tak podwalał się do ekspedientki. Zafundował jej paczkę pralinek, a gruchał tak, jakby miał cały gołębnik w gębie. Ledwo go zaciągnąłem do samochodu.

- Cały Roman - roześmiał się Rudek.

- Tak. To by wyjaśniało jego spóźnienie - zgodził się Wójcik. Wstał, przeciągnął się, ziewnął szeroko. - Dobrze, że dzisiaj nie moja kolej na zmywanie. Idę spać i niech was ręka boska broni, żeby mnie budzić przed trzecią. Sztucer kładę obok siebie na łóżku. Nabity.

Wyszedł z kuchni nie przestając ziewać. Dziennikarz wyjął z szafy pęto kaszanki, przełamał je sprawiedliwie na dwa kawałki, gwizdnął na psy i drugimi drzwiami wymknął się z nimi do ogrodu. Węgierski, który zabrał się do sprzątanía, słyszał, jak kolega bawi się z psami, każąc im skakać po zawieszoną wysoko na gałęzi kaszankę, a w kilka minut później - jak rozmawia z nadleśniczym. Nadleśniczy chciał się dowiedzieć, kto tuż po wschodzie słońca strzelał i do czego, na co Rudek odpowiedział, że nie słyszał żadnego strzału. Chyba

żeby redaktor Rolak, który jeszcze nie wrócił, miał jakieś spotkanie i rzeczywiście coś ustrześlił, co by zresztą tłumaczyło jego dotychczasową nieobecność.

Głosy ucichły z drugiej strony zabudowań, gdy Węgierski ostatni wypucowany i wytarty do sucha talerz chował do kredensu. Następnie wyszedł do sieni, skąd strome schody prowadziły na górę, do pokoiów gościnnych i do biura nadleśnictwa. W drzwiach sekretariatu stanęła właśnie pani Grażyna z plikiem papierów w ręku, jak zwykle uśmiechnięta i jak zwykle w obcisłej sukience, która nieprzyzwoicie dokładnie, wręcz prowokacyjnie, opinała jej wysmukłą figurę.

- Dzień dobry - powiedziała może trochę za bardzo modulowanym głosem. - Co dzisiaj na rozkładzie?

Starał się nie okazywać wrażeń, jakie na nim wywierała. Uśmiechnął się nijako.

- Dzień dobry. Niestety, na rozkładzie nici. Zwierzyna mnie unika.

- Widocznie czuje, że spotkanie z panem nie wyszłoby jej na zdrowie - zaśmiała się z kokieteryjną ironią. - W każdym razie ja na miejscu jakiejś łani czy sarny również starałabym się pana unikać.

- Niesłusznie. Kozy jako zwierzyna łowna mnie nie interesują.

- Mam za swoje - potrząsnęła głową wcale nie obrażona. - Mamusia wbijała mi w łepetynę od dziecka, abym nie zaczęła mężczyzn, bo to się zawsze smutno kończy. Nie mówiąc o tym, że to wcale, ale to wcale nie wypada.

- Pani wszystko wypada - nie zmienił tonu. - A zresztą, jest mi to obojętne.

Była już w drugim końcu korytarza.

- Mamusia mówiła mi jeszcze, że co drugi mężczyzna to dżentelmen. Ale ja mam pecha od dziecka, bo spotykam

zawsze tego pierwszego. Niech pan idzie spać, Nemrodzie. Jest pan zmęczony, a to nie sprzyja zachowaniu pogody ducha.

Kiedy zatrzaskała za sobą drzwi pokoju, odwrócił się z uczuciami wprawdzie mieszanymi, jednak z wyraźną przewagą złości. Pani Grażyna - nie pamiętał jej nazwiska, ale wiedział, że miała dwadzieścia sześć lat, że była inżynierem leśnikiem i pełniła tutaj, mimo młodego wieku, funkcję adiunkta - podobała mu się o wiele bardziej, niżby sobie życzył. Kilkakrotnie próbował smalić do niej cholewki, ale, jak dotychczas, nie mógł się pochwalić nawet cieniem sukcesu.

Kiedy w parę chwil później kładł się do łóżka, poczuł nagłe zaniepokojenie. W zagraconym pokoju, który dzielił z Rola-kiem, jakiś szczegół wydał mu się inny niż zwykle, nie na swoim miejscu. Sennym już wzrokiem powiódł po pokoju, ale zmęczenie wzięło górę, oczy zamknęły mu się same. Pomyślał jeszcze niejasno o Romanie Rolaku i wzdrygnął się szarpnięty niespodziewanym lękiem, którego przez dłuższą chwilę nie był w stanie opanować.

Choć przecież wszystko było chyba w porządku.

## *Rozdział 5*

**I**nżynier Wójcik leżał w łóżku w spodniach i koszuli, kiedy rozległo się raptowne, pojedyncze walnięcie w drzwi i do pokoju wkoziółkowała pani Rzęsa, księgowa nadleśnictwa. Właśnie wkoziółkowała, nie weszła. Kto choć raz widział jej krótkie, beczułkowate nogi, na których bez przerwy kołysał się okrągły tułów, ten miał wrażenie, że pani księgowa nie chodzi, lecz koziołkuje na podobieństwo dziecinnego wańki-wstańki, która nawet postawiona na głowie, po kilku gwałtownych przechyłach wraca w końcu do jako tako normalnej pozycji,

dopóki ktoś czy coś znowu jej z tej pozycji nie wytrąci. Wójcik znał jednak panią Rzęsę i wiedział, że jej śmieszna postawa i ruchy ukrywają twardego charakter i wcale nie śmieszny stosunek do życia i ludzi.

- Pan redaktor... pan redaktor Rolak nie żyje! - zawołała księgowa od progu. - Nie żyje na amen! Zabity w lesie! Niech pan zaraz przyjdzie do pana nadleśniczego, pan nadleśniczy prosi, żeby zaraz, natychmiast, mój Boże, taki miły pan, mój Boże, że też to musiało paść na niego!

Znowu gibnęła się i zanim inżynier zdążył otworzyć usta, wykoziółkowała na korytarz. Nawet kiedy zniknęła w swoim biurowym pomieszczeniu, słyszał jeszcze jej nie ustający lament.

Ubrał się w pośpiechu, obciągnął koszulę, kilkoma ruchami grzebienia doprowadził do porządku gęstą, siwiejącą już czuprynę i nie całkiem jeszcze rozbudzony ze snu udał się do gabinetu nadleśniczego. Gospodarz odkładał akurat słuchawkę telefonu.

- Wysłałem na miejsce naszego sekretarza i jednego robotnika - powiedział do inżyniera. Starał się mówić spokojnie, ale przychodziło mu to z największym trudem. Twarz miał szarą. - Przypilnuj zwłok, zanim przyjedzie milicja. Właśnie do nich dzwoniłem.

- Zwłoki? Milicja? - Wójcik wpatrywał się w nadleśniczego zdumionym wzrokiem. - Pan wybacz, panie Józefie, ale nic z tego nie rozumiem.

Nadleśniczy spojrzał na niego ciężko.

- Jak to... To pan nie wie?

- Obudziła mnie przed chwilą pani Rzęsa. Coś plotła o jakimś zabitym i żebym zaraz się u pana zjawił, ale byłem tak zaspany, że nie bardzo wiem, o co chodzi.

- Pański przyjaciel... pan redaktor Rolak nie żyje. Znalazł go niedawno jeden z robotników nadleśnictwa. Zastrzelony.

Myśliwy w dalszym ciągu wydawał się nie rozumieć.

- Roman? To niemożliwe. Skarżył się ostatnio na serce, ale była to zwyczajna nerwica. Wiem, bo przeprowadzał wszystkie możliwe badania. - I nagle, jakby dopiero teraz dotarł do niego cały sens tego, co mówił nadleśniczy, krzyknął: - Zastrzelony! Rolak zamordowany?! Co pan wygaduje, skąd pan wie? To przecież... To przecież niemożliwe!

- To fakt - powiedział cicho nadleśniczy. - Niestety.

- Ale kiedy, w jaki sposób, gdzie?! - Grzegorz krzyczał w dalszym ciągu. - A przede wszystkim, kto go zabił? I za co?

- Sprawcę na pewno znajdzie milicja, która lada chwila powinna tu być. Myślę, że zrobił to jakiś kłusownik.

- Pójdę tam - zdecydował Grzegorz.

- Nigdzie pan nie pójdzie - nadleśniczy mówił głosem stanowczym, nieco ochryple. - Zakaz milicji. Chyba że razem z nimi. Jeśli pozwolą.

## ***Rozdział 6***

**S**klep spółdzielni gminnej w Klonowie otwierano dopiero o dwunastej w południe. Prawdopodobnie dlatego, że wcześniej nie byłoby klientów, dorośli bowiem mieszkańcy osady pracowali w lesie lub w polu, dzieci zaś przebywały wówczas w szkole. Cały Klonów miał zresztą zaledwie sześć zagród i tyleż rodzin, nie licząc pracowników nadleśnictwa. Większość robotników leśnych przyjeżdżała motocyklami i rowerami z pobliskich wsi i udawała się prosto na miejsce pracy do wyębów i zalesień. Dopiero po południu wpadali do sklepu na

piwo albo po papierosy, niekiedy dla poczynienia niezbędnych zakupów do domu.

Redaktor Rudek trafił do sklepu, gdy wąsаты facet z nosem koloru i kształtu pieczonego kartofla nalewał „łzy sołtysa” do dwóch musztardówek, z których jedna stała przed ekspedientką, druga zaś wystawała samą tylko górną krawędzią z jego olbrzymiej, sękatęj łapy.

- O, nasz szanowny pan myśliwy! - zawołał wachał głosem, który świadczył, że rozlewana właśnie butelka nie była pierwsza, choć od otwarcia sklepu nie minął jeszcze kwadrans. - Świetnie, że pan przyszedł, napije się pan z proletariatem.

- Witam, pani Agatko, witam, panie Klekot - Rudek z przyjazną kpiną ukłonił się od drzwi i podszedł do kontuaru. - Widzę, że proletariat dzisiaj zalewa robaka? - Mógł sobie pozwolić na pewną poufałość, jako że tych dwoje znał od trzech lat, odkąd tu przyjeżdżał na polowania.

Pani Agatka miała prawie dwa metry wzrostu, w każdym razie wyglądała, jakby bez przerwy chodziła na szczudłach. Poza tym była niezwykle miła i odznaczała się permanentną ochotą do intelektualnych dyskursów, które zaczynały się zwykle od oceny programu telewizyjnego z poprzedniego wieczoru.

- Przeciwnie, panie redaktorze, przeciwnie! - zaproponował Klekot i zwrócił się do sklepowej: - Agatko, jeszcze jedną szklaneczkę dla naszego kochanego myśliwskiego redaktora. Klekot dzisiaj dostał większą forszę, a wcale się jej nie spodziewał i należy to odpowiednio uczcić.

- Jeszcze pan nie dostał, panie Klekot, tej forsy - powiedziała ekspedientka i postawiła przed Rudkiem szklankę po musztardzie. - I nie wiadomo, czy pan dostanie.

- Dostanę! - wachał uderzył się butelką w piersi. - Jak

Boga kocham, że dostanę. Sam pan nadleśniczy powiedział mi to piętnaście minut temu. Wszyscy słyszeli, całe biuro słyszało i pani adiunkt też słyszała. „Źle żeśmy panu obliczyli nadliczówki za zeszyły miesiąc, panie Klekot - powiedział pan nadleśniczy. - Należy się panu co najmniej o siedemset złotych więcej niż pan dostał, panie Klekot. Za parę dni to panu wyrównamy”. Tak powiedział pan nadleśniczy, a ja mu wierzę. No, bo dlaczego miałby mówić, gdyby tak nie było? Dlaczego, no?

- Jak nadleśniczy powiedział, to z pewnością pan te pieniądze dostanie - zgodził się Rudek. - Pani Agatko, poproszę trzy baterijki, bo latarka ledwie już mi się zarzy.

- Większe, mniejsze?

- Większe, jeśli łaska.

Pani Agatka przeszła do półki z artykułami elektronicznymi. Klekot podsunął wino myśliwemu.

- No, panie redaktorze, chyba pan nie odmówi?

Rudek wziął szklankę z ociąganiem. Klekota, tak samo jak sklepową, znał dosyć dobrze, nieraz spotykał go w lesie, parę razy skorzystał z jego pomocy przy oprawianiu jelenia czy dzika. Klekot był traktorzystą, jeździł potężnym ciągnikiem gąsienicowym, co również nie było bez znaczenia w sytuacji, gdy któryś z samochodów należących do myśliwych utknął w błocie lub piachu. Przy tych okazjach nie obywało się, rzecz jasna, bez symbolicznego łyku z „piersiówki”, co wąsaty traktorzysta również sobie wysoko cenił. Nie zdarzyło się jednak jeszcze, aby dziennikarz czy którykolwiek z jego kolegów wypił na koszt tamtego, dlatego w tej chwili czuł się niezbyt zżęcznie. Wiedział jednak, że jeśli odmówi, traktorzysta będzie obrażony.

- Panie Klekot - spróbował perswazji. - Jak pan może

pić, a potem siadać na traktor? Nie muszę chyba panu mówić, czym to grozi?

- Nie siadam na żaden traktor - stuknął swoją szklanką o szklankę Michała. - Dzisiaj nie siadam. Byłem rano za jeziorami, miałem wozić grubiznę, ale zaraz za pierwszym kursem wysiadła mi instalacja. To chyba mogę wypić, nie?

Sklepowa położyła na ladzie baterie. Rudek uregulował naleźność, potem podniósł swoją musztardówkę.

- Za pańskie zdrowie, panie Klekot. I za następne premie.

Wychylił zawartość jednym haustem, podziękował i stanowczym ruchem odsunął naczynie, nad którym traktorzysta już znowu przechylał butelkę.

- Na drugą nóżkę - uśmiechnął się zachęcająco.

- Wolę kuleć na jedną nogę niż na dwie - roześmiał się myśliwy. - Do zobaczenia.

Wyszedł szybko przy akompaniamencie zawieszono nad drzwiami dzwonka. Do budynku nadleśnictwa miał około dwustu metrów, ale już po pierwszych krokach zauważył, że coś nie jest w porządku, choć pozornie nic specjalnego się nie działo. Przy schodach wejściowych nadleśniczy rozmawiał z jakimś robotnikiem, który był wyraźnie wzburzony. W pewnej chwili w drzwiach ukazała się pani adiunkt, powiedziała coś do obydwu mężczyzn, zakręciła się gwałtownie i z powrotem wbiegła do budynku. Nagle mężczyźni dostrzegli Rudka i jak na komendę zwrócili się twarzami do niego, przerywając rozmowę. Nie odezwali się, dopóki do nich nie podszedł. Dopiero wtedy nadleśniczy powiedział, patrząc z natężeniem Michałowi na buty, jakby w tym momencie nie interesowało go nic innego na świecie poza tymi butami:

- Znalaziono w lesie zabitego człowieka. Wygląda na to, że...



Dziennikarz poczuł w piersiach nagły chłód, ale za wszelką cenę starał się zachować spokój. Bał się, że jeśli mrugnie okiem, stojący przed nim mężczyźni będą mogli z jego twarzy wyczytać to, co kłębiło mu się pod czaszką, a co w żadnym, ale to w żadnym wypadku nie powinno być ujawnione.

- Redaktor Rolak? - zawiesił głos, ponieważ zdawało mu się, że ten głos należy do kogoś innego. Zagryzł wargi, starając się powstrzymać latanie szczęk.

- Leży w krzakach, w sześćdziesiątym czwartym oddziale, za jeziorami - powiedział bardzo szybko i bardzo cicho robotnik. Rękawem kurtki otarł usta, dodał tak samo cicho i tak samo szybko: - Znalazł go mój pies. Łazik się nazywa.

- Można się było czegoś takiego spodziewać - Michał dałby sobie rękę uciąć, że te słowa tylko pomyślał. A jednak powiedział je głośno, musiał powiedzieć je głośno, gdyż nadleśniczy gwałtownie uniósł głowę i popatrzył na niego dziwnym wzrokiem.

- Mógł się pan tego spodziewać? - zapytał. W przeciwieństwie do robotnika mówił głośno i wolno. - A na jakiej to podstawie, panie redaktorze, mógł się pan tego spodziewać?

Rudek otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, lecz tylko stał tak przez chwilę gapiąc się na nadleśniczego, potem odechnął głęboko, odwrócił się na pięcie i dwoma susami przeskoczywszy schody, wbiegł do domu.

## *Rozdział 7*

**S**iedzieli w pokoju, który jeszcze dziś nad ranem miał dwóch lokatorów, a który obecnie zajmował już tylko doktor Edward Węgierski. Na ścianie wisiała dubeltówka Rolaka, przy łóżku, zasłanym - jak zwykle przed wyjściem do lasu - byle jak,

leżał wypchany plecak, w którym było właściwie wszystko: od kul i śrutu do zapasowych baterijek. Na łóżku leżała też lornetka, z której Rolak w ostatniej zapewne chwili zrezygnował, nie chcąc się zbytecznie obciążać. Od ramy okna na ukos do ściany nad wezłowiem łóżka biegło kilkanaście równoległych sznurków z nanizanymi na nie grzybami, co robiło wrażenie wystawy jakichś fantastycznych naszyjników. Redaktor Roman Rolak był namiętym grzybiarzem, znał się na grzybach jak mało kto i umiał je w doskonały sposób marynować i suszyć. Zaraził tą swoją namiętnością kolegów, toteż wszyscy, przynajmniej w drodze z rejonów polowania na kwaterę, oddawali się grzybobrani. Nie mogli się oczywiście równać z Rolakiem, ale mimo wszystko każdy z nich miał sporo grzybów suszących się na rozwieszonych w pokojach szpagatowych sznurach;

Od kiedy szef ekipy milicyjnej, porucznik Rybacki, zwrócił się do nich z prośbą, aby do jego powrotu nie oddalali się zbyt od nadleśnictwa - a ta jego prośba była przecież zwykłym poleceniem - obgadali wszystko, co mogli między sobą obgadać. Wszystko, czyli właściwie nic.

Edward Węgierski, obudzony przez Grzegorza i Michała, początkowo nie pojmował, co do niego mówią, potem nie chciał przyjąć ich słów do wiadomości, traktując je jak makabryczny dowcip. Był spokojny, ale po jego szarej twarzy widzieli, ile go ten spokój kosztuje. Inżynier z dziennikarzem głowili się nad możliwym przebiegiem i przyczyną tragedii, snując najróżniejsze domysły, jednak to wszystko nie trzymało się kupy. Z kilku możliwych przypuszczeń jedynie dwa wydały im się prawdopodobne: albo Rolak manipulując bronią sam się zastrzelił, albo spotkał kłusownika czy kłusowników, którzy zastrzelili go, kiedy próbował ich zatrzymać. Zdarzyło się

w ostatnich latach kilka takich wypadków w kraju, prasa informowała o nich szeroko. Wersję samobójstwa czy z góry zaplanowanego morderstwa odrzucili bezapelacyjnie. Tryskający energią, pełen animuszu, snujący coraz to nowe plany na bliższą i dalszą przyszłość, kipiący nigdy nie zaspokojonym erotyzmem, gwałtowny i niestabilny wewnętrznie Roman mógłby w pewnych określonych okolicznościach sam stać się zabójcą, nigdy natomiast nie targnąłby się na własne życie. Tego byli pewni. Byli także pewni, iż nie mógł go uśmiercić nikt, kto by taką zbrodnię zaplanował z góry i z premedytacją. W takim bowiem wypadku zbrodniarz musiałby dokładnie wiedzieć, gdzie i w jakim momencie spotka swoją ofiarę, poza tym - bagatela! - musiałby mieć absolutną pewność, że w tym rejonie lasu nikogo więcej nie będzie. Jedno, i drugie było niemożliwe! Żaden myśliwy nie chodzi na rykowisko tą samą trasą i o tej samej porze, nawet wówczas, kiedy kilka dni z rzędu penetruje wybrany i stosunkowo niewielki obszar. Ewentualny zabójca nie mógł też mieć najmniejszej gwarancji, że ni stąd, ni zowąd nie pojawi się na tym obszarze jakiś inny myśliwy, robotnik leśny, gajowy, leśniczy, albo po prostu grzybiarz.

I jeszcze jedno. Trudno sobie wyobrazić, aby Rolak, który przyjeżdżał tutaj raz na rok na kilka czy kilkanaście dni polowania, miał okazję narazić się na czyjąś aż tak wielką nienawiść, żeby jedynym jej rozwiązaniem było morderstwo. A więc sprawa mająca w każdej zbrodni kapitalne znaczenie - motyw, rysowała się tak niejasno, jakby jej wcale nie było. Jeszcze trudniej przyjąć, że ktoś z Warszawy, czy skądkolwiek inąd mógł przyjechać za Rolakiem tutaj, w Bory Tucholskie, wyłącznie po to, aby go zabić. Pomijając trudności samego spotkania mordercy z ofiarą, takie przedsięwzięcie byłoby dla każdego, kto by się na nie wazył, aktem właściwie

samobójczym. W lesie czy na jego obrzeżach każda nowa twarz, każdy pojazd budzi zainteresowanie nawet małego dziecka, nie mówiąc o dorosłych, swobodne więc buszowanie po terenach myśliwskich jest wręcz niemożliwe. Mordercy na ogół nie są samobójcami i podejmując tak poważną, bądź co bądź, decyzję, jak zabicie człowieka, starają się wyeliminować lub przynajmniej do minimum zmniejszyć ryzyko wykrycia swojego czynu.

Obgadawszy te wszystkie sprawy, trzech koledzy umilkli, pograżając się w myślach.

Minęło jeszcze pół godziny, gdy usłyszeli za oknem szum samochodu, który umilkł na podjeździe do nadleśnictwa. Wkrótce potem na schodach rozległy się szybkie kroki i energiczne pukanie do drzwi. Do pokoju wkroczył z teczką pod pachą znany im już porucznik Rybacki. Szybkim, uważnym spojrzeniem obrzucił pomieszczenie i kolejno zatrzymał oczy na twarzach mężczyzn.

- Panowie pozwolą?

Podszedł do jedyne go wolnego krzesła, które Michał posuwał uprzejmie w jego kierunku i opadł na nie ruchem człowieka nagle zmęczonego. Czekali w napięciu. Porucznik położył teczkę na stole, otworzył ją bez pośpiechu i wyciągnął ze środka portfel, w jakim zwykle nosi się dokumenty. W portfelu rzeczywiście były dokumenty, które milicjant powoli rozkładał: dowód osobisty, jakieś - sądząc z wyglądu - zaświadczenie, legitymacja łowiecka, pozwolenie na broń i legitymacja służbowa. Obserwowali go w milczeniu. Porucznik czekał, jakby zastanawiał się, co z tymi przedmiotami robić dalej. Doktor nie wytrzymał.

- Co z Romanem... co z redaktorem Rolakiem?! - wybuchnął.

- Właśnie! - poparł go Wójcik zrywając się z łóżka. -

Wiemy, że zginął, że ktoś go zastrzelił, a nikt do tej pory nie chce nam nic więcej powiedzieć. To przecież nasz przyjaciel.

Milicjant, jakby nie słysząc wybuchu tamtych, zwrócił się do Rudka:

- Pan pierwszy dowiedział się o śmierci kolegi, prawda?  
Dziennikarz zamrugał oczami.

- O ile mi wiadomo, pierwszy dowiedział się o tym... o tym wypadku jakiś robotnik leśny. Jego pies odnalazł zabitego. Taką właśnie relację słyszałem od owego robotnika i od nadleśniczego.

- A skąd pan wie, że nieboszczyk został zabity, nie umarł zaś, na przykład, na wylew krwi do mózgu? - zapytał prędko Rybacki.

- Z tego samego źródła.

- Nie jest to jeszcze formalne przesłuchanie - porucznik mówił teraz do wszystkich. - Chciałbym się na razie wstępnie zorientować w tym, co panowie wiedzą. Myślę, że mogłoby to pomóc w ustaleniu od samego początku właściwego kierunku śledztwa, co niechybnie wydatnie by to śledztwo przyspieszyło. Bo przecież panom tak samo jak nam zależy na możliwie najszybszym ujęciu przestępcy, prawda?

- Nieprawda - powiedział gorączkowo Węgierski. - Nam zależy bardziej niż wam, poruczniku, niż milicji. Byliśmy jego przyjaciółmi!

Rybacki po raz pierwszy uśmiechnął się, ale samymi wargami, jego oczy i reszta twarzy pozostały poza tym urzędowym uśmiechem.

- Z osobistego punktu widzenia może pan ma rację - powiedział grzecznie. - Ale tylko z osobistego punktu widzenia. Bo faktycznie właśnie organom sprawiedliwości, więc również organom ścigania, zależy zawsze na szybkim wykryciu sprawcy czy sprawców przestępstwa. No, ale ta dyskusja

niewiele ma do rzeczy. Czy panowie poznają te przedmioty?

Wójcik z Węgierskim podeszli do stołu.

- Portfel należy do Romana. W każdym razie bardzo podobny - powiedział doktor.

- Dowód osobisty... No, tu nie może być żadnej wątpliwości - dodał Wójcik. - Zdjęcie świadczy samo za siebie.

- Tak samo legitymacja służbowa i pozwolenie na broń.

- Legitymacja łowiecka jego. Pozwolenie na odstrzał chyba też.

Porucznik uniósł brwi:

- Chyba?

- Przecież tego jednego dokumentu pan nie otworzył - zdenerwował się inżynier. - Nie mogę twierdzić na pewno, bo nie widzę nazwiska. Papier jest złożony.

- No tak, słusznie - pokiwał głową milicjant. - Zupełnie słusznie - powtórzył, ale pozwolenie odstrzału przykrył dłonią i schował na powrót do portfela. To samo uczynił z papierem wyglądającym na zaświadczenie. Nagle zwrócił się do milczącego dziennikarza. - A czy pan nie zechciałby rzucić okiem na te dokumenty?

Ten wzruszył ramionami.

- Po co? Koledzy już panu powiedzieli, do kogo one należą, a ja mogę absolutnie poświadczyć. Widzę stąd doskonale, mam świetne oczy.

Z kolei porucznik wzruszył ramionami. Schował resztę dokumentów do portfela, który wsunął do teczki. Wziął ją pod pachę, podniósł się ociężale.

- To ja panów pożegnam. Na razie - powiedział. Zniecka głos mu stwardniał, obrzucił mężczyzn ostrym spojrzeniem: - I proszę, aby żaden z panów nie opuszczał nadleśnictwa aż do odwołania. Jasne?

- Nie bardzo - zareplikował Rudek. - Od dwóch dni nie mamy w łazience wody. Wychodek zaś stoi obok pomieszczeń gospodarczych, dosyć daleko od budynku, w którym się znajdujemy.

- Zakaz nie dotyczy więc tej niezbędnej trasy - powiedział porucznik nie zmieniając tonu. Wyszedł.

Inżynier ze zdziwieniem zwrócił się do Rudka.

- Co ty pleciesz z tym wychodkiem? Sam dzisiaj korzystałeś z łazienki i ubikacji, nie mówiąc o kuchni, i wiesz doskonale, że wody jest wszędzie pod dostatkiem.

- A co? - burknął tamten. - Miałem się zgodzić na to, żeby nawet na podwórko nie wolno mi było wyjść? Przy tej pogodzie?

## *Rozdział 8*

**W** komendzie miejskiej, gdzie porucznik Stefan Rybacki pełnił od niedawna odpowiedzialną funkcję inspektora, czekał na niego major Alfred Grot. Przed wyjazdem do Klonowa porucznik zawiadomił o wypadku, zgodnie z przepisami, komendę wojewódzką, nie spodziewał się jednak, że tamci zareagują tak błyskawicznie i że przyślą zaraz jednego ze swoich asów, majora Grota.

Rybacki zdążył już dość dobrze poznać majora i miał o nim wysokie mniemanie. Wyrobił je sobie podczas kilku akcji, w których brał udział pod komendą Grota, ale jednocześnie to wysokie mniemanie nie przeszkadzało mu żywić do starszego kolegi owego rodzaju uczuć, jakie potocznie nazywa się mieszanymi. Denerwowała go - a w tym zdenerwowaniu wyraźną rolę grały elementy męskiej zazdrości - permanentna i nieskazitelna elegancja majora, który zarówno w mundurze

noszonym rzadko, jak i w ubraniu cywilnym noszonym najczęściej, wyglądał jak spod igły. Ubranie, koszula, krawat, buty, skarpety - wszystko było tak dobrane, że nic innego nie mogło być na ich miejscu i w innym zestawieniu. Tego porucznik nie mógł zrozumieć, a nie rozumiejąc - wybaczyć. Wiele razy próbował go w elegancji naśladować, wiele razy był przekonany, iż mu się to udało, ale jego przekonanie trwało tylko do momentu, dopóki nie spotkał majora. Wtedy znowu widział, że Grot jako arbiter elegancji był niedościgniony, że wszelkie próby dorównania mu były śmieszne i nieodwoalnie skazane na niepowodzenie.

Również pewne maniere Grota, jak na przykład zwyczaj skubania palcami górnej wargi, nie nastawiały porucznika przychylnie. Poza tym Rybacki uważał, że major działa w określonych sytuacjach zbyt arbitralnie i że za mało liczy się ze zdaniem swoich podkomendnych. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach porucznik oddawał starszemu koledze wszelkie honory jako temu, któremu nie zdarzył się jeszcze niewypał. Przynajmniej Rybacki o niczym podobnym nie słyszał.

- Ale z was szybki Bill, majorze - powiedział po przywitaniu, nie ukrywając podziwu. - Minęły zaledwie - spojrzął na zegarek - trzy kwadranse od chwili, gdy zawiadomiłem komendę wojewódzką, a wy już jesteście.

Grot zdawał się nie zwracać na jego słowa uwagi.

- Mam nadzieję, poruczniku, że zarówno oddział sześćdziesiąty czwarty, jak i oddziały sąsiednie przeszukaliście dokładnie? - zapytał i, swoim zwyczajem, skubnął górną wargę.

Porucznik otworzył ze zdumienia usta, ale zaraz powściągnął je w nieco ironicznym uśmiechu.

- Umiecie zaskakiwać ludzi, majorze. Ale ja też przeszedłem dobrą, bo i waszą szkołę. Dzwoniliście do Klonowa



i tam wam powiedziano o tym sześćdziesiątym czwartym oddziale?

- Nie dzwoniłem do Klonowa - odparł Grot uprzejmie, a napotkawszy pełne niedowierzania spojrzenie porucznika, dodał:

- Są jeszcze inne sposoby komunikacji oprócz telefonu.

Opanowanie Grota było równie absolutne, jak jego nie-służbowa elegancja, którą porucznik dopiero teraz zauważył. Koszulka polo, zamszowa marynarka, flanelowe spodnie o barwie sosnowej kory i takiegoż koloru skórzane kamasze świadczyły o tym, że major Grot przyjechał tutaj raczej nie bezpośrednio z komendy.

- Okolicę, gdzie znaleziono ciało - rozpoczął relację już opanowany Rybacki - a więc przede wszystkim najbliższe otoczenie w oddziale sześćdziesiątym czwartym, lecz także po przeciwnej stronie linii oddziałowej, czyli fragment oddziału sto czternastego, przeszukaliśmy jedynie wstępnie. Na dokładniejsze poszukiwania nie miałem wystarczającej liczby ludzi, dzwoniłem w tej sprawie do komendy wojewódzkiej. Obiecali przysłać odpowiednią ekipę. Ciało poleciłem odwieźć do zakładu medycyny sądowej w województwie. Na miejscu pozostawiłem dwu pracowników tutejszej komendy celem strzeżenia miejsca przestępstwa.

Grot skinął głową, gestem ręki pokazując równocześnie porucznikowi, aby usiadł za swoim biurkiem. Sam zajął miejsce po przeciwnej stronie, tam gdzie normalnie siadali interesanci i... podejrzani.

- Po waszej minie widzę, że jeszcze macie coś na języku - powiedział po chwili. - Prawda?

Rybacki poruszył się na krześle.

- Nie mogę pojąć, jakim cudem tak szybko dowiedzieliście się o zabójstwie i to z takimi nawet szczegółami jak ten,

że śmierć Rolaka nastąpiła w oddziale sześćdziesiątym czwartym. Telepatia?

- Nie, krótkofalówka - odparł major z ironiczną rzeczowością.

- Chyba nie powiecie, majorze, że Rolak miał ze sobą krótkofalówkę i że za jej pomocą zawiadomił was o własnej śmierci?

- Nie, nie powiem - zapewnił Grot pogodnie. - Bo to byłoby bez sensu i pan, poruczniku, świetnie o tym wie. - Na powrót uderzył w ton rzeczowy: - Pracujecie w rejonie, gdzie jest kilka nadleśnictw i powinniście wiedzieć, że prawie w każdym z nich, a więc również w Klonowie, jest radiostacja krótkofalowa zainstalowana tam dla systematycznego nadawania meldunków meteorologicznych. Taką krótkofalówkę może obsługiwać w razie potrzeby prawie każdy pracownik nadleśnictwa. Tak to zresztą zostało pomyślane. Jeśli więc ktoś zdecyduje się korzystać z takiej stacji również do celów innych niż meteorologiczne, nie będzie miał z tym specjalnych trudności. Jeśli na domiar tego, na przykład ja czy ktokolwiek inny ustali z nadawcą czas nadawania, to wszystko, co się zdarzy w obrębie określonego terenu niedługo pozostanie tajemnicą i bardzo szybko pójdzie w świat. Czy teraz jasne?

Porucznik skinął głową w milczeniu.

## *Rozdział 9*

**P**atrzyli na siebie skonsternowani. Wiadomość, jaką przed chwilą usłyszeli, nie mogła pozostać bez wpływu na ich działalność, wymagającą absolutnego spokoju i dyskrecji. Zwłaszcza ostatnia sprawa, najważniejsza ze spraw dotychczasowych, stanęła pod znakiem zapytania.

- Niech to cholera weźmie - powiedział mężczyzna. -

Przez ten wypadek nie możemy na razie myśleć o odbiorze towaru. Z drugiej strony nie wolno nam czekać. Za wiele ryzykujemy.

- Pół biedy, jeśli to tylko wypadek - powiedziała młodsza z dwóch kobiet. - Milicja uwinie się z tym raz dwa i będzie spokój. Po dwóch, trzech dniach możemy zakończyć imprezę. Przecież to tylko jeden dłuższy spacer.

- A jeśli to jednak nie wypadek, a zabójstwo? - mężczyzna był sceptyczny. - Wtedy śledztwo będzie trwać diabli wiedzą dokąd.

- Przez ten czas meta będzie spalona - dodała młoda kobieta. - Nawet pies nie pokaże się w lesie bez zwrócenia uwagi blacharzy. Może to jednak wypadek? Albo samobójstwo?

- W każdym razie ani dziś, ani jutro nie możemy nawet palcem ruszyć. Dopiero jak się dowiemy...

Starsza kobieta patrzyła na tamtą parę spokojnie, chłodnym wzrokiem.

- Nie musimy się niczego dowiadywać - powiedziała beznamiętnie. - Już wiemy.

- No więc jak?

- Dlaczego nic nie mówisz?

Dwa niecierpliwie pytania padły jednocześnie.

- Ten dziennikarz ani nie miał wypadku, ani nie popełnił samobójstwa - głos starszej kobiety w dalszym ciągu pozostał beznamiętny. - Został zabity.

Młoda kobieta przybladła.

- Skąd wiesz? - zapytała.

- Wiem - padła sucha odpowiedź.

- W końcu ma prawo wiedzieć - stwierdził mężczyzna poirytowany. - Zadajesz głupie pytania.

- Ależ to nam cholernie komplikuje sytuację - młoda kobieta zaczęła nerwowo grzebać w torebce. - Gdzie ja znowu podziałam te papierosy?

- Masz je przed sobą na stole - zwróciła jej uwagę starsza. Uśmiechnęła się z ironicznym pobłażaniem. - Stajesz się roztrzepana ostatnio. Radziłabym się opanować.

- Opanować, opanować! - tamta nie próbowała nawet ukryć rozdrażnienia, - Co pomoże opanowanie, kiedy największej w moim życiu forsy nie mogę nawet powąchać. A przecież ta forsa należy do mnie!

- Do nas - poprawił ją ostro mężczyzna. - Nie przypominam sobie, abym ci odstąpił swoją część.

- Niech ci będzie, że do nas - nie przestawała się irytować. - Czego się czepiasz? Wiadomo, że jak do mnie, to i do was. Znalazł się dokładny.

Starsza kobieta potrząsnęła głową.

- Bardzo to dobrze, że każde z was myśli o sobie. Osobisty interes jest najlepszą gwarancją dobrej roboty. - Jej ironiczny głos raptem stał się oschły. - Nie zapominajcie jednak, drogie dziatki, że w tym wypadku osobisty interes pokrywa się z interesem innych. Nie można go oddzielać ani tym bardziej przeciwstawiać. Jedziemy na jednym koniu i nikt nie może ani zsiąść, ani spaść z tego konia, żeby nie pociągnąć innych. Albo razem jedziemy, albo razem spadamy. Chyba zdajecie sobie z tego sprawę.

- A, bo ona tak zawsze - mruknął mężczyzna.

Młoda kobieta nieco się opanowała.

- Musimy coś wymyślić - powiedziała ze zmarszczonymi brwiami. Zapaliła papierosa, wypuściła nosem kłąb dymu. - Przesyłka nie może czekać. Gdyby ktoś się dowiedział, ile to warte... Nawet anioł uczciwości by nie wytrzymał.

Mężczyzna patrzył w napięciu na drugą z kobiet.

- Tylko ty możesz coś wykombinować - powiedział. - Bo przecież...

- Wiadomo, kto jest od myślenia - przerwała mu bezceremonialnie. - Potraficie tylko ruszać rączkami, kiedy je

wyciągacie do brania, ale żeby ruszyć głową... Na szczęście nie musicie.

- Zebrało ci się na docinki? - młoda była obrażona. - Ostatecznie bez nas...

- Dobrze, dobrze, skończmy to głupie gadanie, bo do niczego nie dojdziemy. Paczkę musimy przejąć jak najprędzej, to pewne. Licho nie śpi, ciekawość ludzka nie zna granic. A nasz doręczyciel jest cholernie ciekawy. - Powtórzyła z zastanowieniem. - Cholernie ciekawy... Po załatwieniu sprawy do końca, będę musiała się nad tym człowiekiem poważnie zastanowić.

- Kto to jest, ten człowiek? - nie wytrzymał mężczyzna.

- Nie twoja rzecz. Dopiero co mówiłam o zbytnej ciekawości.

- Jak chcesz tę przesyłkę otrzymać? - zniecierpliwiła się znowu młoda. - Chyba nie tak jak zwykle?

- Właśnie jak zwykle. Nie widzę innego sposobu.

- Chcesz pójść do lasu?! W tej sytuacji?! - mężczyzna patrzył niedowierzająco. - Przecież to to samo, co od razu oddać się w łapy milicji.

- Paczkę odbierzesz ty - szefowa mówiła głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Przyjdiesz do mnie jutro po południu, zaraz jak skończę pracę. Wtedy już wszystko będę wiedziała detalicznie. Nie bój się, przygotuję odbiór jak trzeba, nie będzie najmniejszego obciachu. W końcu mnie na tym zależy nie mniej niż wam. - Przerwała, dodała dziwnym tonem: - Nawet zależy mi na tym więcej niż wam, żeby nie było obciachu.

Wstała, bez pożegnania skierowała się ku wyjściu.

- Idziesz już? - zapytała młoda. - Może byś się napiła kawy?

Zignorowała zaproszenie. Z ręką na klamce odwróciła się do tamtej pary.

- O śmierci dziennikarza na razie nie wiecie. Macie się zachowywać, jak gdyby nigdy nic. Absolutny spokój. Dla własnego dobra.

Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, już jej nie było.

## *Rozdział 10*

**G**rupa wywiadowców zakończyła robotę. Metr po metrze zbadano nie tylko oddział sześćdziesiąty czwarty, gdzie znaleziono denata, nie tylko położony naprzeciw oddział sto czterysty, lecz również oddziały sąsiednie: sześćdziesiąty trzeci i sześćdziesiąty piąty, a nawet obrzeża sąsiadujących z nimi innych części lasu. Była to robota żmudna, trwała kilka godzin i przyniosła jeden rezultat, który ewentualnie mógł się okazać interesujący.

Już przy wstępnych oględzinach miejsca wypadku, prowadzonych pod kierownictwem porucznika Rybackiego, stwierdzono bez najmniejszej wątpliwości, że Rolak został zabity na skraju przecinki i dopiero potem odciągnięty z niej kilka metrów w głąb lasu, za kępę młodych, gęstych świerków. Zwłok nie próbowano nawet specjalnie ukrywać. Zabójcy czy zabójcom chodziło raczej o to, aby denat leżący na brzegu linii nie był widoczny z daleka, niż o to, aby go ukryć rzeczywiście. Zwłoki ciągnięto po ziemi i ślad, jaki po tej operacji pozostał na piasku i dalej - już w lesie, na igliwiu i mchu - zamieciono dosyć nieudolnie sosnową gałęzią, którą potem rzucono na denata. Nic dziwnego, że zabójstwo zostało odkryte stosunkowo wcześniej przez przechodzącego właśnie tamtędy

robotnika, a właściwie przez jego psa, który zwęszył zwłoki. Ów robotnik poszedł później przecinką w kierunku oddziału sześćdziesiątego piątego, skręcił w prawo między oddziałem sześćdziesiątym czwartym a piątym, w kierunku duktu łączącego nadleśnictwo z szosą do Bydgoszczy i, co było naturalne, udał się do najbliższego, leśnictwa, gdzie zameldował o swoim odkryciu. Ślady jego butów, jak i tropy psa, były na niektórych zwłaszcza odcinkach odcisnięte w glebie jak w serze i stanowiły najlepsze potwierdzenie jego relacji.

Na przecince, między oddziałem sześćdziesiątym czwartym a piątym, były również doskonale widoczne ślady protektorów opon samochodu, który bez wysiłku zidentyfikowano jako furgonetkę nadleśnictwa, a którym nadleśniczy przed świtem odwoził żonę na stację kolejową. Fakt, że samochód skręcił z duktu na przecinkę i przejechał nią trzy oddziały, potem zaś zawrócił znowu na dukt i już bez dalszych perturbacji udał się w kierunku nadleśnictwa, wydawał się również zrozumiały. Nadleśniczy wracając po odwiezieniu żony usłyszał strzał, był więc ciekaw, kto strzelał i do czego, dlatego zboczył z drogi. Przekonany, że to strzelał jeden z myśliwych, chciał mu ewentualnie pomóc w patroszeniu ubitej sztuki. Nie spotkał jednak nikogo, nikt się również nie odezwał - ani na klakson samochodu, ani na jego nawoływania, nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko udać się w swoją drogę. Mówił zresztą o tym redaktorowi Michałowi Rudkowi, z którym spotkał się po śniadaniu i od którego spodziewał się usłyszeć jakieś wyjaśnienie, każdy bowiem strzał w lesie budzi natychmiast powszechne zainteresowanie - choćby ze względu na zdarzające się jeszcze niekiedy wypadki kłusownictwa. Dlatego za każdym razem próbuje się ustalić autora strzału. Podczas rykowiska kłusownicy wprawdzie siedzą w mysich norach,

wiedzą przecież, że po całym lesie chodzą myśliwi. Ale nigdy nic nie wiadomo. Zawsze przecież może się znaleźć jakiś ryzykant.

- No i najpewniej się znalazł - powiedział sierżant Polański sadowiąc się na granicznym kamieniu z wyrytymi na nim z czterech stron numerami oddziałów. Chustką wytarł pot z czoła i twarzy. - Ani chybi kłusownik. Obywatel major też chyba jest podobnego zdania?

Grot dyplomatycznie milczał. Wyciągnął z kieszeni paczkę giewontów i energicznie uderzył nią o karoserię milicyjnej warszawy. Kierowca wychylił się wyczekująco przez otwarte drzwi, ale na niecierpliwy gest ręki majora znowu zniknął w środku jak ślimak w skorupie. Porucznik Rybacki i sierżant patrzyli w oczekiwaniu.

- Lekarz stwierdził, że redaktor Rolak zginął od naboju śrutowego wystrzelonego prosto w pierś z bliskiej odległości. To nie ulega wątpliwości, prawda?

Tamci nie bardzo wiedzieli, do kogo to pytanie jest skierowane, na wszelki więc wypadek odpowiedzieli obydwaj i niemal jednocześnie.

- Tak jest, obywatelu majorze!

- Nie trzeba być lekarzem, aby to zauważyć na pierwszy rzut oka - kontynuował Grot w dalszym ciągu bez adresu. Nagle zwrócił się do Rybackiego: - Wy, poruczniku, pierwsi byliście na miejscu zabójstwa. - Kiedy zwracał się służbowo, miał zwyczaj mówić: wy. - To znaczy pierwsi z milicjantów. Wtedy dubeltówki, ani innej broni śrutowej nigdzie w pobliżu nie było. Ściślej: wtedy jej nie znaleźliście.

- Innej broni śrutowej? - zapytał sierżant Polański.

- Nie sugerujmy się dubeltówkami - powiedział major.

- Słusznie - wpadł mu w słowo Rybacki. - Oprócz dubeltówek są jeszcze jednorurki, drylingi, kniejówki, boki



i kilkustrzałowe śrutowe automaty.

Grot skinął głową.

- Widzicie, możliwości jest mnóstwo i pierwsze nasze zadanie, czyli identyfikacja narzędzia zbrodni, wcale nie jest takie proste. Mam nadzieję, sierżancie, że wasza ekipa szukała nie tylko dubeltówki, lecz również innych przedmiotów strzelających, niezależnie od tego, czy była to broń typowa czy nie.

Sierżant był najwyraźniej obrażony i nawet nie próbował tego specjalnie ukrywać. Rzekł z sarkazmem:

- Gdyby to nawet była szklana lufka do papierosów, to moi ludzie też by ją znaleźli. Ale meldowałem już i melduję jeszcze raz, obywatelu majorze, że nie znaleźli nic. Dosłownie nic!

- Zupełnie nie rozumiem jednego - porucznik Rybacki starał się mówić spokojnie, ale w jego głosie brzmiała ledwo tłumiona pasja. - Dlaczego nie znaleźliście łuski? To znaczy gilzy.

- Mnie to samo gnębi od początku - przyznał Polański.

- Łuska naboju śrutowego to nie szpilka - powiedział porucznik. - Gdyby tu była, chłopcy znaleźliby ją z całą pewnością.

- Ja też tak myślę - zgodził się Grot. - Morderca musiał ją zabrać ze sobą. A może nawet... - W jego głosie zabrzmiała taka jakaś nuta, że tamci spojrzeli z najwyższym zainteresowaniem, Ale zwierzchnik patrzył obojętnym wzrokiem nad ich głowami, jakby zapomniał nagle o bożym świecie. - Tak musiało być - mruknął do siebie, ale na tyle wyraźnie, że nie mieli wątpliwości, co powiedział. - Tak chyba było naprawdę. Sierżancie, powtórzcie: dokąd prowadzą te ślady trampek od miejsca, gdzie leżał denat?

Polański popatrzył na majora bezradnie, potem tak samo na porucznika, jakby szukając jego pomocy.

- Nie wiem. Zupełnie nie mam pojęcia. Są tu, na tej przecince, idą gdzieś z lasu, z oddziału sześćdziesiątego piątego, za którym jest jezioro, wychodzą z jeziora w tym kierunku, zatrzymują się o jakieś trzy-cztery kroki od miejsca przypuszczalnego upadku Rolaka, podchodzą do tego miejsca i, mimo że również próbowano je zatrzeć, widoczne są wzdłuż smugi, jaką pozostawiło ciągnięte ciało. Więcej. Układ tych śladów świadczył że to właśnie właściciel tramppek wciągnął denata do lasu. Potem, nie wracając już na przecinkę, odszedł brzegiem oddziału, co byłoby prawie niemożliwe do ustalenia z powodu gęstego tutaj mchu, gdyby znowu między oddziałem sześćdziesiątym czwartym a piątym na linii, która jest częściowo piaszczysta, ślady nie odcisnęły się zupełnie wyraźnie. Za linią znowu jest ten sam cholerny mech, ale nad brzegiem jeziora, jak wspominałem, za oddziałem sześćdziesiątym piątym, jest skrawek żwirowatej plaży, na której widać, jak te trampki wchodziły na powrót do wody. - Sierżant odetchnął głęboko, rozłożył ręce ruchem na pół wściekłym, na pół rozpaczliwym. - Z wody wylał czy jak?

- Może przyplłynął łódką? - wyraził przypuszczenie Rybacki.

- Jezioro jest zamknięte, nie łączy się z żadnym innym, sprawdzałem - objaśnił chmurnie sierżant. - Nie ma na nim żadnej łódki.

- No to co? Płetwonurek?! Duch wodny?! - zdenerwował się porucznik.

Grot podniósł z ziemi sosnową szyszkę i zaczął ją przerzucać z dłoni do dłoni.

- Samochód nadleśniczego przejechał po tych śladach. Przeciął je na tamtej linii między sześćdziesiątym czwartym

a piątym oddziałem. Nie mylę się, sierżancie, prawda?

- Święta prawda.
- Jaki z tego wniosek?
- Że żuk nadleśnictwa przejechał później, niż przeszedł ten facet w trampkach.

- To by się zgadzało z zeznaniami nadleśniczego - kiwnął głową major. Znowu się nad czymś zamyślił.

Rybacki poruszył się niespokojnie, sucha gałązka pękła mu z trzaskiem pod nogą. Major odwrócił się do niego, spojrzał pytająco.

- Jeśli można, obywatelu majorze... - porucznik zawahał się.

- Można - uciął Grot. - Słucham.

- Po pierwsze, mówimy o trampkach, a wcale nie wiemy, czy to aby naprawdę ślady trampek.

Sierżant Polański uśmiechnął się z nieco złośliwą pobłażliwością.

- Ślady nie pozostawiają co do tego najmniejszej wątpliwości. Są tak charakterystyczne...

- ...jak na przykład dla pepegów - dopowiedział porucznik i po minie zarówno Grota, jak i Polańskiego spostrzegł, że trafił w dziesiątkę. Ośmielony tym, ciągnął dalej, usiłując wyciszyć w głosie ton satysfakcji: - Pepegi mają zupełnie podobne podeszwy jak trampki i... oczywiście jak buty gumowe noszone podczas niepogody! W związku z tym powinniśmy brać pod uwagę te trzy rodzaje obuwia.

- Bardzo dobrze - pochwalił major i oblicze Rybackiego poczerwieniało z satysfakcji jak piwonia.

- Poza tym, obywatelu majorze, sądząc po rozmiarze, te ślady wyglądają raczej na ślady obuwia kobiety niż mężczyzny.

- Ja też o tym pomyślałem - powiedział Polański.

- Bardzo dobrze - powtórzył major. - Tylko że ja w to

osobiście wątpię. A dlaczego, kiedyś wam wyjaśnię. Choć wcale nie jest wykluczone, że to właśnie wy macie rację, nie ja. Jedziemy.

Gdy wsiedli do samochodu, Grot powiedział sentencjonalnie:

- Bo we wszystko trzeba wątpić, panowie. Albo raczej prawie we wszystko - poprawił się. - Małeńka doza sceptycyzmu jest witaminą myśli - zakończył trochę zaskakującą metaforą.

## *Rozdział 11*

**P**rzesłuchanie odbywało się w największym pomieszczeniu mieszkalnym nadleśnictwa, zwanym potocznie salonem. Umeblowanie pokoju było w miarę ciężkie, w miarę uroczyste, składało się ze starych, secesyjnych albo imitujących styl secesyjny mebli. Wielki zegar wahadłowy między oknami centralnej ściany tykał miarowo, wydzwaniając kwadransy i godziny. Porucznik Rybacki siedział za rzeźbionym biurkiem, Grot przechadzał się swoim zwyczajem po pokoju, protokolant zaś zajmował mały stolik przy drzwiach wiodących w głąb mieszkania.

Najpierw poproszono inżyniera Wójcika. Po wstępnych formalnościach major zapytał:

- Ilu panów udało się dzisiaj na polowanie?
- Wszyscy czterej - padła spokojna odpowiedź.
- Opuściliście kwaterę razem czy oddzielnie?
- Razem.
- Jak dostaliście się do rejonu polowania?
- Samochodem redaktora Rudka. On ma fiata.
- Dlaczego wzięliście tylko jeden wóz?
- Uważaliśmy, że to zupełnie wystarczy. Czasami braliśmy do lasu obydwie wozy, mianowicie wówczas, gdy któryś z nas miał ochotę zapolować w dalszym rejonie. Dzisiaj

pojechaliśmy jednak tylko fiatem, ponieważ ustaliliśmy, że spróbujemy szczęścia na stosunkowo niewielkim obszarze, gdzie spodziewaliśmy się spotkać jelenie powracające z nocnych żerowisk z pól od Mękowa. Tamtejsi gospodarze gotowi są nas ozłocić za każdego zastrzelonego jelenia. Widzieliśmy pola tak zryte racicami i tak obzarte ze wszystkiego, co zielone, że wcale się mękowianom nie dziwię.

- Ile własnych samochodów tutaj macie?

- Dwa. Każdy z nas ma wóz, ale tu przyjechaliśmy dwoma. Rudka i Rolak.

- To volvo na podwórku to własność denata? - zapytał Grot bawiąc się papierosem.

- Tak.

- Gdzie wysiadł Rolak? O ile dobrze zrozumiałem, pojechaliście panowie wszyscy czterej na miejsce swoich łowów. Czy również razem wysiedliście?

- Tak. Wysiedliśmy wszyscy czterej w tym samym miejscu - potwierdził Wójcik. - Właśnie tam, gdzie pozostawiliśmy fiata, między jeziorem Brędem a Gorzkim.

- A potem? - zapytał Rybacki.

- Co potem? - nie zrozumiał inżynier.

- Pytam, co było potem, gdy wysiedliście z samochodu. Udaliście się we czterech w tym samym kierunku, czy też może oddzielnie?

Wójcik spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Po pierwsze, na rykowisku nigdy nie chodzi się razem, bo wtedy zamiast szansy strzału do jelenia ma się co najwyżej szansę zagwizdania sobie ostatniego naboju. To nie znaczy, że w pewnych wyjątkowych wypadkach nie można się umówić z kolegą. Z dwóch stron obstawiamy, na przykład, jeden zrąb lub jeden zagajnik i nie ruszamy się ze stanowisk do określonego momentu. Ale to są wypadki wyjątkowe, jak mówię,

i na obecnym rykowisku nic podobnego się nie zdarzyło. Przynajmniej ja o niczym takim nie wiem. Może koledzy próbowali tego sposobu?

- Dowiemy się - mruknął major.

- Po drugie - kontynuował inżynier, a jego głos nabrał tonów zaciekłości - gdybyśmy poszli razem, już nie tylko we czterech, lecz przynajmniej któryś z nas z kolegą Rolakiem, nie stałoby się to, co się stało. Albo przynajmniej znalazłbyśmy mordercę.

Major przestał się bawić giewontem, którego w końcu zapalił.

- Proszę mi powiedzieć dokładnie, w którym kierunku każdy z panów poszedł, gdzie był oraz jaką drogą i kiedy powrócił do samochodu.

- Proszę bardzo. Ale mogę mówić tylko za siebie. Jak powiedziałem, rozstaliśmy się po przybyciu na miejsce. Ja poszedłem duktem przecinającym zrab między jeziorami, a właściwie niewielkimi oczkami wody, których tu pełno. Ten dukt stanowi przedłużenie drogi od nadleśnictwa w kierunku Mękowa. Trzy oddziały dalej jest kilkuletni zagajnik., w którym przed trzema dniami, niestety, jeszcze przed świtem i z daleka, widziałem jelenia. Jest tam zresztą ciągle mnóstwo świeżych tropów. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów w bok od duktu, na skraju tego zagajnika i wysokiego lasu, stoi ambona. To taki zbudowany kilka metrów nad ziemią pomost, a raczej rodzaj balkonu, na którym myśliwi robią zasiadkę. Cały czas siedziałem na tej właśnie ambonie mając nadzieję, że coś mi wyjdzie na strzał. Nic jednak nie wyszło, więc dokładnie o godzinie siódmej piętnaście zszedłem z ambony i wróciłem tą samą drogą do samochodu. Przy wozie byliśmy umówieni o pół do ósmej, spóźniłem się dziesięć minut, ale i tak byłem pierwszy. W jakieś trzy, cztery minuty po mnie nadszedł Michał Rudek i tyle samo mniej więcej później doktor Węgierski.

- W jaki sposób wróciłeś... przepraszam, wrócił pan do nadleśnictwa? - Grot spałowiał z powodu mimowolnego „tyknięcia” poważnego, bądź co bądź, człowieka.

Wójcik zamrugał oczami z konsternacją. Chyba nawet nie zauważył przejęzyczenia majora.

- Tak samo jak stamtąd wyjechałem. Fiatem redaktora Rudka.

- Z kim?

- Z Rudkiem i Węgierskim.

- Bez redaktora Rolaka?

- Jak to? Przecież... przecież Rolak nie mógł z nami wrócić, bo nie żył - w głosie Wójcika brzmiało wyraźne zdenerwowanie.

Porucznik Rybacki spojrział szybko na zwierzchnika. Gdy ten porozumiewawczo przymknął powieki, zapytał:

- Można wiedzieć, skąd pan o tym wiedział?

- Nie wiedziałem - inżynier podniósł głos. - Ale kiedy się nie pojawił we właściwym czasie, postanowiliśmy wracać bez niego.

- Zostawiając kolegę tak daleko od domu?

Wójcik starał się uspokoić.

- Zawsze umawialiśmy się na określoną godzinę, poważnie koło pół do ósmej. Tak jak dzisiaj. Czekaliśmy na siebie kilkanaście minut, a właściwie nigdy mniej niż pół godziny, czasem i dłużej, jeśli gdzieś dobrze ryczały byki i jeśli spodziewaliśmy się, że któryś z nas może coś strzelić. Następnie jednak wracaliśmy do domu.

- Nie czekając na wszystkich kolegów?

- Nie zawsze.

- Dlaczego?

- Czasem ktoś z nas zapowiadał, że będzie się posuwał w kierunku nadleśnictwa albo że po drodze będzie zbierał grzyby.

- Czy to się często zdarzało?
- To zależy.
- Od czego zależy?
- Na przykład od pogody. Jeśli padało...
- Rozumiem.
- Albo jeśli ktoś z nas nie miał danego dnia dyżuru.
- Dyżuru? - porucznik uniósł brwi.
- Dyżuru w kuchni. Bo mieliśmy taką umowę, że na przemian, co drugi dzień, dwóch z nas miało dyżur w kuchni. Ktoś musiał przecież upitrasić jedzenie i potem posprzątać. Dwóch pozostałych mogło w tym czasie spać, czytać, robić co dusza zapagnie.

- A kto miał dyżur dzisiaj?
- Doktor Węgierski i redaktor Rudek.
- Tak - skubnął wargę major. - Na razie dziękuję panu.

Z kolei poproszono doktora Edwarda Węgierskiego. Jego relacja o wyjeździe i o powrocie do nadleśnictwa pokrywała się z relacją Wójcika. Identycznie sformułował też przyczyny, dla których zdecydowali się wracać bez Rolaka. Potwierdził, że przy samochodzie znalazł się ostatni, po Wójciku i Rudku. Na pytanie o trasę swojej myśliwskiej wędrówki odpowiedział dokładnie i wyczerpująco. W sumie nie wniósł do sprawy nic nowego.

Przesłuchanie Michała Rudka miało podobny przebieg. Z jednym małym wyjątkiem.

- Zastanawiam się, dlaczego redaktor Rolak odszedł tak daleko od samochodu? - ni to zapytał, ni to stwierdził w pewnej chwili major.

- Sam się zastanawiam - pokręcił głową dziennikarz. - Przecież to z sześć kilometrów w jedną stronę, nie licząc jeszcze dłuższej drogi powrotnej do nadleśnictwa. Kiedy rozstaliśmy się z Romanem na rozdrożu w kierunku Swardy, Borówki, Leśnictwa Piaski i pasa dużych jezior...



Porucznik patrzył na Rudka zwężonymi oczami.

- To pan się rozstał z redaktorem. Rolakiem w lesie? Nie przy samochodzie?

Dziennikarz zrobił ku niemu pół obrotu.

- Przecież mówię, że w lesie. Jakies pół kilometra od wozu. Stąd właśnie Roman poszedł w kierunku dużych jezior, ja zaś trasą, którą przed chwilą opisałem.

- Nie mówił panu, dlaczego idzie właśnie tam? - zapytał Grot niewinnie,

- Nie mówił.

- A czy trasa pańskiego kolegi nie wydała się panu... nieoczekiwana?

- Skądże? - zdziwił się dziennikarz. - Z każdej trasy można przecież zawrócić, jeśli okaże się błędna.

- Z tej trasy redaktor Rolak już nie zawrócił - stwierdził sucho Grot.

Redaktor Rudek jakby się skurczył.

- No tak - powiedział cicho. - Niestety, Porucznik zabębnił palcami po biurku, Rzekł:

- W każdym razie był pan ostatnim człowiekiem, który widział Rolaka żywego.

Rudek podrzucił głową.

- Ostatnim z, kolegów myśliwych; to chyba miał pan na myśli? Bo przecież pozostaje jeszcze zabójca.

## ***Rozdział 12***

Ściemniło się zupełnie, ale wieczór był ciepły, prawdziwie letni. Gwiazdy świeciły jasno, kurz Drogi Mlecznej wysokim łukiem unosił się nad lasem. Major Grot z westchnieniem odwrócił się od otwartego okna.

- Obejrzymy sobie teraz broń, panowie.

- Tak jest, obywatelu majorze - powiedział sierżant Polański.

Rybacki w milczeniu zbliżył się do biurka, na którego obszernym blacie leżały strzelby i sztucery. Major policzył broń oczami.

- Dziesięć sztuk - powiedział. - Zgodnie z tym, co wiemy, to powinno być wszystko.

- Tak jest - potwierdził Polański. - Po sztucerze i dubeltówce mają Węgierski, Wójcik i... - zająknął się - denat. Natomiast drylingi należą do redaktora Rudka i nadleśniczego Sosnowskiego. Wszędzie są zresztą karteczki z nazwiskami właścicieli.

- Mam nadzieję, że obchodziliście się z tym przyzwyczajeniem - powiedział major,

- Zgodnie z regulaminem - sierżant uśmiechnął się lekko do przełożonego. - Milicyjnych linii papilarnych na żadnym z tych cacek nie ma.

Major obejrzał najpierw sztucery patrząc w ich lufy pod światło żyrandola.

- A niechże ich kaczka kopnie - mruknął. - Nie zadają sobie nawet trudu, żeby broń wyczyścić po użyciu. Jeden nadleśniczy wie, co do niego należy. - Nagle gwizdnął cicho. - Co?! I dubeltówki też brudne?

- Jak brudne sztucery, to brudne i dubeltówki - powiedział sierżant Polański. - Dwa dni temu było tu polowanie na kaczki.

Grot spojrzał z zainteresowaniem.

- Skąd wiecie?

- Rozmawiałem z nadleśniczym, obywatelu majorze. I z paroma innymi ludźmi też. A co - przestraszył się - może nie powinienem?

- W porządku - uspokoił go major. - Nasi myśliwi brali udział w tym polowaniu, jeśli dobrze rozumiem?

- Wszyscy czterej. Łącznie z redaktorem Rolakiem.

Grot wziął przez szmatę ostatnią dubeltówkę. Złamał ją ostrożnie i nagle znieruchomiał. Porucznik zbliżył się zaintrygowany patrząc zwierzchnikowi przez ramię. Zamrugął niedowierzająco. W jednej z luf tkwił nabój świecąc złocistym krążkiem.

- Czy to możliwe, żeby Rolak, który przecież świetnie musiał zdawać sobie sprawę z konsekwencji podobnego niedbalstwa, nie rozładował broni już nie tylko po zejściu ze stanowiska, lecz nawet po polowaniu? - Grot mówił w przestrzeń marszcząc brwi w zdumieniu. - Nieprawdopodobne. I żeby potem pozostawił nabitą dubeltówkę w pokoju? Bez sprawdzenia? Jeszcze bardziej nieprawdopodobne.

- Był podobno doświadczonym myśliwym - powiedział z powątpiewaniem Rybacki.

- Ja wiem, że był doświadczonym myśliwym - uzupełnił major. Nagłym ruchem przybliżył broń do oczu Rybackiego. - Poruczniku, co tam widzicie?

Rybacki nie odrywał wzroku od strzelby.

- Zdaje mi się... ależ tak, z pewnością! Nabój jest zużyty. Świadczy o tym ślad iglicy na spłonce. Ten ślad nie budzi żadnych wątpliwości.

- Ja też tak myślę - powiedział Grot na głębokim oddechu. Wyprostował się, z powrotem spokojny. - Poruczniku! Zabezpieczyć broń i natychmiast przesłać do ekspertyzy. Sierżant Polański zanieś ją osobiście. Już. Wyniki przesłać do tutejszej komendy na moje nazwisko. Najszybciej, jak się da. Jasne?

- Jasne.

- Wykonać!

Rybacki odebrał broń od zwierzchnika, po czym wyszedł razem z Polańskim, Kiedy wkrótce powrócił, Grot stał znowu przy otwartym oknie patrząc w migotliwe gwiazdy. Myślał o czymś intensywnie, na jego twarzy malowało się skupienie i napięcie.

- Chyba jeszcze raz porozmawiamy z myśliwymi - powiedział. - I to z wszystkimi naraz. Poproście ich tutaj.

Myśliwi, wezwani po raz wtóry, nie wykazywali specjalnego zaniepokojenia, byli jedynie nieco zdziwieni, co zresztą jest zrozumiałe. Grot obserwował ich bez żenady, jak człowiek, który powziął określoną decyzję.

- Chciałbym porozmawiać o waszym przedwczorajszym polowaniu na kaczki, panowie, choć pora nieco spóźniona - zaczął major rzeczowo. Skubnął wargę i zwrócił się do Wójcika: - Kiedy pan, panie inżynierze, rozładował po tym kaczym polowaniu swoją dubeltówkę?

Wójcik wzruszył ramionami.

- Natychmiast po polowaniu. Takie są przepisy.

- A pan? - to pytanie było skierowane do doktora Węgierskiego.

- Tak samo. - Uzpełnił tylko wypowiedź kolegi Wójcika, że obowiązek rozładowywania broni dotyczy każdego zakończonego miotu, każdorazowego zejścia ze stanowiska.

- Dziękuję. Redaktor Rudek?

- Oczywiście, że tak samo.

Grot odetchnął głębiej, jego zielone oczy patrzyły z niewinną otwartością. Kiedy się jednak odezwał, głos podniósł mu się o ćwierć tonu.

- Czy redaktor Rolak równie skrupulatnie jak panowie przestrzegał przepisów o obchodzeniu się z bronią?

- Tak jest.

- Naturalnie.

- Był wręcz pedantem pod tym względem.

Trzy odpowiedzi padły prawie równocześnie.

- Który z panów widział, jak redaktor Rolak rozładował dubeltówkę po polowaniu? - zapytał Rybacki. - Może jesteście panowie przekonani, że tak uczynił, bo tak czynił zawsze

i tak powinien uczynić.

- Wykluczone - powiedział kategorycznie Wójcik. - Kiedy schodził ze stanowiska po ostatnim miocie, a stałem opok niego, miał broń złamaną i doskonale widziałem, że obie lufy były puste.

- Zgadza się - wtrącił dziennikarz. - Ja zajmowałem stanowisko z drugiej strony Romana i po zakończeniu polowania wszyscy myśliwi schodzili w moim kierunku. Potwierdzam z całą stanowczością słowa kolegi Wójcika.

- I ja - dodał Węgierski. - Z Rolakiem zobaczyłem się dopiero przy samochodzie, przed samym powrotem, ale tę jego złamaną i nie nabitą dubeltówkę widziałem wtedy dokładnie.

Zapanowało milczenie, które przerwał major pstryknięciem zapalki o draskę. Zapalił swojego giewonta.

- Być może redaktor Rolak nabił z powrotem dubeltówkę tego samego dnia po polowaniu, kiedy nikt z panów tego nie widział, albo wczoraj. A nawet dzisiaj rano.

Myśliwi robili wrażenie zdezorientowanych.

- To strzelba Romana była nabita? - zapytał Rudek.

- Po co by to robił? - dodał Wójcik. - Nie miał potrzeby jej używać. Ktoś z nas by zresztą zauważył, gdyby było inaczej.

- Twierdzą stanowczo, że jeszcze dzisiaj rano dubeltówka redaktora Rolaka wyglądała tak samo, jak po przedwczorajszym polowaniu - oświadczył doktor. - Wisiała bez futerału na ścianie, na wprost mojego łóżka, widziałem ją dokładnie. I... Właśnie! - uderzył się dłonią w czoło.

Rybacki przechylił się przez biurko.

- Co właśnie?

Węgierski wodził po obecnych błyszczącymi oczami. Zwrócił się do majora.

- Kiedy kładłem się spać po śniadaniu, panie majorze, coś mnie uderzyło w wyglądzie pokoju. Byłem zmęczony, nie chciało mi się dociekać przyczyny tego wrażenia. Było to zresztą wrażenie nieokreślone. Niby wszystko było na swoim miejscu, jeśli w takim bałaganie, jaki panuje w naszych pokojach, cokolwiek może być na swoim miejscu, a jednak coś mi się nie zgadzało. Zasnąłem i później już o tym nie myślałem, co chyba rozumie się samo przez się. A teraz wiem, To była dubeltówka Rolaka!

- Może zechciałby pan objaśnić to bliżej - powiedział Grot, który nie spuszczał oczu z doktora.

Węgierski skinął głową w podnieceniu.

- Dubeltówka redaktora Rolaka była zamknięta. Wisiała w tym samym miejscu na ścianie, co podczas naszego wyjścia o świcie, ale po naszym... to znaczy - poprawił się skonsternowany - po moim powrocie do domu była zamknięta. A pamiętam, doskonale pamiętam, że w chwili naszego wyjścia była złamana. I oczywiście nie nabita,

Porucznik spojrział szybko na przełożonego i tak samo szybko przeniósł wzrok na doktora. Zapytał:

- A po pańskim powrocie... czy dubeltówka, o której mowa, była nabita?

Węgierski ze zdziwieniem zwrócił oczy na porucznika.

- Skąd mogę wiedzieć. Przecież... - nagle zaśmiał się nerwowo, - Niech pan mnie nie bierze, poruczniku, na plewy. Nie wiem, czy była nabita, bo nie zaglądałem w lufy. Jeszcze raz powtarzam, że broń Rolaka była zamknięta i to mnie właśnie uderzyło, choć wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Wójcik i Rudek słuchali tej rozmowy z najwyższym

zainteresowaniem. Żaden z nich jednak nie odezwał się ani słowem.

Major Grot raptem podjął decyzję.

- Nie chcę uprzedzać faktów - zwrócił się do myśliwych - i, być może, nie powinienem panom o tym mówić, mimo wszystko jednak chciałbym was o czymś poinformować. Myślę, że nie będzie to sprzeczne z dobrem śledztwa. Otóż mamy podstawy przypuszczać, że z dubeltówki redaktora Rolaka strzelano już po polowaniu na kaczki. Ze słów doktora Wójcika z kolei mogłoby wynikać, że strzelano dzisiaj, między wyjściem panów myśliwych do lasu, a ich powrotem. Nie wykluczam, że strzelano właśnie do redaktora Rolaka...

Jeżeli major Grot spodziewał się jakiegoś widocznego efektu swoich słów, to przerósł on jego oczekiwania.

Inżynier Wójcik zerwał się z miejsca i krzyknął z niedowierzaniem:

- Co pan powiedział?!

Rudek wpatrywał się w majora z osłupieniem.

- To niemożliwe - szepnął.

- Więc Roman został zastrzelony z dubeltówki?! - zawołał doktor. - Jest pan pewien, panie majorze, że nie ze sztucera albo na przykład z pistoletu, lecz z dubeltówki?!

Grot nie odzywał się. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego, że tamci nie wiedzą o rodzaju śmierci Rolaka. Jeśli jednak rzeczywiście nie wiedzieli, to skąd słowa Węgierskiego na temat pistoletu? Sztucer - zgoda. Mogli podejrzewać, że ich kolega zginął od kuli ze sztucera, ale pistolet?

- Proszę mi teraz powiedzieć, w jaki sposób otrzymali panowie wiadomość o śmierci redaktora Rolaka? - major powiódł zielonymi źrenicami po myśliwych.

A kiedy poruszyli się niespokojnie, rzucił oficjalnie: - Tylko nie razem, proszę. Po kolei. Może pan redaktor.

- Rudek powtórzył to, co już uprzednio mówił porucznikowi. Gdy skończył, major zapytał:
- A więc robotnik ani nadleśniczy nie wspominali o tym, że Rolaka zabito z broni śrutowej?
  - Nie.
  - A co pan robił w tym momencie na podwórku?
  - Nie rozumiem pytania.
  - No, co pan robił? Był na spacerze, szedł lub wracał na przykład z ustępu, robił pan coś przy samochodzie?
  - Nie widzę związku.
  - Nie szkodzi. Proszę odpowiedzieć.
  - Byłem w sklepie.
  - Po co?
  - No, przecież nie po bombę jądrową! - zdenerwował się Rudek. Przerwał, uśmiechnął się przepraszająco. - Niech się pan nie gniewa, majorze. Kupowałem baterijki do latarki.
  - O której to było?
  - Zaraz po otwarciu sklepu. Kilka lub kilkanaście minut po dwunastej.
  - Czy był ktoś wtedy w sklepie poza panem?
  - Sprzedawczyni i jeden robotnik. Traktorzysta. Taki wąchał. Na nazwisko ma Klekot. Wypiłem z nim nawet szklanekę wina.
  - O! - zmarszczył czoło major. - Z jakiej to okazji?
- Dziennikarz uśmiechnął się zakłopotany.
- Klekot niespodziewanie dowiedział się, że ma dostać jakąś premię czy wyrównanie, już nie pamiętam. W każdym razie, gdy wszedłem do sklepu, już sobie z bufetową popijali.
  - W godzinach pracy?
  - Mówił, że mu traktor nawalił... - Rudek przerwał, zamrugał oczami. - Zaraz. On coś jeszcze powiedział. Coś, takiego, na co wtedy nie zwróciłem uwagi, a co teraz wydaje



mi się ważne, ma może jakieś znaczenie.

Grot patrzył na niego zachęcająco.

- Niech się pan nie denerwuje. Mamy czas.
- Już wiem. Klekot powiedział, że był o świcie za jeziorami i że tam właśnie nawalił mu traktor. A za jeziorami... Panie majorze, jeśli on tam był wczesnym rankiem, to może coś widział, kogoś spotkał, może coś mógłby powiedzieć?

Major nie wykazywał entuzjazmu.

- Może. Dużo pan wypił z tym, jak mu tam, Klekotem?
- Co? Aha, w sklepie. Jedną musztardówkę.
- Co dalej?
- Nic. Wziąłem baterijki i wyszedłem ze sklepu. I właśnie zaraz po wyjściu zobaczyłem nadleśniczego i tego robotnika. Podszedłem do nich i... wtedy się dowiedziałem.

- Niech pan teraz wyteży pamięć, redaktorze. Kto pierwszy panu powiedział, że to właśnie redaktor Rolak nie żyje?

- Właściwie to żaden z nich nie powiedział wprost, że to chodzi o Romana... o redaktora Rolaka. Po prostu nadleśniczy tak mnie jakoś zasugerował, że chyba ja pierwszy o to zapytałem.

- No i?

- Wtedy ten robotnik powiedział, że to on znalazł ciało w sześćdziesiątym czwartym oddziale.

Grot odchylił głowę do tyłu i wypuścił w górę kilka idealnych kółek dymu.

- A kiedy pan zapytał, czy chodzi o redaktora Rolaka, któryś z nich to potwierdził?

- Nie - odpowiedź Rudka była stanowcza.

- W takim razie ktoś zaprzeczył?

- To właśnie najdziwniejsze, że żaden z nich nie odpowiedział mi wprost ani tak, ani nie. Ten robotnik zaczął tak jakoś gadać, że nie miałem wątpliwości, o kogo chodzi.

- Co jeszcze?
  - Chyba już nic. Nawet na pewno nic.
- Major przez chwilę milczał, potem pochylił się lekko ku Wójcikowi.
- Z relacji pańskiego przyjaciela, którą usłyszeliśmy przed chwilą, wynika, że to nie on, lecz pan pierwszy dowiedział się o śmierci redaktora Rolaka.
  - Chyba tak. Bo jeżeli Michał przybiegł do domu bezpośrednio po rozmowie z nadleśniczym, a mogę to poświadczyć, dosłownie przybiegł, a nie przyszedł, ja już o śmierci Rolaka wiedziałem.
  - Od kogo?
  - Najpierw od głównej księgowej, pani Rzęsy.
  - W jakich okolicznościach?
  - Obudziła mnie, ponieważ zaraz po śniadaniu położyłem się spać.
  - Co panu powiedziała?
  - Żebym wstawał, bo redaktor Rolak nie żyje.
  - Wymieniła nazwisko Rolaka? - W głosie majora odezwała się nowa, cieniutka struna, niedosłyszalna dla tych, co go nie znali, ale doskonale słyszalna dla porucznika Rybackiego. - Jest pan pewien?
  - Absolutnie.
  - Panie inżynierze, niech pan sobie dokładnie przypomni. To bardzo ważne.
  - Nie muszę sobie przypominać; Pamiętam.
  - Sam pan mówił, że księgowa... jakże jej tam, Rzęsa, obudziła pana ze snu.
  - Zgadza się. Właśnie dlatego tak dobrze wszystko pamiętam.
  - Niech pan to łaskawie bliżej wyjaśni.
  - Kiedy pani Rzęsa mnie obudziła, z początku nie mogłem się zorientować, o co chodzi. Plotła coś o Rolaku i o zabitym,

więc w pierwszym momencie sądziłem, że Roman zabił byka i trzeba jechać pomóc mu go oporządzić. Kiedy jednak jako tako doszedłem do siebie, zorientowałem się, że takim tonem nie mówi się o zabitym jeleniu. Pani Rzęsa przekazała mi jeszcze prośbę nadleśniczego, abym się zaraz do niego udał, co też niezwłocznie uczyniłem. Pan Józef, niestety, potwierdził słowa księgowej.

Grot pokiwał głową. Zwrócił się do Węgierskiego.

- A pan, panie doktorze? Jak pan się dowiedział o śmierci kolegi?

- Od Michała i Grzegorza. Spałem, kiedy przyszli do mnie z tą wiadomością. Nie mogłem uwierzyć.

- Panie doktorze... - Grot nagle zamilkł. Powiódł oczami po myśliwych i zmienił zamiar: - Więc żaden z panów nie wiedział i nikt was o tym nie poinformował, że redaktor Rolak zginął od broni śrutowej?

Gdy w milczeniu skinęli głowami, na powrót zwrócił się do Węgierskiego.

- Panie doktorze. Na jakiej podstawie powziął pan przypuszczenie, że zabójstwa dokonano nie za pomocą dubeltówki, lecz pistoletu? Ktoś panu to zasugerował?

Węgierski nerwowo oblizał wargi.

- Nikt mi nie sugerował. Sam widziałem.

- Co takiego?! - tym razem Grot nawet nie próbował ukryć zdumienia.

Myśliwych, a także porucznika Rybackiego po prostu zamurowało.

- To znaczy - sprostował Węgierski - nie widziałem samego zabójstwa, ale słyszałem, jak Rolak komuś mówił, że będzie musiał zawiadomić milicję.

- Niech pan opowie, jak to wyglądało - rzekł sucho major.

Doktor odchrząknął.

- Zwykle wieczorem, po kolacji, ucinamy sobie w mieszkaniu pana Józefa, to znaczy nadleśniczego, dwie lub trzy partie brydża. Gramy, chciałem powiedzieć, graliśmy przeważnie w piątkę. My czterej i nadleśniczy lub jego żona. Jeśli umie pan grać w brydża, to pan wie, że przy grze w pięć osób zawsze jedna „odpoczywa”, czeka na swoją kolej. Tak też było wczoraj. Kiedy wychodzącym był redaktor Rolak, nie został z nami w charakterze kibica, lecz poszedł do siebie, do pokoju na górę. W pewnej chwili rozgrywał mój partner - o ile dobrze pamiętam, był nim pan Józef - skorzystałem więc z tego i poszedłem na górę, do toalety. Toaleta mieści się za ścianą pokoju, w którym mieszkalem z Rolakiem. Drzwi do pokoju były uchylone, a właściwie to nawet na pół otwarte, dlatego też słyszałem wyraźnie wszystko, co się tam działo, a częściowo także widziałem.

Węgierski przerwał, chusteczką wytarł spocone czoło.

- W pokoju był Roman i jakaś kobieta. Nie widziałem ich, ale słyszałem wyraźnie głosy. „Kochanie - mówił Rolak. - Niech pani łaskawie położy to, co pani wzięła, z powrotem na swoim miejscu”. Na to tamta osoba: „Nic nie wzięłam, o co panu chodzi?” Na to Roman: „Spluwa to nie zabawka dla grzecznych panienek. Tak samo, jak szperanie po cudzych walizkach nie jest dla niewiast najbardziej twórczym zajęciem”: Kobieta przez chwilę milczała, potem rzekła: „To, że mnie pan przyłapał w swoim pokoju, nie dowodzi jeszcze, że jestem złodziejką”. „To ty powiedziałaś, nie ja” - odparł Roman.

W tym miejscu Węgierski nagle zająknął się, zmieszał, ale już po chwili ciągnął spokojnie dalej.

- Muszę zaznaczyć, że Roman jakoś tak niespodziewanie zaczął do tej kobiety mówić per ty. Chyba w ten sposób chciał

jeszcze dobitniej zaznaczyć swoją przewagę. „A teraz oddaj pistolet” - powiedział. „Nie mam żadnego pistoletu, o czym ty mówisz?” - Ona też przeszła na ty. I w tym momencie usłyszałem odgłos szarpaniny, potem Rolak powiedział: „Czy i teraz będziesz jeszcze twierdzić, że nie miałaś żadnego pistoletu?” „Nie miałam” - roześmiała się kobieta i przyznam, że ten śmiech, choć nerwowy, w jej sytuacji był czymś niesłychanie zaskakującym. Śmiała się, choć została przez niego przyłapana na gorącym uczynku. „Jutro dzwonię na milicję - powiedział Rolak. - Kradzież, czy próba kradzieży broni jest u nas surowo karana”. „Najpierw musisz to udowodnić” - śmiała się dalej kobieta. „Proszę bardzo, mogę zawołać kolegów, oni poświadczą”. „Co poświadczą? Że byłam w twoim pokoju? To może się obrócić przeciwko panu, panie redaktorze. Powiem, że nie tylko zwabiłeś mnie do siebie, kiedy wszyscy inni byli na dole, lecz że próbowałeś mnie zgwałcić, grożąc pistoletem” - powiedziała kobieta. Teraz Roman roześmiał się głośno, jakoś dziwnie, ale w tej chwili kobieta wybiegła z pokoju. Ledwie zdążyłem się ukryć w niszy między łazienką a naszym pokojem. Jak panowie pewnie zauważyli, jest w tej niszy zasłona, za którą stoją przybory do sprzątanania. Za tą zasłoną się ukryłem i przeczekałem jeszcze trochę, aż wyjdzie Roman. Potem poszedłem do łazienki i wróciłem na dół do brydza.

Węgierski skończył i znowu wytarł czoło chusteczką. Porucznik pochylił się ku niemu.

- Co to była za kobieta?
- Nie wiem, bo przecież jej nie widziałem.
- A głosu pan nie rozpoznał?
- Nie.

Teraz wtrącił się major Grot.

- Z pańskich słów, doktorze, wynika, że redaktor Rolak

odebrał swój pistolet. Mimo to był pan przekonany, że pański kolega został zastrzelony z pistoletu. Dlaczego?

Węgierski wytrzymał wzrok majora i odrzekł:

- Dlatego, że dziś, przed wyjazdem na polowanie, pistoletu jednak nie było na swoim miejscu.

- Skradziono go po raz drugi? - uniósł brwi major.

- Nie wiem, czy skradziono. Zaginął.

- Skąd pan to wie?

- Roman, już ubrany, przed samym wyjściem z pokoju zajrzał do walizki i aż zaklął ze zdenerwowania. Powiedział, że ta idiotka znowu tu musiała być, czy coś takiego. A ponieważ wiem, gdzie pistolet przechowywał, bo przecież był moim współlokatorem, nie miałem więc wątpliwości, o co mu chodziło. Zwłaszcza w połączeniu z usłyszaną wczoraj rozmową.

Major z porucznikiem nie dali nic po sobie poznać. Nie powiedzieli, że kiedy badali pokoje myśliwych, w walizce Rolaka znaleźli pistolet rzucony byle jak między bielizną, choć głębiej leżała otwarta kabura, w której właśnie powinien się znajdować. Pistolet zresztą nie był od dawna używany, co major stwierdził z łatwością. Magazynek był pusty, pociski z niego denat miał starannie ukryte w jednej z wewnętrznych kieszeni swojej myśliwskiej bluzy.

Z tych właśnie względów Grot nie przywiązywał dotychczas specjalnej wagi do pistoletu. Teraz zastanawiał się, czy słusznie.

## Rozdział 13

Następnego dnia major Grot został wezwany do komendy wojewódzkiej, do gabinetu komendanta. Oprócz gospodarza był tam także pułkownik Jankowski i jakiś cywil, którego Grot nie znał, a którego przedstawiono mu jako porucznika Zawadzkiego, pracownika Komendy Głównej, eksperta od biżuterii. Major był zaskoczony, że odrywa się go od sprawy morderstwa, którą aktualnie uważał za najważniejszą, ale, jak zwykle, zachował kamienny spokój.

Pułkownik Jankowski, witając się z nim, nieznacznie się uśmiechnął.

- Wiem, co masz na głowie - powiedział, jakby czytał w jego myślach. - Ale nasze spotkanie nie będzie długie, a to, o czym chcemy cię poinformować, przyda ci się, być może, w rozwiązaniu zagadki śmierci Rolaka. W każdym razie z pewnością ci w tym nie przeszkodzi. Poruczniku Zawadzki, referujcie.

Zawadzki mówił nieco rozwlekle, ale jego relacja była jasna i wyczerpująca.

W jednym ze sklepów Desy w Warszawie wystawiono na sprzedaż, jak najbardziej zresztą legalnie, historyczną broszę Radziwiłłów. Była to brosza prastarej hinduskiej roboty, wysadzana diamentami, eksperci określili jej wartość na 600 tysięcy złotych. Za taką właśnie cenę wystawiła ją na sprzedaż Desy.

Do tej pory wszystko jest w najlepszym porządku. Przy najmniej na pozór.

Bo oto tego samego dnia, gdy klejnot znalazł się na wystawie, zjawił się w sklepie, dosłownie w minutę po jego otwarciu, elegancki pan w średnim wieku, z walizką, w której znajdowało się dokładnie 600 tysięcy złotych i zamienił tę kwotę na broszę Radziwiłłów. Milicja dowiedziała się o tym w

kilkanaście minut później, kiedy elegancki pan, noszący w walizce na co dzień od samego rana 600 tysięcy złotych z taką samą łatwością, z jaką przeciętny śmiertelnik nosi w portfelu kwotę o tysiąc razy mniejszą, zniknął bez śladu, pozostawiając po sobie tylko podziw sprzedawców Desy i zakłopotanie kierownika.

Najszybciej jak tylko się dało, odszukano ekspertów, którzy wyceniali broszę. Okazało się, że ekspertyzy, na prywatne zlecenie, dokonano mniej więcej przed rokiem, i że jeden z ekspertów przebywa w tej chwili poza krajem. Właściciel broszy dlatego dał ją do oceny, że na prośbę dyrekcji pewnego muzeum dołączono ją jako jeden z najcenniejszych eksponatów do wystawy historycznych drogocЕННОści, w związku z czym trzeba było ją ubezpieczyć. Ekspert, którego udało się odszukać, nie mógł zbyt precyzyjnie określić kryteriów wyceny klejnotu.

„Moim zdaniem, jak również zdaniem kolegi, z którym wspólnie badaliśmy broszę, jej cenę można byłoby ustalić wyżej, gdyby diamenty miały szlachetny szlif - tłumaczył ekspert. - Ale szlif był stary, nie uwzględniający obecnych wymagań, trudno było znaleźć precyzyjne kryteria oceny”.

Na pytanie porucznika, ile byłaby warta brosza, gdyby jednak szlif był szlachetny, bo przecież pomylić się może najlepszy nawet specjalista, ekspert powiedział, że w takim wypadku byłaby ona warta pięć, może nawet sześć razy więcej. I tak sprawa spełzła na niczym.

- Jedyne, co pozostało do zrobienia - powiedział na zakończenie pułkownik Jankowski - to pilnować z maksymalną czujnością wszystkich przejść granicznych, a także, co właśnie jest powodem obecnego spotkania, natężyć uwagę tutaj, gdzie według wcześniejszego rozeznania, zawężając się niektóre nici afery.

- W świetle tego, cośmy przed chwilą usłyszeli, zabójstwo



redaktora Rolaka nabiera innego charakteru - powiedział Grot po chwili. - Zyskuje, że tak powiem, racjonalne podstawy, których mi dotychczas brakowało. Nie jest to zresztą całkiem pewne, ale jest możliwe.

- Jakie macie powody, majorze, żeby łączyć śmierć Rolaka z interesującą nas aferą przemytniczą? - przerwał Janowski.

Grot machinalnie sięgnął palcami do wargi.

- Mam pewne powody. Po pierwsze wiem, iż redaktor Roman Rolak natrafił na trop przemytników.

- Można wiedzieć, skąd wiesz?

- Znałem się z redaktorem Rolakiem. W swojej pracy dziennikarskiej zajmował się on również pisaniem sprawozdań z co ciekawszych procesów sądowych oraz, od czasu do czasu, powieści i opowiadań kryminalnych. Jakies dwa tygodnie temu, kiedy byłem w Warszawie, odwiedziłem go w jego mieszkaniu. Dowiedziałem się, że w aferze przemytniczej klejnotów, a - według naszego kryptonimu - w akcji „Kamienie”, jest dosyć dobrze zorientowany.

- Skąd? - zapytał pułkownik nie zmieniając intonacji głosu.

- Sam byłem zaskoczony. Okazało się, że dowiedział się sporo poprzez branżowy związek zawodowy, do którego należą między innymi pracownicy Desy. Związki zawodowe po swojej linii prowadziły w tej sprawie różnego rodzaju dochodzenia. Oczywiście chodziło o konsekwencje typu administracyjno-służbowego w stosunku do winnych.

- Do tego miejsca rozumiem.

- Kiedy byłem u niego z wizytą, powiedział mi, że tę aferę rozwiąże wcześniej niż milicja i że napisze wreszcie autentyczną powieść kryminalną z własnych przeżyć, nie z dokumentacji czy relacji.

- I co ty na to?
- Uczyniłem wszystko, aby go odwieść od jakichkolwiek działań na własną rękę. Ostrzegałem zarówno przed odpowiedzialnością karną za ukrywanie przed organami prawa jakichkolwiek wiadomości na temat przestępstwa, jak i przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, gdyby przestępcy poczuli się z jego strony zagrożeni.

Pułkownik o ćwierć tonu zniżył głos.

- Nie wykazałeś specjalnego daru przekonywania.
- Niestety! - przyznał Grot. - Trudno było uwierzyć, iż rzeczywiście mógł wiedzieć więcej od nas, a jeszcze trudniej, iż zdecyduje się działać na własną rękę. Zwłaszcza że przy zakończeniu rozmowy sam swoje rewelacje odwołał twierdząc, że chciał mnie w ten sposób zdenerwować i sprowokować do puszczenia farby.

- A nie mogło tak być?

- Mogło. Ale nie było. Proszę, pułkowniku, zechciejcie spojrzeć - major stanął przy Jankowskim podając mu niewielki, złożony na pół kartonik. - To pozwolenie Rolaka na odstrzał zwierzyny płowej i dzików. Znalazł je i pierwszy zwrócił na nie uwagę porucznik Rybacki. Odczytajcie ten zapisek u dołu.

Wszyscy pochylili się nad stołem.

- „Jelenie jedzą klejnoty” - odczytał głośno porucznik Zawadzki. Zdziwiony pokręcił głową. - Co to za szopki, majorze?

- Nie takie chyba szopki, jakby się wydawało - mruknął Jankowski.

Grot z przesadną skrupulatnością zgasił w popielnicze giewonta. Powiedział:

- Ten zapisek może świadczyć o tym, że Rolak wpadł na trop przemytników kosztowności w okolicy, gdzie znajdują się siedliska jeleni. Niewykluczone, że właśnie tutaj, na naszym terenie, gdzie od dłuższego czasu przyjeżdżał na rykowisko.

Był przecież zapalonym myśliwym. To jest właśnie przyczyna, dla której skłonny jestem dopuścić ewentualność związku śmierci Rolaka z działalnością gangu przemytników.

- Rzeczywiście, dosyć ważką przyczyną - zgodził się pułkownik Jankowski. Pozostali z milczącą aprobatą skinęli głowami.

Z kolei Grot zreferował dokładnie dotychczasowy przebieg śledztwa w sprawie morderstwa dziennikarza.

Kiedy skończył, komendant powiedział:

- Radziłbym jednak nie wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Mimo wszystko mamy jeszcze za mało danych, żeby śmierć Rolaka łączyć na obecnym etapie z aferą przemytniczą. Możemy się znaleźć w ślepej uliczce i zamiast ułatwić sobie robotę, tylko ją niepotrzebnie skomplikujemy.

Jankowski i Zawadzki byli podobnego zdania. Grot zresztą też.

## *Rozdział 14*

**O** tej przedwieczornej porze miasteczko wydawało się dużym miastem. Na rynku i przylegających do niego ulicach jarzyły się stosunkowo liczne, choć niezbyt wyszukane w formach neony, płonęły jarzeniówkami wystawy sklepów, świeciły wysokie latarnie i okna mieszkań. Wrażenie wielkomięskości potęgował, jeszcze ruch na ulicach, które właśnie teraz, gdy skończyły już pracę fabryczki i zakłady, warsztaty rzemieślnicze i urzędy, instytucje usługowe i większość sklepów, zaludniły się spacerowiczami nie tyle dotleniającymi swoje wyczerpane całodzienną pracą organizmy, co raczej szukającymi znajomych do wymiany plotek i podzielenia się

wiadomościami o ostatnich sensacjach dnia. Te sensacje nie odbiegały na ogół w swoich rozmiarach od całokształtu życia miasteczka, były akurat na jego miarę. Sprawy, które gdzie indziej przeszłyby niezauważone, tutaj odgrywały ważną rolę w aktywizacji kontaktów towarzyskich i w ubarwianiu nie bardzo barwnej, od lat ustabilizowanej egzystencji.

Ławki na rynku i na okolicznych skwerach były zajęte do ostatniego miejsca, tak samo jak nieliczne restauracje i kawiarnie. Ludzie siedzieli także i stali na balkonach, wychylali się z okien, nawet pod bramami domów wymieniali ostatnie zdania sąsiedzkich pogwarek, jakby wszyscy pragnęli nie tylko zmanifestować swoją w tym mieście obecność, lecz także przyczynić się do jego ożywienia.

Porucznik Rybacki przechadzał się przed kawiarnią „Leśna”. Punktualnie o dziewiętnastej zajął do środka, ale Wiesi jeszcze nie było. W kawiarni panował zresztą ścisk, toteż, rozejrzawszy się dokładnie po zadymionym wnętrzu, z ulgą wyszedł na ulicę. Wieczór był ciepły i pogodny, spacer więc stanowił dla porucznika czystą przyjemność. Z doświadczenia wiedział, że ma przed sobą co najmniej kwadrans czekania, jeśli nie więcej, albowiem magister Wiesława Karaś nie należała do kobiet, które czekają, lecz do tych, na które się czeka. Punktualny zawsze co do minuty porucznik Rybacki próbował ją w początkach znajomości nauczyć tej pięknej cechy, musiał jednak przyznać, że efekt, jaki uzyskał, był równy efektowi ataku Don Kichota na wiatraki. Denerwowało go to, próbował nawet tę znajomość zerwać, ale po krótkiej zresztą przerwie w spotkaniach, powrócił do niej któregoś dnia, jakby nigdy nic się między nimi nie wydarzyło. Raz tylko jeszcze, kiedy czekając na Wiesię w parku na deszczu zmókł pod krzakiem jak zając i kiedy ona w ogóle nie przyszła, jedynie nazajutrz

zadzwoiła, że nie mogła, bo miała w aptece pilne recepty do wykonania, nie wytrzymał i powrócił do tematu punktualności:

- Dzisiaj dzwonisz, a wczoraj to nie mogłaś, co? Czekałem czterdzieści minut, rozumiesz? Całe czterdzieści minut!

- Tylko czterdzieści minut? - zdziwiła się szczerze w słuchawce. - Czekaleś zaledwie czterdzieści minut, a robisz takie piekło?

Zgrzytnął zębami tak głośno, że z pewnością musiała to zgrzytnięcie usłyszeć, ale powiedział głosem słodkim jak czekoladka:

- Chciałem cię, kochanie, poinformować, że nie należę do mężczyzn, którzy pozwalają się kobiecie wodzić za nos i którzy na kobietę wyczekują godzinami.

Głos miał jak czekoladka, ale Wiesława musiała się w nim doszukać trucizny, bo nagle spokorniała.

- Przepraszam cię, Stefanku - powiedziała przymilnie. - Czterdzieści minut to chyba naprawdę długo.

- Chyba! - nabrał pewności siebie i krzyknął do słuchawki. - Żeby mi to było ostatni raz, słyszysz?

- Ależ słyszę - przyświadczyła z nagłym śmiechem, który go zupełnie zbił z pantafyku. - Słyszę cię doskonale, Stefanku, i chciałabym bardzo, żebyś ty mnie także zechciał wysłuchać i zakarbować sobie w pamięci to, co ci powiem. A powiem ci jedno: nie należę do kobiet, którym można bezkarnie robić awantury za czterdzieści minut czy nawet za czterdzieści godzin czekania. Na takie kobiety jak ja, Stefanku, czeka się niekiedy całe życie. Jeszcze ci nikt o tym nie powiedział?

I odłożyła słuchawkę.

Od tamtej pory unikał z Wesią rozmów na temat punktualności. Musiał zresztą przyznać, gwoli prawdzie, że i ona już więcej nie wystawiała go na tak ciężkie próby, jak wtedy w

parku i utrzymywała swoje spóźnienia w przeciętnej normie jednego kwadransa. Z odchyleniami, rzecz jasna, ale nic na to nie mógł poradzić. Zajrzał jeszcze raz do nieco już mniej o tej porze zatłoczonej „Leśnej”, a nie dostrzegłszy nigdzie Wiesi, czego się zresztą spodziewał, ruszył w kierunku ulicy Basztowej. Nie miał, oczywiście, najmniejszej nadziei, żeby jego szef do tej pory upajał się wonią cienistych kasztanów, ale chciał mieć przynajmniej czyste sumienie. W związku z tym nawet się zbytnio nie spieszył.

Kiedy jednak znalazł się na Basztowej, w pobliżu przedszkola, przetarł oczy ze zdumienia. Wartburg majora stał pod kasztanami, on sam tkwił za kierownicą, natomiast na tylnym fotelu znajdowały się dwie kobiety, z których jedną, kiedy już był przy wozie, rozpoznał natychmiast.

Nie mógł później zrozumieć, jak to się stało, że mimo wszystko zachował względny spokój. W samochodzie bowiem, zajęta beztroską rozmową ze swoją sąsiadką, siedziała ta, na którą czekał pod kawiarnią - pani magister Wiesława Karaś.

## *Rozdział 15*

- **N**iechże pan siada, poruczniku - major uprzejmie otworzył drzwiczki wartburga. - I tak jest pan spóźniony prawie godzinę.

Rybacki machinalnie zajął miejsce przy zwierchniku, machinalnie uklonił się siedzącym z tyłu kobietom.

- Kopę lat, panie Stefanie! - wykrzyknęła z radością ta, która siedziała za Grotem i z wyciągniętą ręką pochyliła się ku niemu.

Porucznik mruknął coś niewyraźnie. Nic z tego wszystkiego

nie rozumiał. Grot zaprosił go na to wieczorne spotkanie po powrocie z województwa, zaznaczając, że będzie ono najzupełniej prywatne i że może w związku z tym przyjść ze swoją dziewczyną, jeżeli takową ma.

- Ja też prawdopodobnie nie będę sam - dodał tajemniczo.

Rybacki był zdziwiony, że major w najgorętszym okresie śledztwa znajduje czas na osobiste przyjemności, ale nie ośmielił się swoich myśli wypowiedzieć głośno. Prawdę mówiąc, nawet się ucieszył, z Wiesią bowiem w ostatnich dniach nie miał okazji się widzieć. Zaproszenie przyjął więc bez większych obiekcji.

- Jedną z pań znacie - powiedział Grot z dziwną intonacją głosu. - Moją żonę, Danutę. Pozwólcie, że przedstawię was drugiej pani. To porucznik Wiesława Karaś, pracownik naszej komendy wojewódzkiej.

- Porucznik Karaś - powiedziała sąsiadka pani Danusi i z promiennym uśmiechem wyciągnęła rękę. - Na imię mi Wiesława, a dla przyjaciół Wiesia.

- Rybacki - automatycznie powiedział nazwisko dotykając ustami wyciągniętej ręki. - Porucznik Stefan Rybacki.

Nagle zrozumiał, że trójka pasażerów wartburga ze zwierzchnikiem na czele robi sobie z niego żarty. Wyprostował się i siedząc nieruchomo starał się dociec, co ta cała maskarada miała oznaczać, co się za nią kryło. Skąd się tu wzięła pani Danusia, inżynier budowy maszyn z zawodu. A Wiesia? Co mu ten ukochany przełożony nagadał? Że magister Wiesława Karaś - pracownik miejscowej apteki, pierwsza w jego życiu dziewczyna, którą traktował poważnie - jest porucznikiem milicji i pracuje w komendzie wojewódzkiej? Coś za dużo tego dobrego, aby nie krył się tu jakiś głupi dowcip.

Grot obserwował go spod oka. Nagle odchylił się do tyłu i wybuchnął śmiechem, od którego zatrzęsł się samochód. Po kilku sekundach zawtórowały mu kobiety. Rybacki sam nie mógłby dociec przyczyny, dla której ten śmiech przyniósł mu niespodziewaną ulgę. Może dlatego, że był czymś absolutnie nieoczekiwanym, a więc stanowił jakąś wyzwalającą go z otępienia niespodziankę, a może dlatego, że nie było w nim ani cienia kpiny czy złośliwości. Przeciwnie - stanowił przejaw owej serdecznej, czystej radości, jaką czują dzieci po udanej, nie czyniącej jednak nikomu najmniejszej krzywdy, psocie. Gdy tamci się wreszcie jako tako uspokoili, zwrócił się do Grota, już tylko dla fasonu robiąc obrażoną minę.

- Przepraszam. Czy mógłbym się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi?

Major spojrział na niego z ukosa i jeszcze raz się roześmiał. Uruchoił silnik, ruszył ostro z miejsca i powiedział, tym razem poważnie:

- Nie gniewajcie się, poruczniku, nikt nie miał zamiaru pana obrazić. Koleżanka Karaś jest rzeczywiście naszym funkcjonariuszem, a to, że nie udało się panu jej rozszyfrować po półrocznej bez mała znajomości, świadczy o niej jak najbardziej korzystnie. Trochę pana pewnie zdenerwowało to czekanie w „Leśnej”.

- Miałem już większe zdenerwowania w życiu - wzruszył ramionami Rybacki.

Wyjechali za miasto. Reflektory rozcinały ciemność nocy, z której wybiegał nie kończący się, kręty korytarz drogi. Licznik wskazywał setkę, ale Grot nawet na zakrętach niewiele zmniejszał szybkość. Prowadził pewnie, spokojnie, bez przesadnej ostrożności, lecz i bez niepotrzebnej brawury. Porucznik zauważył ze zdziwieniem, że samochód także można prowadzić z wdziękiem, jeśli ten wdźwięk posiada się na co dzień.



Szpileczka zazdrości znowu ukłuła go w serce.

Kilkanaście kilometrów za miastem skręcili z szosy na leśną dróżkę, gdzie gęsto rosnące wrzosy i karłowate sosenki z samosiewu szorowały z chrzęstem o podwozie i boki samochodu. Grot odpowiednio zmniejszył szybkość, ale prowadził wóz równie pewnie jak na asfalcie, bez wahania wybierał na rozstajach właściwy kierunek. Nie ulegało wątpliwości, że zna las doskonale, i porucznik, który należał do miejskich łyków, miał jeszcze jeden powód, żeby podziwiać starszego kolegę. W pewnej chwili zakosami zjechali w dół i pośród drzew zaświeciła tafla wody.

- Jezioro Czarne - poinformował Grot. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Nad samym brzegiem skręcili w lewo, pozostawiając z prawej strony skąpe światła jakichś zabudowań.

- Międzynarodowy kemping studencki - powiedziała z kolei pani Danuta do swojej towarzyszki. - Teraz tam już pustawo, ale jeszcze dwa tygodnie temu nie można było zasnąć od gwaru, śpiewów i muzyki.

Po pięciu minutach ostrożnej jazdy zatrzymali się na niewielkiej polance położonej na zboczu wzniesienia. Stał tam samotny namiot sporych rozmiarów i nawet niefachowiec mógł się od razu zorientować, że należał on z pewnością do ostatniego krzyku turystycznej mody. Do środka wchodziło się przez rodzaj ganku, na którym stały dwa składane krzesła i taki sam stolik. Porucznika zdziwiło światło wydobywające się spoza zasuniętej, lecz nie zasnurowanej ścianki wejściowej. Ze środka namiotu dolatywały niegłośnie dźwięki muzyki.

- Sierzancie, to my - powiedział major podchodząc do namiotu.

- Tak jest, wszystko w porządku - dobiegło ze środka.

U wejścia ukazał się sierżant Polański. - Jeśli major nie ma nic przeciwko temu, to przejdę się na małe spacer.

- Oczywiście - przyzwolił Grot.

- Pani pozwoli, Wiesiu - powiedziała puszystowłosa majorowa. - Jest pani gościem.

Karasiówna weszła pierwsza, za nią Grotowa, jako trzeci - porucznik Rybacki, którego skrępowanie, że wchodzi przed zwierzchnikiem, major przełamał żartobliwym kuksańcem w bok. Na końcu wkroczył gospodarz.

- Siadajcie - zaprosił. A gdy rozlokowali się na turystycznych łózkach, dodał. - Mam nadzieję, że będziecie się tu czuli dobrze.

Porucznik Rybacki rozglądał się po namiocie.

- Nie wiedziałem, że major spędza wczas w taki harcerski sposób - rzekł. - Można wiedzieć, jaki jest program tej wieczornicy?

. Major zapalił.

- Mylicie się, poruczniku. Nie jestem tu na wczasach, lecz na służbie. A program zaraz rozpoczniemy.

Grotowa nalewała z termosu kawę, podała cukier w kostkach. Jej puszyste włosy lśniły w świetle zawieszanej na maszcie namiotu lampki.

- Nie będę przeszkadzać? - zapytała. - Mogłabym pójść na przechadzkę z sierżantem Polańskim.

- Zostań, Danusiu - Grot rozwiązał jej wątpliwości. - Nie będziemy na razie omawiali aż tak tajnych rzeczy, o których nie mogłabyś wiedzieć. Zresztą wiesz już co nieco. - Zwrócił się do Karasiówny: - Proszę opowiedzieć nam o swoich ostatnich spostrzeżeniach w kawiarni „Leśna”.

Wiesława, która w zamyśleniu patrzyła w ogień i w tym zamyśleniu była bardzo dziewczęca, skierowała twarz w stronę majora.

- Niewiele mam rewelacji - powiedziała z widocznym zmartwieniem. - O wszystkich moich poczynaniach w mieście meldowałam na bieżąco.

- Nie szkodzi - przerwał Grot. - Może pani swoje obserwacje jakoś zresumować. Poza tym porucznikowi Rybackiemu należą się pewne informacje. Pracujemy razem.

Porucznik Karaś strzeliła okiem w kierunku Rybackiego, który udał, że tego nie zauważył. W jej oczach zamigotało rozbawienie, może zresztą był to tylko refleks ognia.

- Jestem stałą bywalczynią kawiarni „Leśna”, jako że po dłuższych obserwacjach miasteczka i jego mieszkańców doszłam do wniosku, iż tylko tam mogą się odbywać interesujące nas, a ciągle niewiadome, kontakty między przemytnikami kosztowności. Inne kawiarenki są zbyt małe, wszystko, co się w nich dzieje, nawet przypadkowym klientom rzuca się od razu w oczy. Również restauracje i inne tego typu placówki nie mogły moim zdaniem wchodzić w grę, ponieważ transakcje były zbyt poważne i połączone ze zbyt wielkim ryzykiem, aby je załatwiać przy alkoholu. No, a gość, który w restauracji nie zamawia alkoholu, budzi u nas natychmiast zainteresowanie. Tak więc pozostawała na dobrą sprawę tylko „Leśna”. Przychodzą tu bowiem dorośli i młodzież, swoi i obcy, zespołowo i indywidualnie, na chwilę i na dłużej, jednym słowem, ta ruchliwa, duża kawiarnia jest idealnym miejscem dla dyskretnych spotkań. Miejsce mojej pracy znajduje się vis á vis „Leśnej”, mogłam więc bez trudu wyskoczyć sobie na kawę, zwłaszcza gdy nie mieliśmy zbyt wielu interesantów, a ich liczba zmniejszyła się znacznie od otwarcia niedawno nowej apteki po drugiej stronie rynku. Nikt się tym moim kawom nie dziwił, bo inne koleżanki robiły to samo.

- I ma być w Polsce dobrze - mruknął major. - Przy takiej robocie.

- Przebywanie w kawiarni należało również do moich obowiązków - oświadczyła dziewczyna z urazą.

Rybacki poczuł, że wzbiera w nim gniew. Więc to tak. Więc ta dziewczyna umawiała się z nim tylko z tej przyczyny, że należało to do jej obowiązków służbowych. Przymknął oczy, aby nikt nie zauważył ich wyrazu.

- Dalej - rozkazał Grot bez zniecierpliwienia.

- Zaprzyjaźniłam się z kelnerkami. Były zaciekawione, skąd się wzięłam w miasteczku, więc powiedziałam, że z Warszawy. Że niby miałam takiego szatana zazdrości, który groził, że mnie zabije, nie tylko ilekroć ja spojrzałam na innego mężczyznę, lecz także kiedy inny mężczyzna spojrzał na mnie. W tych warunkach życie moje stało się piekłem, z którego były tylko dwa wyjścia: samobójstwo albo ucieczka i rozpoczęcie wszystkiego na nowo, w zupełnie innym miejscu, daleko od gwaru wielkiego świata i od blichtru wielkiej metropolii. Wybrałam to drugie.

Po wysłuchaniu mojego życiorysu, kelnerki były bardziej przejęte niż po lekturze „Trędowatej” i gotowe dla mnie na wszystko. Korzystając więc z przychylniej dla mnie aury, nakłoniłam znajome panienki z „Leśnej”, aby zawiadamiły mnie o każdym podejrzanym osobniku, który by się tam pojawił. Aha, zapomniałam powiedzieć, że jeszcze podzieliłam się z nimi moimi obawami, co do tamtego zazdrośnika. Rozpaczałam, że będzie mnie szukał po całej Polsce, bo nie ma nic bardziej strasznego niż urażona męska ambicja, która z mężczyzny robi zwierzę i popycha go do największych podłości.

Kelnerki uwierzyły mi bez zastrzeżeń, dzięki czemu miałam dokładne relacje o każdym chyba obcym człowieku,

który pojawił się w kawiarni w ciągu ostatniego półrocza. Muszę przyznać, że napytałam im kłopotu, bo przecież na ostatnie miesiące przypadała pełnia sezonu turystycznego i obcych tu było od metra. Wypada zafundować dziewczynom po bombonierce. Obywatel major zaakceptuje rachunek, mam nadzieję.

Grot skinął głową z największą powagą. Tymczasem Wiesia, już teraz głosem oficjalnym, ciągnęła niezmiernie.

- Więc, jak koledzy widzą, wyrobiłam sobie niezbędne chody dla skutecznego działania. Niestety, jedynym skutkiem tego działania było kilka zupełnie dla mnie niezrozumiałych zdań, które wydały mi się interesujące jedynie dlatego, że były właśnie niezrozumiałe. Zanotowałam je skrupulatnie i przekazałam majorowi. Muszę przyznać, że trochę mnie zaskoczyła reakcja majora. Te moje notatki bowiem wydawały się go bardzo interesować, może się mylę. Pozwolę więc sobie je przypomnieć w dosłownym brzmieniu.

Dziewczyna sięgnęła dłonią do kieszeni swoich dżinsów i wyciągnęła karteczkę, którą odczytała, odwracając się bokiem do światła dla lepszej widoczności!

- „Słyszałem, że dziki karmi się tutaj złotymi żołądkami” - powiedział pewnego razu do jednej z kelnerek jakiś obywatel wyglądający na urzędnika na delegacji. A kiedy kelnerka spojrzała na niego zdumiona, roześmiała się głośno i tak samo głośno dodał: „Głupstwo, wypilem trochę, wie pani, jak to w podróży, z daleka od żony, dlatego mówię od rzeczy”. Innym razem pani z wyglądu taka... no, z takich, co to interesuje się nimi nasza obyczajówka, zapytała inną kelnerkę: „Proszę pani, czy to w tej okolicy jest to czarne jezioro, z którego o północy wychodzi rusałka z sarną przy boku i w diademie na głowie, a blaskiem tego diademu oślepią ludzi, żeby potem wciągnąć ich w głębinę?” A kiedy kelnerka wybałuszyła

na nią oczy, powiedziała, że to wstyd, nie znać legend swojej okolicy, i sobie poszła. A tu, proszę. Zjawiło się w lipcu paru chłopaków z gitarami, długonogie, brudnoskórne czupiradła, zamówili coca-colę, pobrzdkali na gitarach i też sobie poszli. Tylko że zanim poszli, jeden z nich zaśpiewał dziwną piosenkę, a właściwie mały fragment piosenki:

*„Sosny i perły, i smutek!  
Kiedy nad Brendem pobędę,  
rutę powącham jak truteń,  
zamienię w kamienie legendę.*

Zanotowałam to dokładnie, bo akurat byłam w „Leśnej”. Kolegom chłopaka bardzo się to podobało i prosili, żeby im zaśpiewał dalszy ciąg, ale on powiedział, że zapomniał i może sobie przypomni później. „Dokładnie za dwa dni” - tak powiedział. Zaś nie dalej jak trzy dni temu do kawiarni przyszedł pewien staruszek. Tego dnia też byłam w „Leśnej”. Staruszek miał wielki parasol i bujną siwą czuprynę, poza tym kremową marynarkę z dziwnego materiału, na nogach sandały. Usiadł przy wolnym stoliku niedaleko mnie i na tym stoliku postawił parasol.

Rybacki, który do tej pory nie okazywał ani krzyny zainteresowania, w tym miejscu się zachnął.

- Jak to? Postawił parasol na stoliku? Chyba chciałaś... chciałaś powiedzieć: przy stoliku? Albo go może na stoliku położył?

- Jak mówię, że postawił, to znaczy postawił - odpaliła porucznik Karaś. - I właśnie nie przy stoliku, lecz na stoliku. Wzbudziło to zresztą zainteresowanie wszystkich gości w kawiarni.

- Nic nie rozumiem.

- I nie zrozumiesz, jak będziesz przerywał.

Wiesława zmitygowała się nagle, z przestachem spojrzała na Grotę. Również Rybacki zamilkł skonfundowany. Oboje zdali sobie sprawę, że ich sprzeczka nie bardzo licuje z funkcjami, które pełnili, zwłaszcza że pozwolili sobie na nią w obecności szefa. Porucznik przypomniał sobie jednak, że spotkanie miało być nieoficjalne i odetchnął z ulgą. Miotaly nim mieszane, ale to bardzo mieszane, uczucia, z których w tym konkretnym momencie nad wszelkimi innymi uzyskało przewagę lekceważące zdziwienie. To ma być porucznik milicji? Ta papla? Trajkotka? Idiotka? Zrymowało mu się w myślach jeszcze trzecie słowo: słodka - i to skojarzenie wywołało w nim falę ciepła. W tym samym momencie musiał przyznać sam przed sobą, że Wiesia jest rzeczywiście słodka, najśłodsza i że ani on, ani nikt inny nic na to nie poradzi.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Mów dalej.

Dziewczyna poprawiła się na kocu.

- Mój staruszek postawił więc parasol na stoliku i parasol stał, ponieważ jego rączka była zakończona dużą, gumową przyssawką. Kiedy taką przyssawką pacnąć o gładką powierzchnię, na przykład o szkło, to się przyssie na amen. A stoliki w „Leśnej” mają szklane blaty. Ot, i cała tajemnica stojącego parasola. Staruszek zamówił sok pomarańczowy, zapłacił przy podaniu, ale zanim kelnerka zdążyła odejść, wciągnął ją w taką mniej więcej rozmowę:

Staruszek: „Słyszałem, że macie tu w lasach jelenie i że właśnie odbywają się gody”.

Kelnerka: „Gody? Aha! Pewnie panu chodzi o rykowisko?”

Staruszek: „Co, proszę?”

Kelnerka: „Pytał pan o rykowisko, czy jak to pan nazwał - gody?”

Staruszek: „A właśnie, właśnie. Jelenie gody... Ja też będę miał niedługo brylantowe gody, hi, hi, hi. Nie wyglądam na to, co?”

Kelnerka: „Ależ skąd! Trzyma się pan świetnie”.

Staruszek: „Słyszałem, że jelenie też mają brylantowe gody, ale nie wiem, czy to prawda”.

Kelnerka: „Ja też nie wiem. Ale chyba nie. Jaki tam jeleni dożyłby tylu lat. Myśliwi by nie pozwolili”.

Staruszek: „A ja pani mówię, że w takich wielkich lasach, jak te tutaj, na pewno są jelenie, co obchodzą brylantowe gody”.

Na tym mniej więcej rozmowa się skończyła, bo kelnerka musiała odejść do innych klientów, zresztą, podejrzewam, że traktowała staruszkę jak pomyłonego. Nawiasem mówiąc, wcale jej się nie dziwię. I jeszcze jedno. Dziwaczny staruszek, chociaż taki na oko zwawy, wydawał się dotknięty dość posuniętą głuchotą, bo podczas rozmowy z kelnerką rękę trzymał zwiniętą w trąbkę koło ucha i mówił bardzo głośno. Z konieczności także kelnerka musiała podnieść głos, nic dziwnego, że ich rozmowę słyszał z pewnością każdy, kto chciał czy nie chciał.

## *Rozdział 16*

**D**anuta Grotowa słuchała uważnie. Gdy Karasiówna przerwała relację, zapytała z przejęciem:

- O co tu chodzi w tych wszystkich wariactwach? I co to ma wspólnego ze śmiercią tego dziennikarza?

- Nie wiemy. Ale zapewniam cię, że się dowiemy - powiedział Grot, skubnąwszy wargę. - Dotychczas tropiliśmy jedynie gang przemytniczy. Teraz jednak do przemytu doszło morderstwo - jego głos zabrzmiał tak, jakby ktoś przeciągnął kawałkiem żelaza po szkłe - i sprawa nabrała najcięższej wagi,



wagi ludzkiej śmierci. Przesłębcy przebrali miarę i walka z nimi musi być bezpardonowa. Nie chodzi już tylko o dobro materialne czy kulturalne najwyższej choćby wartości. Chodzi o coś nieporównanie ważniejszego, o ludzkie życie.

Wiedzieli przecież o tym, ale w scenerii, w której się znajdowali, proste sformułowanie majora zabrzmiało szczególnie złowrogo. Dziewczyna okryła się kocem, łagodny powiew od jeziora wydał jej się nagle lodowaty.

- Można, majorze? - zapytała nieco ochryple.

- Proszę.

- Moim zdaniem, nie ma podstaw, przynajmniej ja ich nie widzę, aby łączyć śmierć dziennikarza z ludźmi, którzy nas interesują.

- A jednak - powiedział major. - Popatrzcie sami.

Zbliżając dłoń do ognia pokazał jej pozwolenie odstrzału dla Rolaka, to samo, które pokazywał w komendzie, a które porucznik Rybacki znalazł przy denacie. Odczytała napis i jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Co to ma znaczyć? „Jelenie jedzą klejnoty”? Dla mnie jest to jeszcze jedno z tych dziwactw, które dzieją się w kawiarni „Leśna”.

Rybacki, któremu także ów napis wydawał się dotychczas równie dziwaczny, co nonsensowy, doznał nagłego olśnienia. Powiedział, starannie maskując podniecenie:

- Całkiem niedawno, na tym miejscu i przy obecnych tu osobach, wspomniałaś, Wiesiu, o jakimś staruszkę, który w kawiarni wyrażał swoje zainteresowanie brylantowymi godami jeleni. Czyżbyś zaciekawienie tego staruszka wzięła serio i dosłownie? Czy niezrozumiała początkowo notatka na zaświadczeniu Rolaka nie kojarzy ci się teraz z owym staruszkę?

Wiesia patrzyła na niego z rozchylonymi ustami.

- Myślisz... - wyjąkała. - Myślisz, że może istnieć tu jakiś związek?

- Dobrze myśli - mruknął Grot. - Ja również skłonny jestem przypuszczać, że taki związek istnieje. Tylko na czym on polega?

- To jezioro nazywa się Czarne? - raczej stwierdziła, niż zapytała Karasiówna, ruchem głowy wskazując na ciemną, migotliwą wodę.

- Zgadza się - skubnął wargę major.

Przymknął oczy, po czym zarecytował, naśladowując do złudzenia głos Karasiówny:

- ... „Czy to w tej okolicy jest to czarne jezioro, z którego o północy wychodzi rusałka z sarną u boku i w diademie na głowie”...

Rybacki spojrział z zaskoczeniem tym większym, że zwierzchnik nie wyglądał na takiego, który mógłby czymkolwiek kogokolwiek zaskoczyć. Jeszcze raz pomyślał, że w ocenie ludzi nigdy nie wolno się dawać zwodzić pozorom. Teraz gotów był wypić dzbanek mleka z kożuchem, a mleka z kożuchem nienawidził od kołyski, na dowód tego, że przedstawiciel komendy wojewódzkiej nie pomylił się w cytacie ani o przecinek. A jeszcze ta zdolność naśladowania cudzego głosu i to - bagatela! - głosu kobiety. Co tu ukrywać, major Grot znowu porucznikowi zaimponował.

Żrenice szefa rozpałały się z każdą sekundą jaśniej, jakby je kto od wewnątrz rozdmuchiwał. Odezwał się jednak ostrożnie, zbierając jakieś ulotne jeszcze myśli.

- Porucznik Karasiówna mówiła o diademie, o brylantach, o złotych żółędziach, o perłach... - Przerwał, ze dwie minuty siedział wpatrzony w jakiś punkt na płótnie namiotu. - Jacyś tacy ludzie. Takie dziwaki-cudaki. W każdym razie z miejsca zwracający uwagę. Zaraz, zaraz. Ci ludzie za każdym razem byli inni.

Rybacki sprężył się w sobie, jak przed skokiem z samolotu. Jeszcze przed dwoma laty uprawiał sport spadochronowy i doskonale pamiętał te nie do opisania, niepowtarzalne emocje towarzyszące każdemu skokowi. Od kilku lat wszelkie wrażenia zastąpiły mu emocje współpracy z majorem Grotem, a chociaż były one zupełnie innego rodzaju, to jednak towarzyszący im stopień napięcia mieścił się w podobnej skali.

Karasiówna siedziała w milczeniu. Jej również udzieliła się część tego napięcia, które odczuwał Rybacki. Pani Danuta potrząsnęła bujnymi włosami. Widać było, że również podlega temu samemu nastrojowi.

Grot nie zwracał na nich uwagi. Kontynuował dialog z własnymi myślami:

- Za każdym razem, kiedy cudacznicy, w każdym razie rzucający się w oczy, ludzie mówią o kosztownościach, łączą to w jakiś sposób ze zwierzętami. Dziki, sarny, jelenie... I te zwierzęta również ustawione są w odpowiednim kontekście. Truteń wachający rutę, sarna nad jeziorem Czarnym, dziki jedzące złote żółędzie, jelenie karmione klejnotami.

Napięcie, które czuł w sobie Rybacki, nagle wyładowało się w jednym błysku myśli. Aż podskoczył.

- Obywatelu majorze, czy mogę?

Tym razem Grot uniósł głowę.

- No?

- Ci ludzie z „Leśnej”... Oni coś komuś przekazują!...

Nikt się nie odezwał, słuchali pilnie.

- Ci, że tak powiem, pośrednicy czy nadawcy, zwracają na siebie powszechną uwagę, bo muszą na siebie zwracać powszechną uwagę, bo to należy do ich zadań - dokończył Rybacki.

- Ciekawe! - zachęcił Grot.

- Zwracają uwagę na siebie, żeby ją odwrócić od kogoś

innego. Od kogoś, do kogo kierują swoje dziwaczne słowa, które dla tego kogoś wcale nie są dziwaczne. Są po prostu określoną informacją. Nie informator więc, lecz informowany pozostaje w ten sposób w ukryciu, a kto to jest, tego, być może, informatorzy nie powinni, nie mają prawa się nawet domyślać.

- Będą z was ludzie, poruczniku - pochwalił Grot i podniósł palce do ust gestem małego chłopca, który wkłada sobie do buzi kawałek czekolady.

Karasiówna obrzuciła Rybackiego przeciągłym spojrzeniem. Rybacki nie patrzył na nią, ale czuł na sobie to jej spojrzenie i wiedział, że takim spojrzeniem został obdarowany przez Wiesię pierwszy raz od czasu ich znajomości.

- Jeśli można - odezwała się - to i ja bym chciała dorzucić swoje trzy grosze.

- Jeden wdowi grosz jest cenny, cóż dopiero trzy grosze ślicznej panienci - powiedział Grot dowcipnie.

Po tym humorze Rybacki poznał, że major wie już bardzo wiele i dalsza rozmowa będzie tylko rodzajem testu na jego czy też Wiesi inteligencję.

Mylił się, Grot nie wiedział jeszcze za wiele, choć poczuł, że chwyta za pierwsze mocne ogniwo tej skomplikowanej sprawy. To, co mówili jego podwładni, było raczej potwierdzeniem i uzupełnieniem jego własnych spostrzeżeń. O przyczynie dobrego humoru mieli się dowiedzieć za chwilę.

- Ja myślę, że Stefan ma rację... - zaczęła Wiesia.

- No? - zachęcił major.

Dziewczyna ciągnęła, nieco się zająkując, ale nie tyle z niepewności swoich racji, co raczej z wrodzonej nieśmiałości, którą Rybacki dostrzegł dopiero teraz, a którą zwykle starała się maskować brawurową ironią, kaprysmi, trzpiotowatością i demonstracyjnym zadzieraniem nosa. Rybacki stwierdził ze zdumieniem, że tamta Wiesia, sprzed dzisiejszego wieczora,

była zupełnie inna. Pełna uroku, to prawda, mogąca bez reszty zawrócić w głowie, też prawda, ale jakby uboższa o jakieś cechy swojej osobowości, które dopiero teraz się ujawniły. Jego uczucia do niej pocieplały jak dłonie wyciągnięte nad ogniskiem.

- Chciałabym jednak dodać do tego, co powiedział Stefan, że jeśli ci przyjeźdźni, demonstracyjnie zaznaczający swoją obecność, odwracają od kogoś uwagę, to ten ktoś musi być w mieście znany. Ktoś taki, na kogo nie zwracamy uwagi właśnie dlatego, że go na co dzień widzimy. To nie znaczy, że ten człowiek, nazwijmy go Iks, należy do kręgu naszych osobistych znajomych.

Wcale nie. Ten Iks musi należeć do normalnego krajobrazu miasteczka. I nie może także różnić się niczym specjalnym od przeciętnego bywalca kawiarni „Leśna”. Może jest nawet starym bywalcem tego lokalu?!

W każdym razie musi być miejscowy. To jasne. Przecież te wszystkie typki tam właśnie wygłaszają swoje pozorne idiotyzmy.

Zawiesiła głos wyczekująco. Nie była pewna, czy jej występ autorski, jak to w duchu określiła, będzie dobrze przyjęty. Rybacki trwał w milczeniu, za to Grot powiedział poważnie:

- Towarzyszko Wiesiu, *chapeau bas!* Mój najniższy ukłon i najwyższe uznanie. Twoim wywodom nie można nic zarzucić. Stanowią one doskonałe uzupełnienie spostrzeżeń porucznika Rybackiego. Bardzo żeście mi, kochani, pomogli. Bardzo.

## Rozdział 17

Pięć przed ósmą Grot ustawił wóz na parkingu komendy wojewódzkiej. Chwilę siedział oparty o kierownicę, głęboko nad czymś dumając. Potem westchnął, zgasił papierosa i udał się do budynku, gdzie miał spotkanie z pułkownikiem Jankowskim.

Ten już na niego czekał. Przywitali się i pułkownik od razu przystąpił do rzeczy.

- Masz coś nowego?
  - Niewiele - skrzywił się Grot. - Chwilami wydaje mi się, że zaczynam coś rozumieć, a potem znowu wszystko zasnuwa się mgłą.
  - Poetyzujesz - wtrącił cierpko Jankowski.
- Major nie wydawał się zbyt stropiony tą uwagą.
- Odnoszę wrażenie, jakbym miał w ręku kilka czy nawet kilkanaście wyrwanych stronic z książki, której treści się domyślam, ale ani nie znam nazwiska jej autora, ani motywacji działań bohaterów.
  - Mógłbyś wyrażać się jaśniej?
  - Widzicie, pułkowniku, rzecz w tym, że cała sprawa rozgrywa się w jednym lesie. Powiem więcej, na terenie jednego nadleśnictwa. Klonowa.
  - Nie licząc kawiarni „Leśna”.
  - Tak. Ale ja mam na myśli co innego. Tutaj, w tym lesie jest, że tak się wyrażę, bank kosztowności. Mamy na to wystarczającą liczbę dowodów. W „Leśnej”, jak na pocztce, nadaje się jedynie wiadomość o przesyłce i o tym, gdzie ją można odebrać. - Grot przerwał, powtórzył machinalnie: - Gdzie ją można odebrać... Gdzie ją można odebrać! Pułkowniku, zdaje się, że kolejną brakującą stronicę książki mam w ręku. Albo będę miał w ręku niedługo.

Jankowski potarł wierzchem dłoni policzek. Powiedział:

- Ja też myślałem o jakichś charakterystycznych miejscach czy obiektach w okolicy. Nic takiego, niestety, nie znalazłem. Leśniczówki i gajówki wyłączam.

- Macie rację, pułkowniku. Leśniczówki i w ogóle jakiegokolwiek ludzkie, to jest, mieszkalne obiekty chyba nie wchodzi w grę. Zbyt niebezpieczne. Pozwólcie jednak, że wrócę do sprawy morderstwa.

- Proszę.

Major odetchnął głęboko, jak nurek przed zanurzeniem.

- Moim zdaniem, Rolak znalazł w lesie ten bank kosztowności lub, trzymając się tej nomenklatury, jeden z jego oddziałów. A ponieważ, wbrew jego mniemaniu, to odkrycie nie pozostało nie zauważone, musiał zginąć.

- To brzmi przekonywająco - przyznał pułkownik.

- Myślę także, że Rolak wpadł na ślad meliny przypadkowo i... dawno.

- Dawno? - Jankowski po raz pierwszy zdradził lekkie zdziwienie. - Dlaczego dawno?

- Co najmniej kilka miesięcy, a może rok temu, na poprzednim rykowisku. Kiedy po powrocie do domu Rolak zaczął niuchać za tą sprawą w Warszawie, z pewnością nie uszło to uwagi gangu. Fakt, że od kilku lat poluje w tej okolicy, nie był specjalnie trudny do ustalenia. Jak również to, że interesuje się, jako dziennikarz, specjalnie aferami kryminalnymi.

- Zgadzam się w całej rozciągłości.

- Przyjmuję jednak, bo inaczej trudno to sobie wyobrazić, że Rolak wpadł na ślad gangu przypadkowo. Jeśli jednak taki przypadek zdarzył się raz, dlaczego nie może się zdarzyć po raz drugi i trzeci? Nasi miłośnicy historycznych klejnotów z pewnością zastosują teraz podwójne środki ostrożności,

ale absolutnej pewności bezpieczeństwa już mieć nie będą.

- Rolak musiał rzeczywiście dużo wiedzieć, jeśli zdecydowali się na krok ostateczny.

- A jeśli zdecydowali się raz, zdecydują się i drugi. Dlatego nie wiem, czy się z kimś innym nie zdarzy coś podobnego jak z Rolakiem. Każdy, kto chodzi po tym lesie, ma szansę odkrycia czegoś, czego odkryć nie powinien. I może ponieść w związku z tym ostateczne konsekwencje.

- Za dużo ludzi chodzi po tym lesie, i to nie od dziś, aby nasi „przyjaciele” nie uwzględniali tego w swoich rachubach. Jestem nawet skłonny przypuszczać, że właśnie duża liczba snujących się po tym terenie osób była dla gangu jednym z decydujących argumentów na rzecz zainstalowania tutaj jego etapowej, czy może nawet głównej kwatery.

- Macie absolutną rację. Tylko że ja, mówiąc o ludziach, nie miałem na myśli turystów, grzybiarzy czy nawet sezonowych robotników leśnych. Miałem na myśli służbę leśną i... myśliwych.

- Jako zamieszanych w aferę?

- Nie. Jako przypadkowych odkrywców przestępczych melin.

- Rozumiem. Grzybiarze odpadają, ponieważ są partie lasu, i to wielkie partie, gdzie się nawet muchomora nie uświadczy. Turystów natomiast interesują krajobrazy. Trzymają się więc utartych szlaków, jezior, przesmyków wodnych, w ostępy raczej się nie zapuszczają, choćby z obawy zabłądzenia. Zresztą, czegoż by turyści mogli szukać w niedostępnych uroczyskach?...

- Wśród paru innych niejasności - przerwał Grot kolejny okres milczenia - związanych ze śmiercią Rolaka, jedna interesuje mnie szczególnie.

- Mów.



- Dlaczego Rolak odszedł tak daleko od kolegów? Sprawdziałem trasę swoim wartburgiem. Od miejsca, gdzie stał ich samochód i gdzie rozstali się przed świtem, do miejsca, gdzie spotkał swojego mordercę, jest dokładnie sześć tysięcy czterysta osiemdziesiąt metrów. Oczywiście najkrótszą drogą.

- Myśliwi, o ile mi wiadomo, raczej nie chodzą najkrótszymi drogami. Bo i zwierzyna też nimi nie chodzi.

Jankowski zabębnił palcami po biurku.

- Sześć i pół kilometra - powiedział w zamyśleniu. - Sporo.

- To tylko od miejsca, gdzie się rozstali i gdzie się mieli spotkać. Do nadleśnictwa jest stamtąd ponad dwa razy tyle. Zakładając, że koledzy postanowiliby wrócić do domu nie czekając na niego, co zresztą zrobili i co robili już nieraz, bo taka była między nimi umowa, Rolak musiałby przejść tego ranka na piechotę około dwudziestu kilometrów.

- Ładny spacer. Nawet nieco za ładny, jak na mój gust. Grot odetchnął głęboko.

- Coś mi się widzi, że Rolak udał się za jeziora w zupełnie innym celu niż polowanie.

- Ja też tak początkowo myślałem - powiedział niechętnie pułkownik. - Tylko w jakim? Śledził kogoś, z kimś się umówił? Chciał coś znaleźć, na przykład skrytkę przemytników?

- Ostatnia wersja odpada, według mnie.

- Pewnie, że odpada. Szanujący się morderca nie morduje swojej ofiary na melinie ani w jej pobliżu. A jeśli już nie ma innego wyjścia, stara się możliwie dokładnie zatrzeć ślady swojego czynu i albo ukryć ofiarę dokładnie, albo wywieźć ją na zupełnie inne miejsce. Odpada również chyba wersja śledzenia kogoś przez Rolaka. Ten ktoś musiałby bowiem

znaleźć się w środku lasu przed świtem, Rolak musiałby go spotkać i potem, nie zauważony przez tamtego, przynajmniej początkowo, iść jego tropem. Absurd.

- Absurd - zgodził się major.
- Pozostałaby przeto wersja trzecia: umówione spotkanie.

- To ma ręce i nogi.

- Tylko z kim się Rolak umówił? I po co?

- Na przykład z mordercą.

Grot odwrócił się od pułkownika.

- Sam na sam, o świcie, w środku lasu?

- Rolak mógł nie wiedzieć, że tamten orientuje się w sytuacji. Mógł go o nic nie podejrzewać. Przecież nie zabrał z sobą nawet pistoletu, który w określonych okolicznościach jest o wiele bardziej użyteczny niż, na przykład, sztucer. Aha, prawda. Przecież pistoletu rano nie mógł wziąć, bo go nie było na zwykłym miejscu. À propos. Od kiedy Rolak miał pozwolenie na broń krótką?

- Od maja. Sprawdziałem.

- To by się zgadzało.

- Myślicie, pułkowniku, że właśnie wtedy Rolak coś odkrył?

- Dopuszczam taką ewentualność.

Grot zaciągnął się reszką papierosa, aż ogień sparzył mu palce. Wrzucił peta do popielniczki, zatrzaskał ją nieco za głośno.

- Wasza wersja, pułkowniku, bardzo mi odpowiada. Ale mam jeszcze inną, może nie równorzędną, jednak wartą rozważenia.

- Chyba się jej domyślam. Rolak jako współnik przestępców?

- Czytacie w moich myślach.

Tamten odkaslnął kilkakrotnie, co zabrzmiało jak śmiech

człowieka cierpiącego na ostry ból gardła. A może na odwrót. Może to był właśnie rodzaj śmiechu, który wyglądał jak atak kaszlu.

- Nie znam się na telepatii. Ale jeśli i taką hipotezę masz w zanadrzu, to musisz ją chyba z zanadru przełożyć do tylnej kieszeni. Gdyby Rolak miał coś wspólnego z gangiem, toby się tym nie chwalił. Nawet jeśli to mówił w sensie pozytywnym, że szuka autentycznego, opartego na własnych przeżyciach materiału do powieści, musiał wiedzieć, że zwróci tym na siebie uwagę.

- To by mu niewiele zaszkodziło.

Pułkownik zrobił pół obrotu w kierunku Grota.

- Jak to rozumiesz?

- Redaktor Roman Rolak miał już paszport i wykupiony bilet lotniczy do Paryża na trzeciego października. Sprawdziłem to, wczoraj dzwoniłem do biura paszportów. A zakończenie polowania i powrót do Warszawy wszyscy czterej myśliwi planowali na drugiego października. Przyznacie, pułkowniku, że jedna niecała doba na przygotowanie takiego wyjazdu, szczególnie po dwutygodniowej nieobecności w domu, nie jest zbyt marnotrawstwem czasu.

- Nudzicie mnie, majorze - głos Jankowskiego wyrażał to znudzenie. - Ale żeby nie przeciągać zabawy w ciuciubabkę, coś ci powiem. Po pierwsze. Popeliłeś błąd, mówiąc, że masz czy będziesz mieć wkrótce jedną z brakujących do twojej książki stron i sądząc, że ja twojego wyznania nie zauważę. Zbyt szybko zmieniłeś temat rozmowy. Po drugie. Nie zasługiwałeś na swoją sławę, gdybyś nie dowiedział się wszystkiego o Romanie Rolaku zaraz po spotkaniu z nim i po jego przechwałkach w Warszawie. Zbyt mocno jesteś w tę sprawę zaangażowany, aby przepuścić choćby najmniejszy drobiazg, który się z nią wiąże lub może wiązać. A słowa

Rolaka nie należały raczej do godnych zlekceważenia drobiazgów. Prawda?

Grot wkułił głowę w ramiona.

- Prawda. Przyznaję, że prawda.
- Więc wiedziałeś o jego paszporcie jeszcze w Warszawie?
- Wiedziałem.
- O pozwoleniu na broń osobistą także?
- No pewnie.

Jankowski ciągnął z niezmiernym znudzeniem, lecz i ze znudzonym nieubłaganiem. Jakby go to wszystko ani krzty nie interesowało; jakby mówił, aby mówić.

- Po trzecie. Dowiedziałeś się z pewnością wszystkiego o myśliwych przed ich przyjazdem na rykowisko. Być może nawet nie wszyscy z tych, którzy wybierali się przyjechać, przyjechali. Ale to ich nie mogło uchronić przed twoim wścibstwem. Po czwarte. Podobnie zebrałeś, i to stosunkowo dawno, możliwie maksimum wiadomości nie tylko o terenie, lecz również o ludziach tam pracujących. Od nadleśniczego i jego rodziny poczynając, na sezonowych robotnikach kończąc. Co więc zamierzasz robić, żeby swoją edukację na ich temat doprowadzić do końca? - pułkownik z lekka poprawił się w fotelu. - Pytam oficjalnie.

Grot westchnął z nieudaną bezradnością.

- Pułkowniku, nie wiem. Ale mam nadzieję, że będę wiedział. Może jutro. Gdy rozszyfruję to.

Wyciągnął z kieszeni złożoną we czworo kartkę papieru i pochylił się ku Jankowskiemu. Ten z przekrzywioną głową przypatrywał się kartce, którą Grot ostrożnie rozwijał.

- Zaświadczenie, a właściwie pozwolenie z koła łowieckiego „na odstrzał byka, dwóch łań, cielaka, kozła i dzików”. - czytał Jankowski. - Wydane na nazwisko Romana Rolaka.

- Normalna rzecz na polowaniu - powiedział Grot. - Każdy myśliwy musi mieć z sobą coś takiego.

- Nie ucz ojca robić dzieci - poradził dobrodusznie pułkownik. - To ja poluję, nie ty i trochę lepiej się znam na tych sprawach.

- Racja - przyświadczył Grot. Nagle głos mu się zmienił. - Pułkowniku, to może wy... Jasne, że powinniście coś z tego zrozumieć!

- Z czego? - przytomnie zapytał pułkownik.

- Z tego - Grot odwrócił dokument na drugą stronę i podsunął do samych oczu Jankowskiemu.

Na odwrocie zaświadczenia widniał niezdarny, ale wyraźnie wykonany rysunek. Przedstawiał coś w rodzaju chatki Baby Jagi, z tą różnicą, że stał nie na jednej kurzej nóżce, lecz na czterech solidnych podpórkach, na których, na pewnej wysokości od podstawy, wznosiła się konstrukcja przypominająca do złudzenia drabiniasty wóz. Spomiędzy szczebli czy też żeber tej ściano-drabiny wysuwały się jakieś kłaki. Osobliwą budowlę przykrywał spadzisty dach, jota w jota podobny do strzech chłopskich chałup, których w różnych częściach polskiego krajobrazu jeszcze wiele pozostało.

Jankowski przypatrywał się rysunkowi.

- Nie może to być nic innego, jak zwykły, najzwyklejszy paśnik dla saren - powiedział po chwili.

Grot nie mógł ukryć rozczarowania.

- Dla saren?! Jesteście pewni, że tylko dla saren?

- Jestem pewien - powiedział Jankowski. - Takie paśniki buduje się w lesie dla saren. - I po przerwie dodał: - Identyczne zresztą dla jeleni.

- Uff! - sapnął z ulgą Grot. - Aleście mnie wytrzymali, pułkowniku. Jeden zero dla was.

- Według moich obliczeń co najmniej pięć - sprostował pułkownik ze słodyczą. - Ale nie bądźmy drobiazgowi.

- Wiedziałem od razu, że to paśnik - Grot nie chciał być drobiazgowy i pominął sprostowanie szefa dyplomatycznym milczeniem. - Jednak, ponieważ taki ze mnie myśliwy, jak z krowiego placka kapelusz, musiałem sprawdzić, czy to rzeczywiście paśnik dla jeleni.

- A więc już wiemy, gdzie jelenie jedzą klejnoty. W paśniku

- Niestety, nie wiemy, w którym - spochmurniał major. - Sam tych cholernych paśników widziałem kilka.

- Każdy obwód łowiecki posiada mapę swojego terenu, na którą można nanieść wszystkie tego typu obiekty. Paśniki, lizawki, ambony, punkty wykładania karmy dla dzików i tak dalej. W nadleśnictwie i w poszczególnych leśnictwach muszą mieć wykazy tych punktów.

Major poruszył się energicznie.

- Nie możemy się zwrócić do służby leśnej - powiedział stanowczo.

- Takie buty - zamruczał domyślnie pułkownik. - Może by więc przez Zarząd Okręgu Lasów?

- Pułkowniku - głos Grota drżał od tłumionej pasji. - Mam oczywiście sposób szybkiego i dyskretnego zdobycia tych danych, ale to niewiele nam da. Obiektu, który nas interesuje, wśród tych danych raczej nie będzie.

Jankowski popatrzył uważnie w kocie oczy rozmówcy.

- To już bliżej jesteś celu, niż mogłem sądzić, majorze. Dawaj, co tam jeszcze masz w zanadrzu.

- Sądzę, że ani myśliwi, ani w zarządzie nie mają pojęcia, gdzie ten paśnik leży i normalną drogą tego się nie dowiemy.

- Znasz drogę nienormalną?

Major nie zwrócił uwagi na leciutki sarkazm w głosie

zwierzchnika. Zapalił kolejnego giewonta, mówił przez kłęby dymu.

- Mogę z grubsza określić rejony, gdzie nasz obiekt nie może leżeć. Na przykład, nie może leżeć za jeziorami - w dużym, może parokilometrowym promieniu od miejsca śmierci Rolaka. Na to zgodziliśmy się już wcześniej. Dalej: nie może leżeć ani w pobliżu nadleśnictwa, ani w pobliżu żadnej z leśniczówek. Zbyt wiele się tam kręci ludzi.

- To założenie jest nieco mniej przekonujące - wtrącił pułkownik.

- Ja je przyjmuję. Zakładam bowiem, że kosztowny towar dostarcza do punktów odbioru ktoś obcy, a obcy, jako się rzekło, zawsze budzi w lesie zainteresowanie. Dalej. Nasz obiekt nie może leżeć również na terenie częstej penetracji myśliwych, czyli na terenie, który jelenie wybrały sobie na miejsce miłosnych igraszek. Jak widzicie, pułkowniku, zamiast szukać na jedenastu z okładem tysiącach hektarów, możemy nasze poszukiwania ograniczyć do jednej czwartej, no, powiedzmy, do jednej trzeciej tego obszaru. A to już jest coś. Jeśli rzecz jasna przyjmujemy słuszność moich założeń. I ten obszar jutro określe - dokończył Grot z przekonaniem.

- A więc do roboty - Jankowski podniósł się z krzesła. - Widzę, że już cię ponosi. Aha. Chciałbym się jeszcze zapytać o naszego człowieka, tam w lesie. Przecież, jeśli komukolwiek miałoby jeszcze coś grozić, to chyba tej właśnie osobie.

- Nie będę udawał, że nie dzielam waszych obaw - Grot mówił półgłosem, bez ukrywania gnębiącej go troski. - To świetny człowiek, ale amator. Niestety, nie mogę jeszcze zrezygnować...

- Rozumiem - uciął Jankowski. - Powodzenia.

## Rozdział 18

**P**orucznik Rybacki ogarnął spojrzeniem nienagannie ubranego i wyświeżonego, jak po urlopie na Wyspach Kanaryjskich, majora Grot. Pomyślał przy tym z jakąś masochistyczną zazdrością, że podziwiany zwierzchnik prawdopodobnie nie miał w życiu kłopotów sercowych, ponieważ i w tych sprawach na pewno należał do asów. Porucznik był tak przygnębiony, iż nawet niespodziewana myśl, że chyba również Wiesia nie oparłaby się urokowi szefa, gdyby ten raczył na nią zagiąć parol, nie za bardzo już pogłębiła jego zrezygnowanie.

- Jak tam noc, poruczniku? - wesoło rzucił Grot.

Rybacki wykrzywił gębę, co miało oznaczać uśmiech i zadowolenie z życia.

- Noc jak noc, szefie. Bywały gorsze.

- Ale i lepsze też, nie? - spojrzał na Rybackiego wzrokiem bezczelnej niewinności. - Musimy się zabrać ostro do roboty. I zorganizujcie wszystko tak, żeby nam nikt nie przeszkadzał.

- Zorganizowałem. Jeszcze wczoraj.

- Doskonale. Zawsze wiedziałem, że można na was polegać.

Grot podziękował za kawę, którą chciał go poczęstować Rybacki. Zamiast kawy zapalił giewonta, nie zapomniawszy uraczyć tym swoim specjałem młodszego kolegi. Po trzech dymkach porucznik poczuł czczość w żołądku i jego niechęć do świata jeszcze bardziej wzrosła.

Zwierzchnik nie dał mu jednak okazji do zbytowego rozczulania się nad sobą. Przede wszystkim kazał wystarać się w ekspresowym tempie o dokładną mapę nadleśnictwa Klonowo i przylegających okolic. Ta sprawa była stosunkowo prosta i



Rybacki załatwił ją jednym telefonem. Z kolei major polecił wezwać na oficjalne przesłuchanie kilka osób, z których dwie - Bułęcką i Wójcika - postanowił przesłuchać osobiście i oddzielnie.

Rybacki po krótkim namyśle na pierwszy ogień poprosił redaktora Michała Rudka. Wychodził z założenia, że dziennikarz może o dziennikarzu wiedzieć więcej niż ktokolwiek inny, zresztą, o czym porucznik wiedział, przed kilku laty Rudek z Rolakiem pracowali w tej samej redakcji. Poprzysiął sobie, że choćby miał użyć najdrastyczniejszych metod, dowie się od pana redaktora wszystkiego, co może mieć znaczenie dla sprawy. Jakże miałyby być te najdrastyczniejsze metody, nie mógłby na razie określić, mimo to obiecywał sobie po tym przesłuchaniu wiele. „Przenicuję go jak starą kapotę - zawziął się w duchu - ale muszę go rozpracować do końca”. Szczególnie jedno pytanie nurtowało młodego oficera i od tego pytania zaczął indagację:

- Niech mi pan powie, redaktorze, dlaczego spodziewał się pan śmierci swojego kolegi po fachu, Romana Rolaka?

Nie bawił się w ceregiele, postanowił iść na całego. Zaskoczenie przeciwnika to połowa zwycięstwa, mówi stara maksyma. Porucznik Rybacki wierzył maksymom, zwłaszcza starym. Maszyna protokolanta stuknęła pospiesznie.

- Nie spodziewałem się - odparł tamten spokojnie.

- Zawodzi pana pamięć - powiedział porucznik ze współczuciem. - Wobec tego pozwolę sobie odczytać panu fragmenty oświadczenia nadleśniczego, Józefa Sosnowskiego.

Pogrzebał niespiesznie w leżących przed nim papierach, wyciągnął jedną z kartek i przeczytał odpowiedni ustęp. Po

prawdzie, to ten ustęp i jeszcze kilka innych spreparował sobie częściowo w swoim domu w nocy, częściowo w komendzie, przed przybyciem wezwanych. Zresztą, zrobił te swoje notatki na podstawie wczorajszych wstępnych rozmów w nadleśnictwie. Nie było więc żadnych oficjalnych protokołów, ale w końcu, co to miało do rzeczy. Notatki pokrywały się z pierwszymi ustaleniami, a że porucznik wyjmował je z pliku innych papierów, to jedynie dodawało im powagi.

- Wyraziłem się, twierdzi nadleśniczy, że mogłem się czegoś takiego, jak śmierć kolegi, spodziewać? - w głosie Rudka było zastanowienie, lecz ani krzyny niepokoju. - To chyba brzmiało nieco inaczej.

- Słowa nadleśniczego potwierdza robotnik, jakże mu tam, Grzyb. Maciej Grzyb. Ten robotnik był przy pana rozmowie z nadleśniczym.

- Może obydwaj się mylą? - wyraził przypuszczenie dziennikarz. - Ale zaraz, niech sobie to dokładnie w pamięci odtworzę.

- Byłoby to nadzwyczaj pożądane.

- Śmierć, a właściwie wiadomość o śmierci Romana spadła na mnie jak grom z jasnego nieba - odezwał się dziennikarz po chwili.

- Dostyc wyświechtana metafora - skrytykował Rybacki.

- Nie stać pana na coś świeższego?

Rudek pokręcił głową.

- Trudno będzie panu w to uwierzyć, ale naprawdę wiadomość o zabójstwie Romana spadła na mnie zupełnie niespodziewanie. Dlatego, być może, powiedziałem mimo woli coś takiego, czego nie powinienem był powiedzieć.

- Czyli że gdyby pan był mniej zaskoczony, nie powiedziałby pan nic mimo woli? Na przykład, że mógł się pan

spodziewać śmierci kolegi?

- Na przykład.
  - Więc nie zaprzecza pan, że coś takiego powiedział?
  - Nie zaprzeczam, ale i nie potwierdzam. Nie pamiętam.
  - Jednak taka możliwość istnieje?
  - Istnieje.
  - Coś jednak, poza zaskoczeniem, ten pański lapsus musiało spowodować. Moment zaskoczenia jedynie pozwolił się pańskim obawom uzewnętrznić.
  - Ma pan rację.
  - Więc jednak - uniósł brwi Rybacki. - Na jakiej podstawie wiadomość o zabójstwie skojarzył pan sobie z osobą swojego kolegi?
  - Dwa dni wcześniej słyszałem pewną rozmowę.
  - Jaką rozmowę?
  - Właściwie to nie była rozmowa, lecz kłótnia. W każdym razie gwałtowny spór.
  - Między kim?
  - Tego właśnie nie wiem. To znaczy, znam jedną z kłócących się osób, bo druga zachowywała się zupełnie inaczej niż pierwsza. Mówiła cicho, niewyraźnym głosem, nie rozpoznałbym tej osoby, jeśli by nawet był to mój rodzony brat.
  - Powiedział pan: mój rodzony brat. Z tego wynika, że ta druga osoba to był mężczyzna?
  - Jestem pewien.
  - Dobrze. Kim była pierwsza osoba? Ta głośna.
  - Nadleśniczyna. Pani Sosnowska.
  - Czy tego jest pan również pewien?
  - Absolutnie.
- Porucznik na chwilę oderwał wzrok od dziennikarza, po-  
grzebał z zastanowieniem w papierach.

- Jest pan absolutnie pewien, że jedną z kłócących się osób była pani Sosnowska, natomiast drugiej osoby nie może pan określić. Może to był ktoś nieznamy?

- Raczej nie. Głos był mi znany, z pewnością go już słyszałem i to chyba stosunkowo często, jednak nie potrafiłbym ani wtedy, ani teraz określić, do kogo należał.

- Kłócących się osób pan nie widział?

- Nie.

- To było w nadleśnictwie?

- Co?

- Ta kłótnia. W biurze, w jakimś pokoju?

- To było na terenie nadleśnictwa, ale dosyć daleko od zabudowań, przy parkanie okalającym ogród.

Może poczucie pewności siebie pozwoliło Rybackiemu zachować maksimum cierpliwości.

- Więc jednak widział pan obydwie osoby?!

- Nie widziałem ani jednej.

- O ile pamiętam, parkan jest tam z drucianej siatki.

- Dobrze pan pamięta. Ale tych osób nie widziałem, ponieważ było wtedy ciemno, zupełnie ciemno. Choć oko wykol, jak to się mówi. Około dziesiątej wieczorem wracałem z lasu piechotą, koledzy przebywali już dawno w domu. Uprzedziłem ich zresztą, żeby na mnie nie czekali.

Rybacki wlepił oczy w dziwnie spokojną twarz dziennikarza.

- Co było przedmiotem kłótni?

- Nie wiem.

- Nie rozumiem!

- Nie wiem, bo słyszałem tylko kilkakrotnie powtórzone przez panią nadleśniczynę dosyć niecodzienne słowa.

- Co to znaczy: niecodzienne?

- Pani Sosnowska obiecywała komuś coś, czego się na

ogół codziennie nie obiecuje. Mówiła: „Zabiję cię. Jeśli nie skończysz tamtej sprawy, zabiję”. Potem odezwał się drugi cichy głos, jakby jej coś tłumaczył, o czymś przekonywał, ale pani Sosnowska przerwała mu z pasją. Tak, dobrze mówię, w jej głosie była wyraźna pasja, aż się trochę przestraszyłem. Powtórzyła: „Zbyt długo nadużywasz mojej cierpliwości. Robisz ze mnie idiotkę, kompletną idiotkę, ale ja na to nie pozwolę. Zabiję cię”. Znów usłyszałem szmer drugiego głosu, już tylko szmer, ponieważ oddaliłem się szybko, wcale nie pragnąc być świadkiem dalszego ciągu małżeńskiej kłótni.

Rybacki pochylił się nad biurkiem. Wskazującym palcem wymierzył oskarżycielsko w dziennikarza.

- Więc jednak małżeńskiej. A mówił pan, że nie rozpoznał drugiej osoby.

- Nie rozpoznałem. Ale sądziłem, że to kłótnia między małżonkami. Ostatecznie, w taki sposób nie rozmawia się z kimś obcym.

- Sądził pan. Czyli że obecnie już pan tak nie sądzi?

- Nie. Kiedy wszedłem do nadleśnictwa, pan Sosnowski wychodził właśnie ze swojego biura.

- Może zdążył wrócić przed panem?

- Wykluczone. Musiałbym go zobaczyć, przynajmniej w momencie otwierania drzwi wejściowych. Nad tymi drzwiami przez całą noc pali się światło, a ja je cały czas doskonale widziałem.

Porucznik nie odrywał spojrzenia od twarzy Rudka. Nastąpiła pełna napięcia pauza, ale dziennikarz spokojnie ją wytrzymał.

- Przyzna pan jednak, panie redaktorze, że takie spontaniczne wyciągnięcie wniosku na wieść o zabójstwie, że to właśnie pański kolega został zamordowany, jest dosyć dziwne.

- Nie, nie przyznam - Rudek uśmiechnął się leciutko. -

Gdyby to nie Roman został zabity, a ktokolwiek inny, zareagowałbym w świetle tego, co panu powiedziałem, tak samo spontanicznie. To chyba naturalne?

- Może naturalne, a może nie - uciął sucho porucznik. - Na razie dziękuję. Proszę tylko jeszcze przeczytać i podpisać swoje zeznania.

- Po co czytać? Protokół z pewnością zupełnie odpowiada moim zeznaniom.

- Taki jest przepis.

- Okay - westchnął dziennikarz.

Przeczytał szybko podane mu przez protokolanta kartki, podpisał i wyszedł z lekkim ukłonem. Porucznik odprowadził dziennikarza wzrokiem. Korciło go, aby natychmiast skonfrontować zeznania Rudka z tym, co powie Sosnowska, ale po chwili zastanowienia oparł się pokusie. Ma czas. Postanowił najpierw zająć się kimś neutralnym, kto tylko przypadkiem otarł się o sprawę i kogo trzeba przesłuchać, aby dla spokoju sumienia mieć go z głowy. Swoją drogą, pani Zenona Sosnowska także przed półgodziną wydawała się osobą najzupełniej neutralną. Kazał wprowadzić sklepową, Agatę Gryzoń.

Laskonoga sklepowa nie wniosła do sprawy nic nowego. Owszem, znała pana redaktora Rolaka od dwóch lat, to znaczy, odkąd pracuje w Klonowie. Zachodził do sklepu, kupował papierosy, żywność, jakieś drobiazgi, podobnie jak jego przyjaciele. Był wesoły. Żartował sobie z niej, ale bez dokuczania, nigdy jej nie obraził. W ogóle, to wydaje się jej, że lubił dziewczęta, nieraz w sklepie była świadkiem, jak próbował zalecać się do klonowianek. Kiedyś, było to chyba na wiosnę, obraził się nawet o to na niego jeden z gajowych, któremu chciał poderwać narzeczoną, ale wszystko skończyło się dobrze. Wypili potem z tym gajowym po kieliszku wina na zgo-dę i już do tej sprawy nie wracali.

Ten fragment zeznania pani Agaty zainteresował Rybackiego, rychło jednak jego zainteresowanie zgasło. Okazało się, że wkrótce po wyjeździe Rolaka gajowy ożenił się z tamtą dziewczyną i zaraz po ślubie młodzi wyjechali na drugi koniec Polski, o ile się pani Agata orientuje, to w Bieszczady. Od tamtej pory ani gajowy, ani jego żona już się w Klonowie nie pokazali. Zresztą, pan redaktor też się chyba zmienił, bo stał się w stosunku do kobiet bardziej oględny. Może zawstydziła go pani nadleśniczyna? Sklepowa słyszała któregoś wieczora, jak pani Sosnowska robiła panu redaktorowi wyrzuty, że się pospolituje, że powinien się wstydzić swojego postępowania, jeśli nie ze względu na siebie, to na nią, bo przecież mieszka w nadleśnictwie i ludzie mogą sobie pomyśleć nie tylko o nim, ale także o niej różne rzeczy. Rozmowa ta miała miejsce w kilka dni po owej sprzeczce z gajowym. To wszystko.

Porucznik już tylko dla formalności zapytał panią Agatę, czy do sklepu nie zaglądali jacyś obcy ludzie, czemu sklepowa z całą stanowczością zaprzeczyła. Zachodzili do niej wyłącznie mieszkańcy osady, pracownicy nadleśnictwa i robotnicy leśni, z których większość znała osobiście, resztę zaś z widzenia.

- Kiedy i od kogo dowiedziała się pani o śmierci redaktora Rolaka? - zapytał na zakończenie Rybacki.

Również tym razem pani Agata odpowiedziała bez wahania.

- Od traktorzysty, Antoniego Klekota.

Porucznikowi coś się przypomniało. Pogrzebał w papierach.

- Czy tę wiadomość Klekot przyniósł wtedy, kiedy był w sklepie redaktor Rudek? Wtedy, kiedy wypili z Klekotem po szklance wina?

Sklepowa energicznie potrząsnęła główką.

- Później. Po wyjściu redaktora Klekot zapłacił i poszedł

do nadleśnictwa. Dopiero w jakiś czas potem, może za die-  
sięć, a może za piętnaście minut, wpadł z powrotem do sklepu  
i powiedział o tym wypadku. Był bardzo przejęty, z początku  
to nawet myślałam, że jest pijany i bredzi od rzeczy.

- W końcu jednak pani uwierzyła? - rzucił porucznik od  
niechcenia.

- Uwierzyłam - przyznała pani Agata i pociągnęła no-  
sem, który szybko i z hałasem wytarła wyciągniętą skądś ko-  
ronkową chusteczką. - Mój Boże! Taki miły, sympatyczny  
człowiek. I jaki mądry! Przecież on nawet książki umiał pisać.  
Jedną mi podarował z własnoręczną dedykacją.

Rybacki doszedł do wniosku, że nie ma sensu dalej męczyć  
pani Agaty Gryzoń i szybko ją zwolnił. Nie mógł się oprzeć  
wrażeniu, że rozmowa z tą kobietą jest niepoważna, że wnosi  
do sprawy elementy groteski. Obserwując ją, jak wychodzi  
nieporadnym, choć szybkim krokiem bociana goniącego żabę,  
poczuł znowu dziwne łaskotanie w gardle.

- Cholera - zaklął głośno.

Protokolant spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Co proszę?

- Nic. Róbcie swoje - odparł szorstko.

Z kwaśną miną kazał poprosić doktora Węgierskiego. Po  
odbębnieniu wstępnych formalności, natarł bez ceregieli.

- Dlaczego nie lubił pan Romana Rolaka?

Węgierski był zdziwiony, ale nie za bardzo.

- Skąd pan wie?

- To nie ma znaczenia. Poza tym to ja jestem od zadawa-  
nia pytań.

- Racja. Przepraszam.

- Niech pan odpowie na pytanie.

Doktor wyciągnął papierosy. Poczęstował porucznika, a



kiedy spotkał się z odmową, zapalił sam. Rybacki od zapachu dymu znowu dostał mdłości.

- Nie wiem, kto panu o tym powiedział, to zresztą nieważne. Istotnie, nie lubiłem Romana - oświadczył Węgierski zaciągając się dymem.

- Z jakiego powodu?

- Z kilku powodów. Był zarozumiały, niekoleżeński, egoistyczny, wścibski, a jednocześnie cholernie skryty, jeśli chodziło o jego własne sprawy. Nie są to cechy budzące sympatię, zwłaszcza gdy z takim człowiekiem trzeba żyć przez kilka tygodni pod jednym dachem i jeść dosłownie z tej samej miski.

- Czy inni pańscy koledzy oceniali redaktora Rolaka podobnie?

- Nie czuję się upoważniony do wyrażania opinii moich kolegów. Mówię o sobie. Zresztą Roman miał jeszcze jedną cechę, która właśnie mnie denerwowała specjalnie. Był zawziętym, bezwzględnym, bezczelnym kobieciarzem.

- O! - uniósł brwi porucznik. - To coś nowego.

- Jeszcze pan o tym usłyszysz.

- I ta właśnie cecha Rolaka tak pana, doktorze, denerwowała. Czyżby pan z kolei był antifeministą?

- Broń Boże! - roześmiał się Węgierski. - Pod tym względem jestem zupełnie podobny do Romana. To był chyba najważniejszy powód, że nie darzyłem go sympatią. Raczej odwrotnie, jeśli mam być szczerzy.

- Przyznam, że nie bardzo to dla mnie jasne.

Węgierski wypuścił kłęb dymu. Rękę z papierosem położył na biurku.

- Nie lubię rywali, rozumie pan? Na żadnym polu, a szczególnie erotycznym. Gdy zaś, na dobitkę, ci rywale są lepsi ode mnie... Może tu w okolicy ktoś również nie lubi rywali? I to jeszcze bardziej nie lubi niż ja?

Porucznik ukrył błysk oczu pod opuszczonymi powiekami.

- Tak bardzo nie lubi, że zdecydował się na zabójstwo?

- Możliwe.

- Widzi pan takiego kogoś?

- To mógł być ktokolwiek. Redaktor Rolak nie miał w stosunku do kobiet żadnych skrupułów. Mężatka, wdowa, rozwódka, panna, matka, córka, było mu wszystko jedno. W myśl zasady, że co w spódnicy, to nieprzyjaciel. W tej sytuacji jakiś zdradzony mąż, doprowadzony do ostateczności, ojciec czy brat mogli się zdecydować na morderstwo.

Porucznik patrzył na Węgierskiego w zadumie. Po chwili zapytał cicho:

- Doktorze, czy w związku z... nazwijmy to, słabością redaktora Rolaka do kobiet, miał pan jakieś osobiste kłopoty?

Tamten zamachał papierosem.

- Nie będę ukrywał. Miałem. - Głos mu się zmienił, mówił przez zaciśnięte zęby. - Trzy lata temu Rolak wyjechał z moją siostrą na wakacje. Była po maturze, skończyła zaledwie osiemnaście lat. Po tych wakacjach zostawił ją, jak zepsutą albo zbyt już nudną zabawkę. Chciała popełnić samobójstwo, przypadkowo tylko jej się nie udało. O studiach, oczywiście, nie było potem mowy. Z rozpaczyny wyszła za mąż za jednego takiego łapserdaka, księgowego, który niedługo po ślubie dostał pięć lat odsiadki za nadużycia. Piękne, co?

Rybacki w milczeniu pokiwał głową.

- Powiedział pan, że jest pan do Rolaka podobny. Jak mam to rozumieć w świetle ostatnich pańskich słów?

- Tak, jak powiedziałem. On nie stronił i ja tak samo nie stronię od przygód z kobietami. Ale nigdy nie pozwalałam sobie

na romanse z żonami, narzeczonymi czy siostrami przyjaciół. Nigdy mi się to nie zdarzyło i nie zdarzy.

Porucznikowi zrobiło się mdło nie tylko od dymu. Zrobiło mu się mdło przede wszystkim od wstępu, jakim napępiała go mentalność doktora unikającego przygód miłosnych z kobietami przyjaciół, ale inne kobiety wykorzystującego bez skrpułów. Wzdrygnął się. Przyszła mu na myśl Wiesia i poczuł do siedzącego naprzeciwko mężczyzny najprawdziwszą, tamującą oddech odrazę. Dopiero po długiej chwili był w stanie kontynuować rozmowę.

- Co to była za kobieta, którą zastał pan w pokoju Rolaka w wieczór poprzedzający zabójstwo?

Węgierski zgasił papierosa.

- Mówiłem już, że nie wiem - odparł patrząc w popielniczkę.

- Teraz proszę o prawdę.

Rybacki nie podniósł głosu ani o ćwierć tonu, a jednak doktor rzucił głową, jakby otrzymał policzek. Szybkim, pełnym popłochu spojrzeniem obrzucił Rybackiego. Przez długi moment siedział w milczeniu, wreszcie powiedział z opuszczonymi oczami.

- Pani Zenona. To była pani nadleśniczyna Sosnowska.

## *Rozdział 19*

**M**ajor Grot nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy wyobraził sobie minę, jaką niechybnie zrobiłby Rybacki, gdyby się dowiedział o formie przesłuchania Grażyny Bułeckiej i inżyniera Grzegorza Wójcika.

Było to przesłuchanie daleko odbiegające od konwencji, do których przywykł porucznik. Nic dziwnego, również bowiem

stosunki łączące Grotę z dwójgim tamtych ludzi były niekonwencjonalne.

- Co o tym wszystkim sądzicie? - padło pierwsze pytanie pod wspólnym adresem pani adiunkt i inżyniera Wójcika.

Wójcik wzruszył ramionami.

- Diabli wiedzą - mruknął niechętnie. - Osobiście skłonny byłbym przypuszczać, że śmierć Rolaka nie pozostaje w żadnym związku ze sprawą przemytu kosztowności.

- Poza tym, że ta śmierć nastąpiła na terenie, który milicję szczególnie interesuje - wpadła mu w słowa Bułeczka.

- Mógł to być czysty przypadek - inżynier nie dawał się przekonać.

- Oczywiście - zgodził się Grot. - Przypadku nie możemy wykluczyć. À propos, Grażynko. Masz mapę terenu?

Bułeczka wyciągnęła z torby zwinięty w rulon arkusz papieru i rozłożyła go na biurku.

- Jest to służbowa mapa nadleśnictwa - powiedziała. - A właściwie nie mapa, lecz plan. Moja prywatna własność, ale gotowa jestem ci ją udostępnić, jak obiecałam. Po wykorzystaniu, do zwrotu.

Wójcik uderzył w papier wierzchem dłoni.

- Zaznaczyłem na niej, po konsultacji z Grażyną, wszystkie istniejące paśniki. W każdym razie te, które mam prawo i obowiązek znać jako łowiecki gospodarz terenu. Zaznaczyłem też, o tu, gdzie te czerwone koła, miejsca rykowisk.

- Tak, jak przypuszczałem - powiedział Grot, uważnie wpatrując się w mapę.

- Nie rozumiem? - Wójcik spojrzał pytająco ręką majora, - Co przypuszczałeś?

- Z mapy widać wyraźnie, że są połacie lasu omijane

przez jelenie - wyjaśnił Grot. - Sądzę, że tam właśnie powinny znajdować się interesujące nas obiekty czy obiekt. Bo i myśliwi również te okolice omijają, prawda?

- Czego by tam szukali? - roześmiała się pani adiunkt.

- Otóż to. Myśliwi nie mają tam czego szukać i z tego względu podobne tereny mogą być atrakcyjne dla innych osób. A więc i dla nas. - Grot nagle zmienił ton. - Grażynko, wkraczamy w gorącą fazę akcji. Możesz się wycofać, nie będę ci miał tego za złe. I tak już chyba nadużyłem twojej dobrej woli.

Bułecka spoważniała.

- Nie mam zamiaru się wycofywać. Sprawy zaszły za daleko, chcę w nich uczestniczyć do końca.

- Uparta koza - mruknął Wójcik. - Mówisz, jakbyś jej nie znał.

- Uważaj na nią - zwrócił się Grot do inżyniera. - Nie powinno być niespodzianek, ale jednak uważaj.

- Tureckie gadanie - obruszył się tamten. - Najpierw pakujesz dziewczynę w aferę, a potem ja mam uważać. A co innego mam robić, do diabła?

Major poklepał go po ramieniu.

- Dobra, dobra, tylko się nie złość. Przecież wiem... - znowu zmienił temat. - Jak się zachowują myśliwi? Rozumiesz, o co mi chodzi. Sposób bycia, rozmowy, komentarze, zajęcia itede. Zauważyłeś może coś ciekawego?

Wójcik potrząsnął głową.

- Zachowują się normalnie. Ja też, mam nadzieję. Tyle że nie polujemy, do lasu zaś chodzimy jedynie na spacer. No, a to chyba nie jest normalne na rykowisku. Komentarze? Dookoła Wojtek, o śmierci Rolaka, przypuszczenia i domysły na temat śledztwa, osoby zabójcy, przyczyny zbrodni. Przeważnie przy kartach, bo głównym naszym zajęciem jest teraz rżnięcie w brydza.

- Mam nadzieję, że to już długo nie potrwa - powiedział Grot. - Ale dopóki nie zakończymy sprawy, musicie się całkowicie podporządkować moim poleceniom. Żadnych działań na własną rękę, żadnej nie zaakceptowanej uprzednio przeze mnie inicjatywy. Gdyby coś, to wiecie, jak mnie znaleźć. I jeszcze jedno. Nie dajcie nikomu żadnego powodu do podejrzenia, że łączy was cokolwiek innego niż zwykła znajomość z polowania. Jasne?

- Dziecko by zrozumiało - skrzywił się Wójcik. - A my już nie jesteśmy dziećmi.

Kiedy tamci dwoje wyszli, Grot, skubiąc wargę, pochylił się nad mapą nadleśnictwa. Uważnymi oczami wodził po zaznaczonych na niej duktach i liniach oddziałowych, ze specjalnym skupieniem obserwując obszary zaznaczone czerwonymi obwódkami.

Wpatrując się w zamyśleniu w kolorową płachtę mapy, doszedł do wniosku, że warto przesłuchać jeszcze jednego człowieka, od którego spodziewał się usłyszeć parę ciekawych rzeczy. Poszedł do porucznika Rybackiego, który właśnie skończył przesłuchanie Węgierskiego i kazał mu poprosić nadleśniczynę.

Pani Zenona Sosnowska z pewnością była osobą godną zainteresowania nie tylko z okazji czyjejś niespodziewanej śmierci. Miała trzydzieści lat i wyglądała akurat na tyle, ile miała, nie próbując pod żadnym względem korygować natury. Kształtną głowę o granatowych niemal włosach nosiła z wdziękiem na smukłej szyi, poniżej której rysowały się swobodnie, choć nie wyzywająco, dostate piersi. Podobnie dostate i jakby świadome tej dostatości biodra zaznaczały swoje istnienie lekkim, leniwym kołysaniem, od którego mogła wpaść w niebezpieczne kołysanie niejedna nieświadomiona głowa.

Oczy miała pani Zenona niebieskie, niebieskością spalonego nieba w upalne żniwne południe. Poruszała się z wdziękiem, którego kocia drapieżność bardziej była wyczuwalna niż widoczna. Dopiero gdy podeszła bliżej i zajęła przy biurku miejsce wskazane jej uprzejmie przez porucznika, uwidoczniły się pod jej oczami sine cienie, a błękit źrenic zdawał się obmyty zimnym deszczem.

Na pytanie Rybackiego, co jej wiadomo na temat śmierci redaktora Rolaka, pani Sosnowska odpowiedziała, że nic, że było to dla niej, jak chyba dla wszystkich, zaskoczenie, i że bardzo to zaskoczenie przeżyła. Zaniósła się przy tym suchym kaszlem, który mógł być poczytany za szloch. Tego ranka, a raczej tego dnia, skoro świt, małżonek odwiózł ją żukiem do przystanku kolejowego, skąd udała się do Bydgoszczy. Wróciła do domu przed południem i wtedy dowiedziała się o tragedii. Nikogo nie podejrzewa, redaktor nie miał żadnych wrogów, przynajmniej jej na ten temat nic nie wiadomo. Skłonna jest przypuszczać, że morderstwo popełnił jakiś przyłapany na gorącym uczynku kłusownik, podobnie zresztą myśli jej mąż.

Przerwała i znowu zaniósła się suchym kaszlem. Porucznik, starając się zachować oficjalny ton rozmowy, z trudem ukrywał podniecenie. Ten świadek, w jego przekonaniu, mógł w ogromnej mierze pomóc śledztwu, zwłaszcza w świetle zeznań redaktora Rudka. Nagłe pytanie majora Grota przyprawiło go o myślowy chaos.

- Proszę pani. Czy bardzo pani lubiła redaktora Rolaka?

Porucznik spojrzał najpierw przelotnie na zwierzchnika, potem zatrzymał wzrok na twarzy nadleśniczyny, na której, ku swojemu zdumieniu, dostrzegł nie ukrywane przerażenie.

- Ja... ja nie wiem, o co panu chodzi.

Grot stał przy rogu biurka, opierając się o nie oburącz i patrząc z góry na granatowe włosy pani nadleśniczyny. Jego twarz miała wyraz zamyślenia i, na co Rybacki mógłby przysiąc, jakiejś zupełnie do tej twarzy niepodobnej, melancholijnej litości.

- Pytam, czy pani bardzo lubiła redaktora Rolaka? Bardziej niż, dajmy na to, któregokolwiek z jego kolegów?

Nadleśniczyna uniosła głowę, jej oczy zakrył jak gdyby tuman kurzu.

- Proszę pana. Czy muszę na to pytanie odpowiedzieć? To chyba nie ma nic do rzeczy.

- Bardzo jednak chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Smagłe policzki kobiety stały się jeszcze bardziej smagłe od podpalającego je rumieńca.

- Ja go nie zabiłam!

- Wiem. Była pani wtedy w Bydgoszczy. Ale groziła mu pani, że go zabije.

Nadleśniczyna skamieniała.

- To przecież... - wyjąkała wreszcie. - To przecież tak się tylko mówi. W kłótni mówi się różne rzeczy, których za chwilę się nie pamięta. Ja...ja go bardzo kochałam.

- Jak często zdarzały się między wami kłótnie?

- Ostatnio kilka razy. Ale dopiero ostatnio. Na tym rykowisku.

- Co było powodem waszych kłótni?

- Roman... to znaczy redaktor Rolak bardzo się wobec mnie zmienił. Przyjechał nie ten sam. Wymykał się wieczorami, czasem samochodem, wracał późno. Także w ciągu dnia nie bardzo miał czas na rozmowę ze mną, bo przeważnie chodził na grzyby. Na grzyby! - podniosła głos. - Widziałam go parę dni temu na grzybach, niedaleko Mękowa, jak się całował w lesie z taką jedną... Z ekspedientką ze spółdzielni w Mękowie.



- Śledziła go pani?

- Tylko ten jeden raz. Przysięgam.

Twarz Grota wyrażała w dalszym ciągu litość, ale obok litości pojawiło się na niej drugie uczucie, którego porucznik nie potrafiłby określić, ale które zmusiło go do maksymalnego natężenia uwagi.

- Gdzie to było, to spotkanie Rolaka z ekspedientką? I o jakiej porze?

- Przed wieczorem, słońce już stało nad lasem. Jakies dwa kilometry od Mękowa jest taki pas trzęsawisk śródleśnych, tam kiedyś było chyba jezioro. Tę okolicę nazywają miejscowi ludzie Truteń.

- Jak?! - nie wytrzymał Rybacki.

- Truteń.

Porucznik spojrzął przeciągle na Grota.

- Jaki przebieg miało spotkanie redaktora Rolaka z tą panienką? - Grot znowu zabrał głos. - Czekał na nią? Ona na niego?

- Nie wiem. Roman... Redaktor Rolak udawał zdziwionego spotkaniem, mówił do tej panienki, że się jej tam nie spodziewał. Ona też odpowiedziała coś w tym rodzaju, na to on, że przecież jest myśliwym, ona znów, że zbiera grzyby. Słyszałam, bo udało mi się podejść zaroślami dosyć blisko. Potem odeszli razem w las, a ja... ja uciekłam stamtąd i wróciłam do domu.

Grot sięgnął po niezastąpionego giewonta. Poczęstował nadleśniczynę, ale ta przecząco pokręciła głową. Porucznik tym razem przyjął papierosa bez poprzedniego wzdragania. Czuł się o wiele lepiej.

- Powiedziała pani, że redaktor Rolak udawał zdziwionego, kiedy spotkał tę panienkę ze sklepu w Mękowie - zaczął ostrożnie Grot. - Dlaczego myśli pani, że udawał?

Ciałem pani Sosnowskiej znowu wstrząsnął suchy kaszel.

- Musiał udawać. Ona tam była z nim umówiona i tylko tak się ze sobą droczyli. Przecież nie mogła tam przyjść na grzyby.

- Nie mogła? - Grot nie tracił litościwego spokoju.

- Tam nie ma żadnych grzybów! Oprócz muchomorów. Nawet ja, która nie za bardzo znam jeszcze tutejsze lasy, wiem o tym dobrze. Cóż dopiero dziewczyna wychowana tu od dziecka, córka leśniczego.

- Ekspedientka ze sklepu w Mękowie jest córką leśniczego?

- Tego samego, który czeka w poczekalni, Jana Wykrota. Wykrot prowadzi jedno z leśnictw mojego męża. To na jego terenie...

Major przez chwilę milczał, a gdy się odezwał, głos jego brzmiał dziwnie miękko.

- Pani mąż... Czy domyślał się, jakie stosunki łączyły panią z redaktorem Rolakiem?

- Nie. W każdym razie tak myślę. Nigdy nie robił na ten temat najmniejszych aluzji. Proszę panów- zwróciła się naraz do obydwu oficerów. - Nie powiecie, o tym nikomu, prawda? Gdyby Roman żył... Sama nie wiem, jak by się to wszystko skończyło. Ale teraz... Błagam. Nie mówcie nic mężowi. Teraz dla Romana... i dla mnie... nie ma to już żadnego znaczenia. Ale ma znaczenie dla męża i moich chłopców.

- Rozumiemy pani sytuację - powiedział Grot łagodnie. - I zapewniam, że może pani być spokojna. Milicja nie ma zwyczaju rozgłaszać wiadomości, które są przeznaczone dla niej.

Nadleśniczyna otarła oczy i posłała wdzięczne spojrzenie Grotowi. Udawał, że tego nie dostrzegł. A może rzeczywiście nie dostrzegł. Jakby nigdy nic, mówił dalej.

- Wieczorem na dwa dni przed zabójstwem, około godziny dziesiątej, rozmawiała pani z redaktorem Rolakiem i wtedy w zdenerwowaniu powiedziała pani, że go zabije.

Pani Sosnowska wlepiła w majora gorące źrenice, jak w jasnowidza.

- To było tego dnia, kiedy spotkał się z Wykrotówną, tą ekspedientką.

- Dziękuję pani. To byłoby wszystko, na razie.

Pani Zenona wstała z niedowierzaniem.

- Rzeczywiście - zawahała się - mogę liczyć na dyskrecję?

Grot w odpowiedzi skinął poważnie głową. Kiedy odeszła, porucznik mruknął ni to do siebie, ni to do majora:

- Nasza pani Sosnowska miała nie gorszy motyw zabójstwa niż ktokolwiek inny. Skąd żeście wiedzieli o tej rozmowie między nią a Rolakiem.

- Między innymi z zeznań redaktora Rudka, które byliście mi uprzejmi przekazać - wyjaśnił swobodnie Grot.

- W zeznaniach Rudka nie było żadnej sugestii, że to był Rolak. Mógł to być równie dobrze Węgierski albo Wójcik, albo ktoś z pracowników leśnictwa.

- Ale był redaktor Rolak - przypomniał Grot.

Porucznik pomyślał, że jego przełożony musi mieć zamiast mózgu kliszę fotograficzną, jeśli tak dokładnie zapamiętał zeznania dziennikarza. Tylko z czego on wyciągnął słuszny, jak się okazało, wniosek, że to Rolak jest mężczyzną, któremu groziła nadleśniczyna?

Kolejnym delikwentem był Antoni Klekot.

Oficerowie przyglądali mu się ze zdziwieniem. Nad płowymi, szupiradlonymi jak wiązka pakuł, wąsiskami wisiał nos o rzadko spotykanej w naturze barwie, krzaczaste brwi niemal zasłaniały powieki. W ogóle traktorzysta Antoni Klekot

robił wrażenie przystruganego do obróbki kłoca, pozostawionego przez zniechęconego cieślę w połowie roboty.

- Pan jest traktorzystą, prawda? - zapytał Grot.
- Ano, prawda - przyznał Klekot. - I wcale sobie nie narzekam.
- Sporo pan zarabia?
- Zależy. Jak duży wyrąb, to i trzy patyki się utłucze.
- Gdzie pan pracuje?
- Jak to, gdzie? - wąsy Klekota dokonały raptownego skoku do góry. - W nadleśnictwie pracuję. Gdzie by indziej?
- Pytam, na jakim terenie, na terenie jakiego leśnictwa pracuje pan najczęściej. O ile mi wiadomo, nadleśnictwo liczy cztery leśnictwa.
- Aha - zrozumiał Klekot. - Robię wszędzie, w zależności od potrzeby. Ostatnimi dniami przeważnie w leśnictwie pana Wykrota. Tam są teraz największe cięcia.
- A w dniu zabójstwa redaktora Rolaka?
- Przecie mówię. Na terenie pana Wykrota. Za jeziorami. Ale po prawdzie, to wcale nie pracowałem.
- Miał pan wolny dzień?
- Nie to. Tylko że akurat zaraz po wyjeździe z bazy, zanim jeszcze dojechałem na miejsce, nawaliła mi instalacja i musiałem zostawić ciągnik w lesie. Poszedłem piechotą do leśnictwa, żeby zatelefonować do elektryka. Zły byłem, bo to zawsze mitręga czasu, a roboty co niemiara. Elektryka zresztą nie było, zjawił się dopiero po południu i zanim naprawił uszkodzenie, zrobił się wieczór. Dzisiaj znowu! Zamiast się wziąć za robotę, tylko marnuję czas. Mam trzy transporty grubizny do leśnictwa, ale kazali mi tu przyjechać, to i robota się wściekła.

Major wyciągnął giewonty, poczęstował Rybackiego i Klekota, w którego wielkich paluchach papieros wyglądał jak

ździebełko. Zapalili i Grot powiedział z przyjazną przyganą:

- Panie Klekot, wtedy tamtego tragicznego dnia dostał pan niespodziewaną premię. Rozumiem, że chciał pan jakoś to uczcić. Ale żeby tak od razu wydawać pieniądze na alkohol i to z pierwszym lepszym człowiekiem, który się akurat nadarzy? To przecież nierozsądne.

Wąsiska traktorzysty znowu podskoczyły do góry i pozostały tak przez dłuższą chwilę nastroszone i groźne.

- Nie dostałem premii, tylko wyrównanie - sprostował z godnością. - A właściwie to dopiero mam dostać. I nie wydawałem żadnych pieniędzy na alkohol, tylko na wino.

- Wszystko jedno.

- Nie wszystko jedno - zaperzył się Klekot. - „Łzy sołtyśa” to nie alkohol. A piłem tylko z Agatą, czyli naszą sklepową, z panem redaktorem i później z Antkiem, takim jednym kolegą. Co to, już nawet sobie wypić nie wolno?

Grot uśmiechnął się szeroko.

- Wolno, panie Klekot, wolno. To w końcu pańska sprawa.

- No właśnie...

Uśmiech Grota stał się jeszcze bardziej szeroki.

- Teraz, panie Klekot, niech pan nam dokładnie opowie, jak pan dotarł do leśnictwa, kiedy nawalił panu traktor.

- Przecie mówiłem. Piechotą.

- Słusznie. Zupełnie zapomniałem. A czy po drodze nie spotkał pan w lesie kogoś obcego?

- Obcego? Nie. Nikogo obcego w lesie nie spotkałem.

- Tak myślałem - Grot pokiwał głową. - To znaczy, że spotkał pan kogoś znajomego?

W oczach Klekota pojawił się na pół chytry, na pół podejrzliwy błysk.

- Iii tam. Jakiego znajomego? Kto by się włóczył po lesie o wschodzie słońca?

- Jeśli pan był w lesie o wschodzie słońca, to mogli tam być również inni ludzie.

- Ja jechałem do roboty.

- Inni też mogli o tej porze pracować.

- Nie pracowali. Ja miałem zwozić drzewo z wczorajszego wyrębu.

- W lesie byli jeszcze myśliwi.

- Nie spotkałem myśliwych.

- A kogo?

Klekot wzruszył potężnymi barami, jego chytre oczy uciekły w bok.

- Nikogo.

- Jednak spotkał pan kogoś. Widział pana nadleśniczy, który wracał właśnie po odwiezieniu żony na stację.

Klekot buchnął dymem jak z komina, wąsiska zaczęły mu skakać nerwowo. Był rozsierdzony, porucznik widział wyraźnie. Słowa zwierzchnika znowu go zaskoczyły, ale jeszcze bardziej zaskoczyła go reakcja Klekota.

- Jak nadleśniczy powiedział, to i ja powiem - w jego głosie brzmiała nieukrywana złość. - A sam kazał, żeby o tym spotkaniu nie wspominać.

- Dlaczego?

- A bo ja wiem? Chyba nie chciał, żeby się ktoś dowiedział, że w prywatnej sprawie używa służbowego auta.

- Chyba tak było - zgodził się major. Popatrzył w

zamyśleniu na wężala. - Nadleśniczy z pewnością podwiózł pana żukiem do nadleśnictwa.

Klekot z niechęcią potrząsnął głową.

- Panu nadleśniczemu nie było po drodze. Miał jeszcze w innych oddziałach obejrzeć żywicowanie. Kazał mi się tylko zgłosić do nadleśnictwa, żebym podpisał rachunek za nadliczbówki. Przyjechałem na rowerze kolegi, ale po prawdzie to nie miałem się co spieszyć, bo naprawa mojego traktora przeciągnęła się prawie cały dzień.

Grot poważnie położył rękę na ramieniu traktorzysty.

- Zatrzymaliśmy pana trochę, ale sam pan rozumie. Zginął człowiek. Musimy zrobić wszystko, aby wykryć mordercę. Jest pan wolny.

- Pewnie, że rozumiem - Klekot podniósł się ciężko i uklonił niezgrabnie. - No, to do widzenia, jak mogę już iść.

- Aha, jeszcze jedno - Grot ruchem palca zatrzymał go w połowie drogi do drzwi. - Spotkał pan nadleśniczego jadącego samochodem, prawda.

- Trochę nie tak - Klekot zatrzymał się wyczekująco i jakby czegoś zawstydzony. - Widzicie, panowie, ja... byłem w krzakach za swoją potrzebą, kiedy nadjechał pan Sosnowski. Nawet mnie nie widział.

Porucznik otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale na nieznaczny ruch głowy Grota odstąpił od zamiaru. Grot zwrócił się do Klekota z wyrozumiałym uśmiechem.

- Zatrzymał się naturalnie także za swoją potrzebą.

- A nie. Zatrzymał się, żeby zmienić buty.

- Buty? - Rybacki nie wytrzymał. - Zmienić buty?

- A tak. Zmienił gumki na kamasze. Właśnie zapinałem portki, kiedy pan nadleśniczy zawiązywał drugi kamasz. Wtedy wyszedłem z krzaków na trakt i on mnie zobaczył. Dalej panowie wiedzą. Mogę już wyjść?

- Tak, tak. Oczywiście. Dziękujemy panu - powiedział szybko major.

Ledwie drzwi zamknęły się za wąsatym traktorzystą, podniekowany porucznik zerwał się z krzesła i zawołał:

- Sprawa jest jasna, szefie! Mamy go na talerzu.

Grot ujął palcami wargę i przytrzymał ją tak dłuższą chwilę, co, w połączeniu z kocimi oczami wpatrzonymi w Rybackiego, nadało jego twarzy wyjątkowo ironiczny wyraz.

- Jaka sprawa jest jasna, poruczniku? - zapytał wreszcie delikatnie, niemal z czułością. - I kogo mamy na talerzu?

- Przecież szef wie! - wybuchnął Rybacki. - Mówię o nadleśniczym. O Sosnowskim.

- Ach, o nim!?! - major palnął się dłonią w czoło. - To wy mówicie o - Sosnowskim. Że też się od razu nie domyśliłem.

Porucznik z trudem się opanował.

- Pamięta szef przecież te ślady w lesie. Ślady trampek, które wychodziły z jeziora i wchodziły do niego z powrotem, a które znaleźliśmy na przecince, gdzie zastrzelono Rolaka. Nadleśniczy zmieniał tego ranka buty gumowe na kamasze, a buty gumowe pozostawiają ślady podobne do trampek.

- Macie rację, poruczniku - przyznał Grot z powagą.

Rybacki odetchnął głęboko.

- Nie ma więc wątpliwości, kto popełnił morderstwo! Nadleśniczy.

Grot pokiwał głową.

- Chciałbym mieć wasz entuzjazm, poruczniku. Czasami czuję się bardzo zmęczony, to i wolniej myślę. Ach, młodość, młodość.

- Teraz wystarczy go tylko przesłuchać - mówił porucznik podniecony. - Z pewnością się przyzna. W razie czego,



wystarczy konfrontacja z Klekotem. Proponuję od razu przesłuchać nadleśniczego.

- Ten kasek zostawimy sobie na koniec. Teraz pogadamy jeszcze z leśniczym, jak mu tam, Janem Wykrotem. No i z Maciejem Grzybem, który znalazł ciało.

Porucznik nie oponował. W końcu sprawa i tak nie budziła już żadnych wątpliwości, a rozmowa z tymi dwoma ludźmi mogła co najwyżej przynieść dodatkowe argumenty przeciwko Sosnowskiemu. W każdym razie nic na tym nie tracili.

Ale leśniczy Jan Wykrot nie wniósł do sprawy nic nowego. Z jego relacji wynikało, że o zabójstwie redaktora Rolaka dowiedział się od robotnika, Macieja Grzyba, który zaraz po swoim odkryciu zjawił się w leśnictwie, skąd zadzwonili do nadleśnictwa. Na pytanie Rybackiego, dlaczego robotnik udał się do jego leśniczówki, a nie od razu do nadleśnictwa, padła logiczna odpowiedź, że do leśniczówki było o wiele bliżej. Zresztą, po telefonicznym zawiadomieniu pana Sosnowskiego, Maciej Grzyb wsiadł na motocykl i pojechał do nadleśnictwa, gdzie osobiście i dokładnie powiadomił nadleśniczego o swoim odkryciu.

Ta relacja zgadzała się jota w jotę z zeznaniami Grzyba, którego przesłuchali w kilka minut później. Koło się zamknęło.

## *Rozdział 20*

**P**orucznik Rybacki nie miał już wątpliwości, kto był zabójcą Rolaka, mimo to wynik przesłuchania Sosnowskiego przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Nadleśniczy bez żadnych oporów, z własnej nieprzymuszonej woli, przyznał się do zabicia Romana Rolaka wystrzałem z dubeltówki kaliber dwanaście, będącej własnością

denata. Jako motyw podał zazdrość o żonę, która od dłuższego czasu zdradzała go z dziennikarzem, a o czym dowiedział się przed kilkoma dniami od księgowej nadleśnictwa, pani Rzęsy. Podczas przesłuchania zachowywał się spokojnie, na pytania odpowiadał logicznie i wyczerpująco. Wyglądało to chwilami tak, jakby nie tylko nie chciał się bronić, lecz jeszcze pragnął rozwiać ewentualne wątpliwości oficerów co do swojej winy. Rybacki wiedział, że w określonym stadium śledztwa przestępcy na ogół przyznają się do winy, choćby początkowo zaprzeczali jej najgwałtowniej. Tłumaczy się to podobno głębokimi przyczynami psychologicznymi, że niby bandzior też człowiek i takie wyznanie grzechów przed oficerem śledczym przynosi ulgę jego sumieniu czy jakimś innym atrybutom jego wnętrza. Porucznik kpił sobie w duchu z owych uczonych teorii z tego powodu, że żywił najszczerzą niewiarę w istnienie sumienia u bandziorów.

Fakt, że jednak przestępcy zaczynali w końcu „śpiewać”, skłonny był raczej wyjaśniać ich znudzeniem albo zmęczeniem, albo jednym i drugim równocześnie. Ostatecznie, maglowanie przez oficera śledczego nie należy do najbardziej upojnych przyjemności tego świata. Niezależnie jednak od przyczyn przestępcy dawali w końcu upust szczerości i jeśli nawet w świetle dowodów materialnych taki upust nie był konieczny dla sformułowania aktu oskarżenia, to jednak przyznanie się do winy zawsze stanowiło ów piękny koniec, który wieńczył dzieło.

Ale nadleśniczy Józef Sosnowski przyznał się do zbrodni od razu, podczas pierwszego przesłuchania. Zanim jeszcze zdążył się znudzić czy zmęczyć śledztwem. Ba! Zanim jeszcze o cokolwiek go oskarżono. Tego porucznik Rybacki nie mógł żadną miarą zrozumieć, to go gryzło.

- Jeśli panowie w dalszym ciągu szukacie zabójcy redaktora Rolaka, to nie traćcie więcej czasu. Zabójca stoi przed wami - oświadczył nadleśniczy na samym wstępie.

Na takie dictum Rybacki zwyczajnie zaniemówił, nawet major skubnął wargę jakby w popłochu. Grot opanował się jednak po swoim, to znaczy, błyskawicznie, i powiedział z wylewną dobroduszością.

- Niech pan łaskawie usiądzie i nie spiesząc się opowie nam po kolei wszystko, co panu w tej sprawie wiadomo.

Nadleśniczy zaczął mówić. Od czasu do czasu, gdy brał oddech, major zadawał krótkie, jakby od niechcenia pytania.

- Kiedy udał się pan owego ranka z żoną na stację? Przed, czy po wyjeździe myśliwych do lasu?

- Po wyjeździe myśliwych - padła zdecydowana odpowiedź.

- Był pan zapewne z redaktorem Rolakiem umówiony?

Tym razem odpowiedź była nieco mniej zdecydowana.

- Tak, umówiliśmy się poprzedniego wieczoru.

- W jakim celu?

- Miałem mu pokazać najlepsze oddziały, gdzie jelenie są pewne.

- Tylko jemu? Dlaczego nie wszystkim?

Coś, jakby cień uśmiechu, przeleciało przez obojętną twarz Sosnowskiego.

- Myśliwi na ogół nie biorą kolegów do najlepszych łowisk. Wolą odwiedzać je sami.

- Dlaczego nie zabrał pan Rolaka do swojego samochodu? Przecież do miejsca spotkania z panem od miejsca rozstania z kolegami redaktor Rolak musiał przejść piechotą ponad sześć kilometrów.

Porucznik Rybacki mógłby przysiąc, że w tym miejscu nadleśniczy jakby się spłoszył, ale gdy się po chwili odezwał, jego słowa były jasne i przekonujące.

- Redaktora Rolaka nie zabrałem ze sobą z dwóch powodów. Po pierwsze, sam tego nie chciałem, żeby koledzy nie dowiedzieli się, iż poza ich plecami załatwia dla siebie lepszy teren. Ze zrozumiałych względów bardzo mi jego stanowisko odpowiadało. Po drugie, ja też nie chciałem sadzać go w samochodzie obok siebie i żony. Zwłaszcza obok żony... Nie zniósłbym tego, sama myśl o ich wspólnej obecności napędliała mnie wstrętem i nienawiścią. Poza tym nie tylko żona nie była w tym wypadku pożądana, lecz także nawet najbardziej obojętny świadek naszej jazdy. Musiałem spotkać się z Rolakiem absolutnie sam na sam.

- Jasne - uśmiechnął się przyjaźnie Grot. - A gdzieście się panowie umówili?

- Tam właśnie. W oddziale...

- O której godzinie?

- Nie pamiętam.

- Jak to? Przecież to miało być bardzo ważne spotkanie - major zawiesił głos. - I było. A po upływie niespełna doby zapomniał pan, o której godzinie?

- Przypomniałem sobie. O ósmej. Właściwie między siódmą trzydzieści a ósmą.

Grot pokiwał głową ze zrozumieniem.

- No widzi pan. Wystarczy nieco wyteńczyć pamięć... Broń miał pan oczywiście z sobą?

Nadleśniczy przełknął ślinę, spojrzął z ukosa na porucznika i znowu szybko przeniósł wzrok na Grota.

- Oczywiście - przytaknął skwapliwie. - To była... to była dubeltówka redaktora Rolaka.

- Jak pan ją zdobył?

- Po prostu. Kiedy myśliwi pojechali do lasu, wszedłem

do pokoju Rolaka i zabrałem dubeltówkę. Wisiała na ścianie, nie miałem żadnych trudności.

Major zapalił giewontą.

- Czy nikt pana przy tym nie widział?
- Nikt. Jestem pewien, że nikt.
- Doskonale. A więc zdjął pan flintę ze ściany w pokoju redaktora Rolaka, wyszedł na korytarz i co dalej?

Czoło Sosnowskiego lśniło od potu, ale jego głos był opanowany, choć stłumiony.

- Zszedłem do samochodu i ukryłem dubeltówkę pod tylnym siedzeniem.

Nadleśniczy opisał w dalszym ciągu drogę do stacji kolejowej, pożegnanie z żoną i powrót do lasu. Opis był szczegółowy i nieciekawym, major Grot w ogóle się nie odezwał. Wtrącił się dopiero z pytaniem, kiedy tamten doszedł do momentu spotkania z Rolakiem.

- Na umówione miejsce podjechał pan samochodem?
- Prawie.
- Co to znaczy prawie?
- Kiedy zobaczyłem go na przecince, zatrzymałem furgonetkę na skrzyżowaniu i zbliżyłem się na piechotę. Był oddalony ode mnie jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt metrów.
- Podchodząc do Rolaka trzymał pan broń w ręku?
- Tak jest.
- Nie na ramieniu?

Spokój nadleśniczego nagle jakby się nadkruszył. Znowu to szybkie, spłoszone spojrzenie na Rybackiego i Grota i znowu opanowanie wysiłkiem woli. Tym razem jednak porucznik był tego pewien, opanowanie kosztowało go dużo więcej wysiłku niż poprzednio. Odczekał chwilę, zanim odpowiedział.

- Na ramieniu? W ręku? Nie pamiętam. Byłem już wtedy

w transie, szczegóły umykały mojej uwagi. Widziałem tylko Rolaka i wiedziałem, że muszę go zabić.

- A kiedy i gdzie nabił pan dubeltówkę?
- Przed wyjazdem na stację. W leśniczówce.
- Jakim śrutem?
- Nie patrzyłem. Pierwszym lepszym, jaki nawinął mi się pod rękę.

Teraz Sosnowski opisał scenę zabójstwa, które w jego relacji wyglądało zupełnie prosto, nawet prostacko. Podeszedł z odbezpieczoną bronią do zbliżającego się z przeciwka dziennikarza, potem z odległości dwóch, najwyżej trzech metrów wypalił i zanim tamten się zorientował, o co chodzi, już nie żył. Teraz nadleśniczy odciągnął zwłoki z drogi na skraj zagajnika, przykrył byle jak gałęziami i suszem, po czym szybko odszedł. W domu zachowywał się jakby nigdy nic, może dlatego, że nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Co zrobił z flintą? Powiesił ją na tym samym miejscu, skąd zabrał i udał się do biura.

Więcej rewelacji w zeznaniach nadleśniczego nie było. Zgadzały się one prawie dokładnie z zeznaniami innych osób, w każdym razie niewiele od nich odbiegały.

Nim jednak major polecił wyprowadzić Sosnowskiego, zadał mu jeszcze trzy pytania.

- Czy poza traktorzystą, jak mu tam, Klekotem, nikogo pan więcej w lesie nie spotkał?

- Absolutnie nikogo! - zapewnił nadleśniczy żarliwie. I dodał, jakby chciał rozwiązać jakiejkolwiek wątpliwości co do prawdziwości swoich słów. - Słowo honoru, absolutnie nikt.

- Dobra - uciął major. W jego głosie porucznik wyczuł nutki znudzenia. - A co pan zrobił z gilzą po naboju?

Nadleśniczy nieporadnie zamrugał oczami.

- Chyba ją wyrzuciłem.
- Chyba? - nie wytrzymał porucznik.
- Z pewnością wyrzuciłem. Pamiętam, że po wystrzale przełamałem broń, wyciągnąłem gilzę i schowałem do kieszeni.

Porucznik po raz drugi wtrącił się do przesłuchania,

- Kieszeń, jak sama nazwa wskazuje, spełnia te same funkcje co śmietnik. Można do niej wrzucać również takie niepotrzebne rzeczy, jak na przykład łuski od nabojów...

- Schowałem gilzę do kieszeni, bo nie chciałem jej pozostawić na miejscu zabójstwa. Wyrzuciłem po drodze. Do jeziora.

- Jeśli tak, to ją z pewnością znajdziemy - Grot bezceremonialnie uprzedził podwładnego. - A teraz ostatnie pytanie. Dlaczego wtedy, w lesie, zmieniał pan buty?

Sosnowski zbladł. Był autentycznie przerażony tym właśnie, a nie innym pytaniem. Porucznik Rybacki widział to tak dokładnie, jak dokładnie widział swoją rękę leżącą na biurku. Tym bardziej nic nie rozumiał.

- Buty? - zająknął się leśnik. - Jakie buty?

- Buty na nogi - poinformował uprzejmie major. I dorzucił z humorem, który wydał się porucznikowi więcej niż wątpliwy; - Takie buty...

- Nie zmieniałem żadnych butów! - zakrzyczał tamten, zrywając się z miejsca. - To kłamstwo!

Rybacki zbyt może ostro poprosił go, aby z powrotem zajął miejsce na krześle. Był wściekły, że nic z tego nie rozumie, że nie rozumie ani motywów, które skłoniły nadleśniczego do samobójczych zeznań, ani jego niespodziewanej reakcji na ostatnie pytanie majora. Jakże to w końcu miało znaczenie, ta zmiana butów, zwłaszcza po tym wszystkim, do czego leśnik przyznał się przedtem. Właśnie. Jakże to miało znaczenie? I

dłaczego miało? Bo że jednak miało, porucznik dałby sobie wyrwać wszystkie zęby. I to na żywca.

- To nie kłamstwo z tymi butami - powiedział Grot. - Widział pana przy czynności zamiany gumiaków na kamasze traktorzysta Klekot. Sam przyznał pan przed chwilą, żeście się spotkali.

- Nie spotkałem Klekota! Nic takiego nie mówiłem! - zaprzeczył gwałtownie Sosnowski.

- Przypomnę panu - ofiarował się Grot uprzejmie. - Niech pan posłucha. Pomanipulował przy magnetofonie, po chwili rozległ się głos najpierw majora, potem nadleśniczego: „Czy poza traktorzystą, jak mu tam, Klekotem, nikogo pan w lesie nie spotkał?” - „Absolutnie, nikogo. Słowo honoru, absolutnie nikogo”.

- Przejęzyczyłem się z tym Klekotem - Sosnowski mówił z tępym uporem, chrapliwie. - Cofam ten fragment zeznania.

- No dobrze - powiedział Grot. - Jeszcze do tego wróci-my. A teraz ostatnie pytanie. Ile razy strzelił pan do Rolaka?

- Jak to, ile razy? - zająknął się Sosnowski.

- Dubeltówka ma dwie lufy - wyjaśnienie Grota było zaprawione sarkazmem. - Czyżby pan o rym zapomniał? Można strzelać z jednej lufy i można też z dwóch. Pytam więc, ile razy strzelił pan do redaktora Rolaka. Raz czy dwa razy?

Sosnowski był blady, pot spływał mu po twarzy strumieniami.

- Nie pamiętam - wykrztusił. - Sami panowie rozumieją, że byłem w stanie amoku. Nie mogę pamiętać wszystkich szczegółów.

Grot popatrzył na niego przeciągle.

- No tak - powiedział tylko. - No tak...

Po wyjściu nadleśniczego Rybacki zwrócił się do zwierzchnika z ledwie hamowanym podnieceniem.



- Rozwiązanie zagadki śmierci Romana Rolaka okazało się więc proste. O wiele bardziej proste, niż skłonni byliśmy zakładać na początku. Żaden przemyt, żadne porachunki czy zemsta bandziorów, lecz zwyczajna zazdrość zdradzonego męża. Motyw stary jak świat, powinniśmy to wziąć pod uwagę na samym początku.

Rybacki mówił w liczbie mnogiej przez kurtuazję, żeby nie pogłębiać przełożonego. Ale nie tylko oni dwaj - również wszyscy inni wiedzieli, kto był odpowiedzialny za prowadzenie śledztwa i czyje koncepcje obowiązywały.

## *Rozdział 21*

**M**agister Karasiówna ze zmartwioną miną patrzyła na swoje towarzyszki. Tamte dwie, też zmartwione, wierciły się niespokojnie pod jej spojrzeniem.

- Musicie sobie dokładnie przypomnieć, kto z waszych znajomych, choćby tylko znajomych z widzenia, był wtedy w kawiarni. Chodzi mi nie tylko o tych stałych bywalców, którzy przychodzą codziennie, lecz także o tych, którzy odwiedzają wasz lokal rzadziej, jednak w miarę regularnie.

- To było pięć dni temu, u nas goście się zmieniają, trudno wszystkim zapamiętać.

- Pani Marysiu, błagam. To dla mnie bardzo ważne.

Pani Marysia zmarszczyła wyskubane brewki w wysiłku przypominania, jej skośne, orzechowe oczy od tego wysiłku stały się jeszcze bardziej skośne. Widać było, że stara się szczerze spełnić prośbę.

- Kiedy objęłam swoją zmianę o drugiej, o czternastej znaczy się, bufetowa już była.

Druga z dziewcząt, słomiana blondynka o wydatnym biuście, skinęła energicznie głową.

- Przyszłam o dwunastej w południe, bo moja koleżanka z bufetu, Jola Kremska, która miała ranną zmianę, jechała na jakąś rodzinną uroczystość, przepraszam, to był pogrzeb jej babki, chociaż po prawdzie pogrzeb to też uroczystość, tylko że smutna, więc mnie prosiła, żebym była w pracy o dwie godziny wcześniej, to ona mnie zastąpi kiedy indziej, bo my się od czasu do czasu tak zastępujemy, więc ja przyszłam i...

Wiesia złożyła modlitewnie ręce.

- Panno Klaro, złociutka, może po kolei, bo i tak mi się w głowie mąci. Niech najpierw skończy Marysia, a pani ją za chwilę uzupełni albo poprawi, jeśli coś się nie będzie zgadzało.

Blondynka umilkła obrażona, ale pod przeproszającym wzrokiem „pani magister” znów się udobruchała. Siedziały w kącie kawiarni nad trzema ciastkami i trzema filiżankami kawy, pochylone ku sobie jak trzy serdeczne przyjaciółki zwierające się nawzajem w kłopotów sercowych. Na prośbę Wiesi, która nie chciała, aby ich rozmowę słyszały niepowołane uszy, mówiły półgłosem. Zarówno Marysia, jak i Klara bardzo były przejęte tym, że ktoś wyszedł miejsce pobytu pani magister i doniósł jej odrzuconemu, a mściwemu amantowi, iż pięć dni temu widziano ją w „Leśnej”. Wiesia, jak wyznała przyjaciółkom, dowiedziała się o tym z listu innej przyjaciółki, która znała jej wielbiciela i który tej przyjaciółce wszystko powiedział. Obydwie pracowniczki kawiarni początkowo upierały się przy wersji, że to musiał być ktoś nietutejszy, bo przecież nikt z mieszkańców miasteczka nie znał chyba prześladowcy Wiesi, a jeśli znał, to musiałby znać równocześnie panią magister i wiedzieć o jej ucieczce przed nim z Warszawy. W miasteczku chyba nikogo takiego nie było, a jeżeli był, to i pani magister musiałaby go znać i dawno już zauważyć. Dziewczęta rozumowały logicznie, Wiesia zmęczyła się nielecho, zanim

przekonała je o słuszności swojej wersji. Jej szatańsko zazdrośny wielbiciel - według tej wersji - był wysokim pracownikiem spółdzielni „Las” i jeździł po całej Polsce na inspekcję. Miał więc wszędzie znajomych, którzy dla wysokiego przedstawiciela swojej centrali gotowi byli uczynić wszystko, żeby się mu przypochlebić. Cóż znaczyło dla takiego pozbawionego skrupułów osobnika rozesłać do różnych miejscowości jej fotografie i za obietnicę premii czy awansu nakłonić dziesiątki, jeśli nie setki pracowników „Lasu” do penetrowania swojego terenu w celu odnalezienia ofiary jego wstrętnych zalotów. Ani Klara, ani Marysia nie miały jeszcze okazji - i dzięki Bogu, że nie miały - zetknąć się z metodami działania podobnie bezwzględnych osobników. Tutaj ludzie są uczciwi, takie rzeczy znają jedynie z filmów i powieści, ale w wielkich miastach... Przy tych „wielkich miastach” pani magister zawiesiła znacząco głos, że niby w jakimś stopniu dopuszcza swoje znajome do tajemnic, o jakich nie śniło się żadnemu z mieszkańców miasteczka. Nie było to zbyt przekonujące, ale zrobiło odpowiednie wrażenie i podekscytowane dziewczęta przyjęły wreszcie jej punkt widzenia, że ktoś mógł rozpoznać panią Wiesię na podstawie fotografii i że ten ktoś był w takim razie stałym bywalcem „Leśnej”.

- Kto to mógł być? - zastanawiała się Marysia. - Ten dzień pamiętam dosyć dobrze, bo akurat wtedy, zaraz po drugiej, znaczy się po czternastej, zjawił się ten stary cudak z parasolem. Ze znajomych gości, którzy do nas stale przychodzą, był pan nadleśniczy z Klonowa...

- Pan Sosnowski?

Pytanie wyrwało się Wiesi, zanim pomyślała, co mówi. Aż się w niej zagotowało ze złości na samą siebie, z bicia serca czekała na reakcję interlokuterek. Przecież ona nie mogła

znać leśniczego, bo skąd? Tamte jednak zajęte wysiłaniem pamięci na temat swoich klientów sprzed pięciu dni, nie zwróciły na jej pytanie uwagi.

- Tak, pan nadleśniczy Sosnowski - potwierdziła, jakby nigdy nic, kelnerka, i porucznik Karasiówna odetchnęła z ulgą.  
- On już był wcześniej, zanim przyszedłem do pracy.

- Siedział przy tamtym stoliku, między oknem a bufetem  
- Klara ruchem głowy wskazała odpowiedni stół, poświadczając prawdziwość słów koleżanki.

Wyskubane brewki znowu zmarszczyły się nad skośnymi oczami.

- Pan nadleśniczy siedział krótko, przynajmniej na mojej zmianie. Wypił kawę i sobie poszedł. Kiedy był już przy drzwiach, weszła taka jedna dziewczyna, nawet niebrzydka, niejaka Wykrotówna, imienia nie pamiętam, słyszałem tylko, że jest ekspedientką w sklepie spożywczym w Mękowie. Wykrotówna przebywała w lokalu chyba z godzinę i wtrądziła pół tuzina ciastek z kremem. Ta to ma spust! Za każdym razem, kiedy przychodzi, zjada regularnie sześć ciastek i nic po niej nie widać. Inna to by po dwóch tygodniach takiego obżarstwa utyla jak maciora; a ta nic. Jak garnek bez dna: tu nakładasz, tam wylatuje i po krzyku. Na figurze ani śladu. - Panna Marysia przerwała, patrząc z niechęcią na swoje ciastko, ale zaraz z determinacją dziobnęła je gwałtownie łyżeczką i niemal połowę włożyła do ust. Przełknęła z lubością i podjęła relację: - Potem przyszedł jeden milicjant, znam go nawet, ale ten milicjant nie wchodzi przecież w rachubę, więc też go pomijam.

- Ten milicjant wpada zawsze, kiedy Marylka ma zmianę  
- przerwała chichocząc blondynka. - Czasem wpada nawet kilka razy.

- A co, może mu nie wolno? - zaperzyła się kelnerka. Jej skośne oczy zamigotały zaczepnie.

- Pewnie, że wolno - powiedziała urzędowo panna Klara.  
- Mnie tam nic do tego.

Spojrzały z Wiesią na siebie i wybuchnęły śmiechem. Marysia patrzyła na nie obrażona, ale śmiech ten był tak przyjazny i zaraźliwy, że i ona po chwili śmiała się razem z nimi.

- Kto jeszcze wtedy był? - kelnerka wróciła po chwili do tematu. - Aha. Cztery czy pięć uczennic z technikum, takie siusiumajtki, znam je tylko z widzenia. Zresztą z tego technikum przychodzą do nas prawie wszyscy. Głównie wieczorami, żeby się pokręcić przy muzyce. Było jeszcze pięć albo sześć osób, ale wszyscy obcy. Wczasowicze lub turyści, bo jeszcze sporo ich tu się kręci po okolicy. O tym śmiesznym staruszku nie mówię, bo pani magister widziała go na własne oczy. A żadnych innych gości, co to przychodzą do nas od dłuższego czasu, już więcej nie było.

- Byłam jeszcze ja - powiedziała z uśmiechem Wiesia. - O mnie pani nie wspomniała, choć także należę do waszych stałych bywalców.

- O pani magister nie mówiłam, bo przecież pani sama wie, że pani tu była - w głosie Marysi wyczuwało się lekką urazę, uwagę Karasiówny przyjęła za kpinę.

- Były też koleżanki z naszej zmiany, a o nich też nie mówimy - wtrąciła bufetowa. Ona również nie pochwałała słów pani magister.

Porucznik Karasiówna uśmiechnęła się lekko, leciutko, bardziej oczami niż ustami i wyłącznie do siebie. O wszystkich pracowniczkach i pracownikach „Leśnej” zdążyła już dawno zebrać wszelkie dane, jakie jej były potrzebne, dodatkowo zaś sprawdziła dokładnie, kto miał popołudniową zmianę w dniu odwiedzin staruszka z parasolem. Promiennymi

oczami obrzuciła swoje towarzyszki i powiedziała wesoło:

- To był żart z mojej strony, oczywiście. Byłabym nie-mądra, gdybym pytała o samą siebie. Chodziło mi jednak o to, że mógł być tego dnia jeszcze ktoś taki jak ja, albo jak wasi pracownicy, na kogo nie zwraca się uwagi, ktoś taki, że jego obecność jest czymś naturalnym i dlatego przechodzi niepostrzeżenie.

- Mam! - Panna Klara stuknęła się dłonią w czoło. - Była jeszcze ta wańka-wstańka z Klonowa, no ta, jakże się ona nazywa...

Marysia zachichotała i aż się zakrzuszyła od tego chichotu...

- Święta prawda, była jeszcze wańka-wstańka, na śmierć zapomniałam! - nie przestawała chichotać.

Karasiówna nic z tego nie rozumiała. Zapytała ostrożnie:

- Wańka-wstańka?

- To jest starsza pani na poważnym stanowisku, główna księgowka z nadleśnictwa w Klonowie, matka naszej kierowniczkii. Tylko że jest tak jakoś dziwnie zbudowana, jak wańka-wstańka, tak śmiesznie chodzi i w ogóle. Nazywa się też wdechowo. Brew czy Powieka, tak jakoś.

Kolejny atak chichotu wycisnął kilka łez ze skośnych oczu Marysi.

- O Jezu, bo umrę. Jak dwa razy dwa, umrę ze śmiechu - wyrzucała z trudnością słowa. Złapała w końcu głęboki oddech i zwróciła się do swojej biuściastej koleżanki: - Nie obrażaj pani księgowej. Ona się nie nazywa, idiotko, ani Brew, ani Powieka. Nazywa się po prostu Rzęsa.

- Całkiem podobnie, dlatego ciągle mi się myli - Klara uspokoiła się już na tyle, że mogła mówić względnie normalnie. - Niech pani magister nikomu nie piśnie ani słówka o tym naszym śmiechu, bo to matka naszej kierowniczkii i szefowa

by nam tego nie podarowała.

- Mogą panie być spokojne - powiedziała Wiesia poważnie. - Zachowanie tajemnicy leży przecież w moim interesie. Chyba panie to rozumieją.

- No pewnie. To nasz wspólny interes - potwierdziły zgodnie.

Pogadały jeszcze trochę o byle czym, dopiły kawę i pożegnały się przyjaźnie.

## *Rozdział 22*

**D**om nie wyróżniał się niczym specjalnym spośród innych domów osady. Okalał go parkan z drucianej siatki, wzdłuż której pieniały się krzaki agrestu, malin i porzeczek, przy ozdobnej, żelaznej bramie i ścieżce prowadzącej do ganku stały szeregami kilkuletnie świerki. Ganek był od połowy wysokości oszklony, do drzwi wejściowych prowadziło kilka stopni. Czerwona dachówka odbijała jaskrawo od zieleni lasu podchodzącego od tyłu pod samo obejście. Świeżo odnowiona tabliczka na bramie obwieszczała, że dom jest własnością obywatelki Eweliny Rzęsy.

W pogodne, jesienne popołudnie zarówno brama, jak i drzwi ganku były gościnnie otwarte, toteż major bez wahania wkroczył na podwórko. Widać go oczekiwano, bo z chwilą, kiedy zbliżył się do schodów, ukazała się na nich pani Rzęsa we własnej osobie, gestem ręki zapraszając oficera do środka. Nie zdziwił się, swoje przybycie zapowiedział wcześniej telefonicznie.

- Dzień dobry, panie majorze. Witam, witam w mych skromnych progach - główna księgowa chybnęła się w ukłonach do przodu i do tyłu, znowu do przodu, podała Grotowi rękę, której uścisk okazał się nadspodziewanie krzepki.

Uśmiech na okrągłej twarzy był pełen serdeczności, jednak jej oczy pozostały poza uśmiechem, ostrożnie ciekawskie i czujne.

Z ganku weszli do dużego przedpokoju, skąd wiodły na górę drewniane schody. Pani Rzęsa otworzyła drzwi po prawej stronie schodów. Wyposażenie pokoju było standardowe - krajowej produkcji meble, radio i telewizor, na podłodze niciany dywan. Ścianę na wprost drzwi zdobił obraz Świętej Rodziny z palącą się pod nim elektryczną lampką, najprawdopodobniej imitującą „wieczny” płomień.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam pani w zajęciach - zagaił grzecznie major. Usiadł na wskazanym krześle za wielkim okrągłym stołem i dodał. - Postaram się maksymalnie skrócić swoją wizytę.

Księżowa zamachała rękami.

- Wcale pan nie przeszkadza! Wcale. Nie przewidywałam na dzisiaj żadnego wielkiego prania ani nic takiego, a zresztą był pan na tyle miły, że zapowiedział swoją wizytę. Z przyjemnością sobie z panem majorem pogawędzę. Może kawę?

- Nie, nie, dziękuję. Ja naprawdę na krótko. Mam tylko prośbę, żeby mi pani pozwoliła zapalić.

- Ależ proszę się nie krępować. Ja sama palę i to co najmniej paczkę sportów na dzień. Popielniczka stoi przed panem.

Grot zapalił, podał ogień pani Rzęsie. Chwilę milczał, rozglądając się po mieszkaniu z dyskretnym zaciekawieniem człowieka, który po raz pierwszy znalazł się w gościnie u obcych i nie bardzo wie, jak się zachować. Tylko porucznik Rybacki, gdyby tu był, nie dałby się zwieść pozie Grota. Wiedziałby, że jego uwagi nie uszedł żaden szczegół umeblowania, żaden błysk oczu gospodyni. Zwłaszcza oczy pani księżowej wydawały się majorowi specjalnie interesujące i zwłaszcza wtedy, kiedy sądziła, że nie jest obserwowana.



Właściwie nie mam do pani żadnej konkretnej sprawy - odezwał się wreszcie tonem zwierzenia. - I dlatego, sam nie wiem, od czego zacząć.

- Najlepiej od początku - roześmiała się. - Albo od końca. Jak pan woli. Mnie wszystko jedno.

- Widzi pani - zawahał się - jestem przekonany, że jako wieloletni pracownik nadleśnictwa poznała pani panujące tu stosunki, układy między ludźmi, ich charaktery, przyzwyczajenia, sposób bycia. Chciałbym prosić, aby zechciała się pani podzielić ze mną swoimi spostrzeżeniami co do niektórych osób. Pozostanie to oczywiście wyłącznie między nami, nie muszę chyba o tym zapewniać.

Przymrużone oczy głównej księgowej zwięziły się jeszcze bardziej. Zakołysała się na krześle, pochyliła w stronę majora.

- Doprawdy... ja doprawdy nie czuję się upoważniona do wydawania opinii o ludziach, a już z pewnością o pracownikach nadleśnictwa. Od tego jest dział personalny. Czy nie byłoby lepiej, gdyby się pan zwrócił do nich?

Grot uśmiechnął się przepaszająco.

- Nie chodzi mi o oficjalne opinie. One nie mają tu nic do rzeczy. W aktach personalnych nie znajdę przecież ani słowa na temat, na przykład, współzycia państwa Sosnowskich...

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi.

- Rozumiem pani obiekcje i pochwalam je z całego serca. Nie o plotki tu idzie, lecz o fakty, o których się mówi, które są znane wielu ludziom, poza zainteresowanymi. Tak przecież bywa, przyzna pani. Dowiedziałem się choćby o romansie pani Sosnowskiej z jednym z myśliwych, ale to absolutnie między nami, z doktorem Węgierskim. Czy coś pani o tym wiadomo? Powtarzam, chodzi mi o fakty, nie o plotki.

Pani Ewelina Rzęsa prychnęła, jak w nieodpowiednim miejscu połaskotana kocica. Takie porównanie nasunęło się majorowi, kiedy przez moment uchwycił jej spojrzenie - chłodne, a jednocześnie pogardliwie rozbawione.

- Węgierski? Pan doktor Węgierski? Ależ to zimny głaz, na którym nawet Brigitte Bardot nie wywarłaby najmniejszego wrażenia. Pan wybaczy, panie majorze, ale to strzał kulą w płot. Pani Sosnowska miała romans, owszem, tylko że zupełnie z kimś innym.

- Tak? - Grot zawiesił głos wyczekująco.

- Ej tam, takie ludzkie gadanie - zmitygowała się pani Rzęsa. - Ploty i tyle.

- Czy nadleśniczy o tym wiedział?

Oczy kobiety zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- O czym? Panie majorze, naprawdę nic nie wiem. Powiedziała już, że plotek ani nie słucham, ani nie powtarzam.

Major konfidencjonalnie zniżył głos.

- Podejrzewam, że redaktor Rolak zginął z powodu zażdrości. Myśliwi na polowaniach szukają przygód nie tylko ze zwierzyną. Coś o tym wiem. Jestem prawie pewien, że tego zabójstwa dokonał albo jakiś zdradzony mąż, albo zawiedziona kochanka. Nie wykluczam także porachunków na tym tle między samymi myśliwymi. Dlatego z panią w ten sposób rozmawiam i dlatego liczę na szczerłość. Jestem przekonany, że słyszała pani i widziała wiele, nawet przypadkiem.

Oczy pani Rzęsy znowu się zwięzły.

- Dlaczego rozmawia pan właśnie ze mną? Nie chodzę po lesie, nie wiem, kto się tam z kim spotyka i kiedy. Nie sądzi pan chyba, że te rzeczy, o których pan mówi, dzieją się w budynkach nadleśnictwa? Niech się pan zwróci do służby leśnej, do robotników. Od nich uzyska pan z pewnością o

wiele więcej informacji niż ode mnie.

- Taka Wykrotówna na przykład - major nie zrażony snuł dalej swoje refleksje. - Dziewczyna ładna...

- Kto?! - okrzyk księgowej zabrzmiał jak świnięcie barta. Opanowała się natychmiast, roześmiała z zażenowaniem. - Panie majorze. Jeśli ma pan na myśli córkę naszego leśniczego, to znowu całkowity niewypał. Znam tę dziewczynę od niemowlęcia, jestem jej chrzestną. Lubi się pośmiać, poflirtować, jak każda dziewczyna w jej wieku. Ale nic więcej. Nic więcej. Ma narzeczonego, chłopak wkrótce wychodzi z wojska, zamierzają się pobrać, nie może sobie pozwolić na żadne wysoki. Co innego, ale sam pan powiedział, że to rozmowa między nami, taka pani adiunkt. Wolna, dojrzała, wykształcona. Słyszałam, że niejeden smali do niej cholewki, a i ona też nie od tego. Nieboszczyk Rolak czy redaktor Rudek, a nawet, wybaczy pan, ta fajtłapa inżynier Wójcik, nie byłiby u niej bez szans. Kto wie, może i nadleśniczy Sosnowski? Zwłaszcza w sytuacji, w jakiej postawiła go żona.

- Zupełnie nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - powiedział Grot skubiąc wargę. - Czyżby rzeczywiście należało szukać zabójcy w kręgu myśliwych, pani adiunkt i państwa Sosnowskich? Zdaje się, że trzeba będzie na nowo przepracować całą koncepcję śledztwa. - Spojrzał na zegarek. - Przepraszam, ale na mnie czas.

Pani Rzęsa odprowadziła majora do bramy. Żegnając się z nim, pochyliła się kilkakrotnie, co mogło być zarówno przesadnym ukłonem, jak i dowodem zachwiania równowagi. Kiedy Grot wsiadł do swojego wartburga, przestała się uśmiechać i z twarzą bez wyrazu patrzyła za samochodem, dopóki nie zniknął za zakrętem.

## Rozdział 23

Tego samego dnia, kilka minut po czwartej po południu, gdy opustoszały biura nadleśnictwa, adiunkt Grażyna Bułęcka zasiadała przy krótkofalówce, aby nadać meldunek o stanie pogody. Szybko nawiązała łączność, przekazała, co trzeba i przez chwilę zastanawiała się głęboko. Potem poprawiła machinalnie uczesanie i westchnąwszy z rezygnacją, wyszła na dwór. Następne nadawanie miała dopiero za trzy godziny, wiedziała, że wcześniej nie uda się jej uzyskać połączenia. A jednak korciło ją, by mimo wszystko spróbować. Na ganku zawahała się jeszcze, pełna wątpliwości, wreszcie dała za wygraną. Z zaimprovizowanego na dziedzińcu garażu wyprowadziła motorower i uruchomiła silnik.

Jadąc bez specjalnego celu po leśnych przecinkach instynktownie wybierała trasę przez okolice, które najbardziej lubiła. Jednak ani kwitnące wrzosowiska, ani zielone pagórki, spływające łagodnymi stokami do uciszonych jezior, tym razem nie poruszały jej swoim melancholijnym urokiem.

Pani Grażyna myślała o czymś zupełnie innym, o czymś, co nie miało nic wspólnego z pięknem przyrody. Myślała o dziwnej rozmowie telefonicznej, której była mimowolnym świadkiem w porze obiadowej. Właśnie fakt, że tę rozmowę usłyszała przypadkowo, bardzo ją zaniepokoił. W jej sytuacji nie było, nie powinno być przypadków. Poza tym dałaby wiele, żeby wiedzieć, z kim to jedna z osób zatrudnionych w nadleśnictwie rozmawiała. To by wyjaśniło mnóstwo rzeczy, które działy się ostatnio w okolicy i w samym nadleśnictwie, a które nie powinny się przydarzyć. Przynajmniej tak niespodziewanie i w takiej niecodziennej formie. Bo przecież zabójstwo nie było codzienną formą załatwiania spraw i formę tę

musiała zdeterminować absolutną konieczność. Jeszcze raz przypomniała sobie tamten telefon.

- Nie mogę mówić głośniejszy, zrozumiano? To raczej ty się ucisz i słuchaj uważnie.

Te słowa, które dobiegały ją z sąsiedniego pokoju, sprawiły, że zatrzymała się na korytarzu jak wryta. Rozejrzała się błyskawicznie wokół, na szczęście, jednak nikt się akurat w pobliżu nie kręcił. Ze skupioną twarzą pochyliła się nisko, niby zajęta zawiązywaniem sznurowadła u bucika, przyłożyła ucho do szpary w drzwiach. Głos był przytłumiony, niewyraźny, ale słowa dały się odróżnić.

- Spotkaj się natychmiast z ojcem i daj mu torebkę soli. Tak, soli. Zwyczajnej soli. Przecież nie worek, tylko torebkę. Dziesięć deko. Wystarczy. No, nareszcie zrozumiałaś. Niech ojciec jeszcze dzisiaj zawiezie tę sól na wiadome miejsce. Koniecznie za dnia. W każdym razie nie później niż o zmierzchu. Co? Nie, nie wszystko. Teraz zadanie dla ciebie. Pójdiesz ze swoim pakunkiem w to samo miejsce, ale nie wcześniej niż o dziesiątej i nie później niż o północy. Z jaką znowu solą? Przecież mówię wyraźnie, że ze swoim pakunkiem. Tak, tak. Z tym, co dostałaś. Nie jesteś od myślenia. Masz wykonać polecenie. I to dokładnie. Chyba nie muszę cię ostrzegać, że...

Rozległ się trzask delikatnie odłożonej słuchawki. Rozmowa została przerwana. Pani adiunkt wyprostowała się szybko i oddaliła na palcach. Za następnym pomieszczeniem korytarz zakręcał, dalej były schody na półpiętro, gdzie znajdowały się toalety. Zdążyła wejść do kabiny, kiedy niżej rozległy się nerwowe kroki osoby, która niedawno rozmawiała przez telefon. Przez lekko uchylone drzwi pani Grażyna ujrzała kogoś, kogo nie spodziewała się ujrzeć. Przez chwilę sądziła, że się

pomyliła, ale w zachowaniu tamtej osoby było tyle czujności i skupienia, że chyba nie mogło być pomyłki. Osoba zatrzymała się na zakręcie korytarza, rzuciła wzrokiem w górę, w stronę toalet, następnie w dół, gdzie było boczne wyjście do ogrodu. Uspokojona, wycofała się i wkrótce dało się słyszeć skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi do pomieszczeń biurowych. Pani Grażyna potrząsnęła głową i zamknęła się w toalecie. Ale nawet kiedy z niej wyszła, musiała wysilić wolę, aby do końca pozbyć się wyrazu zaskoczenia, jaki na swojej twarzy zobaczyła w lusterku. Potem pojechała do lasu.

Motor terkotał jednostajnie, jego terkot rozpraszał gorącą jeszcze ciszę wrzosowisk, poręb i zagajników. Gdzieś podęwał się do biegu spłoszony kozioł, gdzieś przemknął przez drogę wyleniały lis, gdzieś pojawiła się łania, której przerwało przedwieczorną sjęstę...

Na wysokim brzegu jeziora Brędego pani adiunkt zrobiła sobie krótki odpoczynek. Położyła się na mchu i zapatrzyła w pogodne niebo, po którym z rzadka i leniwie płynęły niewielkie obłoki. Myślała jednak w dalszym ciągu o tamtej rozmowie telefonicznej i w dalszym ciągu gnębił ją niepokój, że niewiele z tego wszystkiego rozumie.

Z kim rozmawiała osoba z nadleśnictwa? Z jakąś kobietą, to pewne. Ale co to była za kobieta? Można założyć, że niezbyt stara, jeżeli jeszcze miała ojca, który mógł się poruszać za pomocą pojazdu. Jakiego pojazdu - motocykla, roweru, samochodu, ciągnika? Z rozmowy telefonicznej wynikało jasno, że pakunek z solą miał zawieźć. Właśnie zawieźć, nie zanieść czy przesłać. Ale skąd ta kobieta była, co miało znać wydane jej polecenie, gdzie znajdowało się owo „wiadome miejsce”? Oczywiście pani Grażyny stawały się coraz bardziej bezradne i chmurne.

Silniejszy powiew wiatru zaszeleścił w koronach sosen.

Obudzona z zamyślenia, spojrzała na zegarek, podniosła się, otrzepując ubranie z igliwia. Dosiadła swojego „rumaka” i pojechała ścieżką wzdłuż jeziora. Na jego końcu, skąd wpływała niewielka, o krystalicznej wodzie struga, był drewniany mostek. Tu Grażyna zatrzymała się znowu i niecierpliwie rozejrzała się. W pół minuty później po drugiej stronie mostka ukazał się inżynier Wójcik i szybkim krokiem podszedł do Bułeckiej. Był w myśliwskim stroju, przez ramię miał przewieszony sztucer. Uśmiechnął się szeroko, ale tylko ustami. Twarz miał poważną, poza uśmiechem.

- W porządku? - zapytał bez wstępu.

- Chyba w porządku - odparła Bułeczka i niepewnie potrząsnawszy głową, powtórzyła: - Chyba w porządku.

- Jak to chyba? - wpał jej w słowa inżynier. W jego głosie zabrzmiał niepokój.

Rozejrzała się nieznacznie i jeszcze bardziej zbliżyła do inżyniera. Głowa przy głowie stali oparci o barierę mostku.

- Posłuchaj - zniżyła głos do szeptu. - Byłam świadkiem dziwnego zdarzenia.

Rzeczowo i szybko powtórzyła podsłuchaną w nadleśnictwie rozmowę telefoniczną. Gdy skończyła, oblicze Wójcika pokryło się cieniem zakłopotania.

- Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć - powiedział. - Ale jestem pewien, że ta rozmowa znaczy bardzo dużo. Bardzo dużo.

- Mnie też się tak wydaje - potwierdziła pani Grażyna. - Tylko co dalej?

Wójcik przesunął dłonią po szpakowatej czuprynie.

- Trzeba natychmiast zawiadomić szefa - powiedział. - I to zrobię ja. A ty...

Pochylił się do ucha Bułeckiej, coś jej z przejęciem tłumacząc.

## *Rozdział 24*

**P**rzez niski młodnik biegła ukośna ścieżka, po której jechał człowiek na rowerze. Widać było tylko kierownicę roweru i górną połowę rowerzysty, resztę zasłaniały sosenki młodnika. Wyglądało to tak, jakby człowiek płynął nad młodnikiem. Ubrany był w zielony mundur leśnika, na jego piersiach dynała dubeltówka. Kiedy dojechał do duktu, zsiadł z roweru i niedbale ustawił go na poboczu. Rozejrzał się bacznie, specjalną uwagę poświęcając widniejącemu wśród wysokich drzew paśnikowi. Ruszył w tamtą stronę. Nagle na dukcie rozległ się terkot motoru. Człowiek w zielonym mundurze zatrzymał się, potem niechętnie, lecz szybko, zawrócił na przecinkę. Podniósł rower i trzymając jedną rękę na kierownicy, drugą na siodełku, czekał. Po chwili nadjechał motorower, ciągnąc za sobą smugę kurzu. Rozległ się pisk hamulca.

- Dzień dobry, pani adiunkt - powiedział leśnik zdejmując czapkę. - Gdzie to się pani wybiera na sam wieczór?

- Witam, panie leśniczy - odpowiedziała Bułeka. - Chciałam się trochę przejechać po lesie przed snem. Pogoda wymarzona na spacer.

- Rzeczywiście, pogoda piękna - potwierdził. - Ale czy nie lepiej pospacerować na piechotę albo przejechać się, jak ja, na rowerze? Zawsze to zdrowiej.

- Za leniwa jestem - roześmiała się Grażyna. - Ale, ale...



Zabłądził pan na nie swoje leśnictwo, panie Wykrot. Pomaga pan koledze?

- Skądże znowu - leśniczy również się roześmiał. - Ja też jestem za leniwy, żeby komuś pomagać. Jadę z Mękowa, od córki. Tędy najkrócej.

- Odprowadzę pana kawałek. Chyba ma pan rację, że dla zdrowia lepszy spacer niż jazda.

- Nie śmiem fatygować.

- Jaka tam fatyga? Idziemy.

- Z motorowerem będzie pani ciężko...

- To panu będzie ciężko, bo pan poprowadzi mój pojazd, a ja pański. Ale niech się pan nie przeraża. Tylko kawałek.

- Tak, to się mogę zgodzić - powiedział leśniczy. - Inaczej by się pani zmęczyła.

Poszli przecinką, rozmawiając o niczym. Bułeczka słuchała paplania leśniczego, w którego głosie powinna była zauważyć nutkę niespokojnego podniecenia. Powinna była - i zauważyłaby niewątpliwie kiedy indziej. Ale nie teraz. Bo teraz głowę jej zaprzętał wysiłek przypomnienia sobie czegoś, co spostrzegła przed chwilą.

- Myślę, że z wyrębem na tym ostatnim oddziale można było zaczekać - mówił leśniczy. - Sama pani wie, jakie mamy trudności z transportem drewna. A tak, piękne sosny, które mogłyby sobie jeszcze spokojnie rosnąć... Pani adiunkt, czy pani mnie słucha?

- Ależ tak, tak, oczywiście. Piękne mamy tutaj sosny - powiedziała z roztargnieniem. Nagle twarz się jej zmieniła. - Pan wybacz, panie leśniczy, ale muszę już wracać. Zrobiło się chłodno.

Wykrot nie wydawał się specjalnie zmartwiony.

- Co pani chce, początek października - stwierdził sentencjonalnie. - W dzień jeszcze lato, ale ranki i wieczory jesienne. A pani nieprzywykła.

- Właśnie - głos Grażyny zabrzmiał nieco ochryple. -  
Dziękuję za towarzystwo, panie leśniczy. Do widzenia.

Podążyła Wykrotowi rękę, którą ten z kurtuazją ucałował. Za chwilę pędziła już w kierunku nadleśnictwa, cudem utrzymując równowagę na piaszczystych i wyboistych drózkach. Już wiedziała, co ją uderzyło podczas spotkania z Wykrotem. Przecież powinna była uświadomić to sobie od razu, natychmiast, kiedy tylko jej oczy zatrzymały się na tym miejscu. A może dobrze, iż świadomość tego faktu przyszła na nią później? Z pewnością nie powstrzymałaby się, aby nie zwracać szczególnej uwagi na ten obiekt, co z kolei mogło niepotrzebnie zainteresować leśniczego. Czy tylko zainteresować? Ten Wykrot... Przecież on wyraźnie jechał właśnie tam... Jechał z określonym celem, a zatrzymał się i zrezygnował z tego celu dopiero na jej widok, czy może trochę wcześniej, kiedy usłyszał warkot jej motoroweru. Poza tym... poza tym wokół miejsca, gdzie spotkała leśniczego, w promieniu kilku co najmniej oddziałów od lat nikt nie widział żadnego jelenia ani sarny, więc skąd ten paśnik?!

Na dziedziniec nadleśnictwa pani Grażyna, wbrew temu, co mówiła Wykrotowi, wjechała nie tylko nie zziębnięta, lecz wręcz spocona. Błyskawicznym spojrzeniem obrzuciła okna budynku i otoczenia, potem, z trudnością hamując podniecenie, udała się do pomieszczeń biurowych. Starając się nadać swojemu zachowaniu jak najbardziej naturalny charakter, sprawdziła biuro, po kolei naciskając klamki u drzwi poszczególnych pokoi. Lokal był pusty, co o tej porze było rzeczą normalną. Odetchnąwszy z ulgą, wyjęty z kieszeni kluczem otworzyła drzwi jednego z pomieszczeń i weszła do środka.

- Żeby tylko był na miejscu, żeby tylko był - powtarzała

półgłosem, manipulując przy krótkofalówce. - Wykrot przyjechał tam na pewno z konkretnym zamiarem.

Po kilku minutach uzyskała połączenie.

- Słuchaj - gorączkowała się do nadajnika. - Słuchaj i notuj. Na terenie leśnictwa Suchodoły, sąsiadującego z leśnictwem Wykrota, znajduje się interesujący cię obiekt. A przynajmniej jeden z tych obiektów. Mam przed sobą szczegółową mapę nadleśnictwa. Tego obiektu nie ma na tej mapie. Wszystkie inne są, a tego nie ma. Zanotuj: leśnictwo Suchodoły, oddział dziewiętnasty, naprzeciwko jeziora Truteń.

Była zdenerwowana, miała wątpliwości, czy jej rozmówca zdąży na czas wyciągnąć praktyczne wnioski z tych spostrzeżeń. Nie denerwowałaby się tak bardzo, gdyby wiedziała, że leśniczy tymczasem zawrócił do Mękowa i że w sklepie, wywoławszy córkę na zaplecze, miał do niej przemowę, która raczej nie odznaczała się czułością.

- Zrobiłaś ze mnie idiotę z tą solą - wyrzucił z siebie ze wzburzeniem. - Przy samym paśniku natknąłem się na panią adiunkt. Ładnie bym wyglądał, gdyby mnie zobaczyła, jak chowam ten pakunek w karmę dla zwierząt. Pomyślałaby, ani chybi, że zwariowałam. Dobrze, że była na motorowerze, to się nie dałam zaskoczyć. Ale gdyby przyjechała rowerem albo przyszła na piechotę? Mogłaby zauważyć, że coś kładę do paśnika i co wtedy? Przecież kto jak kto, ale pracownik nadleśnictwa najlepiej wie, że zwierząt nie dokarmia się we wrzesniu. Przez zwykłą babską ciekawość zajrzałaby do paśnika i rozpowiedziałaby o tym naokoło. Jak ja bym się wtedy tłumaczył?

- Uprowadziłam cię przecież, żebyś był ostrożny - powiedziała Wykrotówna. - Jesteś w lesie pierwszy raz, czy jak?

- Nie mieszaj mnie w swoje brudne porachunki - uciał leśniczy.

- Głupstwo zrobiłam, to prawda, ale nie aż takie, żeby mnie własny ojciec potępiał.

- Umówiłaś się, to idź.

- Poszłabym sama, tylko że w sklepie jesteśmy przed remanentem i nie mogę się ruszyć. Tato, zrób to dla mnie i zostaw tę paczuszkę w paśniku.

Leśnik chciał coś powiedzieć, ale pod błagalnym spojrzeniem córki machnął tylko ręką i wyszedł ze sklepu bez słowa. Wsiadł na rower i udał się w drogę powrotną.

Było już ciemno. Mimo to pedałował bez światła, bezbłędnie wybierając właściwą drogę i tak samo bezbłędnie trafiając na miejsce niedawnego spotkania z adiunkt Grażyną Bułecką. Podobnie jak poprzednio ustawił rower na poboczu i stał dłuższą chwilę nasłuchując. Potem zamaszystym, choć niemal bezgłośnym krokiem poszedł w głąb lasu. Niedaleko. Przy paśniku zatrzymał się znowu, pogrzebał przy słomianym daszku, zamarudził jeszcze trochę i zawrócił, skąd przyszedł. Nagle oślepiło go ostre światło latarki. Leśniczy instynktownie zakrył oczy dłonią i gwałtownie uskokzył w bok.

- Stać, bo strzelam! - zagrzmiało za nim groźnie. - Stać!

Nie słuchał. Pędził susami, kierując się w głąb lasu i próbując zdjąć w biegu dubeltówkę, którą miał przewieszoną przez piersi. Latarka biegła za nim, odnajdując go co chwila między pniami drzew. Nagle uciekinier potknął się i upadł. W tym samym momencie czyjeś kolana przydużyły go do igliwia, jednocześnie zaś mocny cios wytrącił mu z ręki dubeltówkę, którą udało mu się wreszcie zerwać z szyi. Latarka zawisła nad nim. Zanim zobaczył swoich prześladowców, usłyszał

szczęk metalu i poczuł, że ręce ma skute kajdankami. Ucisk kolan na jego grzbiecie zelżał.

- Proszę, proszę, pan leśniczy Wykrot jeszcze przy pracy. Premia pewna, jakim syn swojej matki.

- Cholerny korzeń - zaklął leśniczy. - Że też musiałem się na niego nadziać.

- To nie korzeń, to moja noga. Wyciągnąłem ją niechcący i...

- Ratunku! - krzyknął nagle leśniczy. - Ratunku! Bandy-ci!

Krzyk przetoczył się po lesie dudniącym echem i trwał jeszcze w oddali, kiedy mocna ręka zatkała usta, które go wydały.

- Uciszyć się pan po dobroci, bo ja będę musiał pana uciszyć - dobiegło z mroku. Czyjeś palce zwarły się ostrzegawczo na gardle leśniczego. - No już, w porządku?

Leśniczy zacharczał niezrozumiale. Niewidzialne ręce uwolniły jego gardło i drugi głos powiedział:

- To ładnie tak? Krzyczeć po nocy w lesie i straszyć niewinną zwierzynę? A fe!

Latarka zatoczyła krąg wydobywając z ciemności dwie pary butów.

- Idziemy, panie leśniczy. Tylko bez cudów, bo ja się na cudach nie znam. Jestem, widzi pan, niewierzący i cuda cholernie mnie denerwują. A w nerwach mogę zrobić krzywdę.

- Ale o co chodzi? Panowie, kto wy jesteście? To jakaś pomyłka. Ja was nie znam - jęczał leśniczy.

Podniósł się jednak z pomocą usłużnych ramion któregoś z tamtych dwóch i popchnięty w plecy, poszedł przed siebie.

## Rozdział 25

**R**adio grało nie za głośno i nie za cicho, akurat tak, jak normalnie grają radia wieczorem, kiedy ludzie jedzą kolację, zajmują się sprzątaniami albo przygotowują do snu. Przez otwarte, zasłonięte niebieskimi storami okno muzyka swobodnie wypływała na zewnątrz, gdzie mieszała się z głosami aparatów w mieszkaniach po sąsiedzku. Stojąca w kącie lampa oświetlała pokój, jako że na dworze całkiem już pociemniało.

W pokoju nie było nikogo. Nie było nikogo również w sąsiednim pomieszczeniu ani w sieni, skąd pięły się na górę wąskie schody. Dopiero na piętrze, przy balustradzie okalającej nieduży podest majaczyły w panującym tu półmroku dwie ludzkie postacie. Siedziały na krzesłach, oparte o poręcz balustrady, skapo i rzadko wymieniając słowa.

- Jednak ta ostrożność wydaje mi się przesadzona - powiedziała jedna z osób półgłosem. - Nie sądzę, aby...

- Przestań nudzić - przerwała druga osoba. - Gra idzie o zbyt dużą stawkę.

- Obawiam się, że tym razem rzeczywiście o zbyt dużą.

Zapanowało milczenie. Błysnęła zapalka, płomyk, ocieniony dłonią, powędrował kolejno do dwóch papierosów. Radio na dole zanosilo się melodiami młodzieżowych przebojów.

Jedna z osób wstała. Była w kurtce z kapturem zwisającym luźno na plecach.

- Pójdę do pokoju. Jeśli ktoś interesuje się tym domem, powinien nabrać przekonania, że wszystko jest tutaj w porządku.

Zeszła na dół. Pokręciła się po mieszkaniu, kilkakrotnie przesuwając się między lampą a oknem. Jej cień wyraźnie

rysował się na zasłonie. Po kilku minutach osoba w kurtce z powrotem znalazła się na górze.

- Dziesiąta - powiedziała półgłosem. - Zaraz wychodzę. Przekonamy się, czy rzeczywiście ktoś się mną interesuje. - Rozległ się ironiczny chichot. - Jeśli tak, to warto byłoby zobaczyć minę tego kogoś trochę później, jak już wrócę do domu. Daj jeszcze papierosa.

Znowu błysnęła zapalka, dwa nikłe ogniki zajarzyły się w półmroku. Minęło jeszcze kilka minut. Najpierw jeden, potem drugi papieros zgasły, zgniecione w popielniczce. Postać w kurtce podniosła się z krzesła.

- Na mnie czas. Pamiętaj. Wychodzisz w kwadrans po mnie i walisz prosto na miejsce. Nie powinno być niespodzianek, ale na wszelki wypadek uważaj.

- Gadanie - parsknęła druga osoba. - Inna rzecz...

- Co inna rzecz?

- Nic. Tak mi się wysnęło.

- Nerwy, co? Zawieś je na kołku. Zresztą wiesz, że to ostatnia nasza impreza. Potem sobie odpoczniemy.

- Mam nadzieję.

Postać w kurtce zastygła z ręką na poręczy schodów.

- Co się z tobą dzieje? Zachowujesz się, jak przestraszony gówniarz.

Druga osoba podniosła się również. W szarym, wełnianym golfie była ledwie widoczna na tle ściany.

- Idź już.

Postać w kurtce powoli zeszła ze schodów. Na dole przystanąła jeszcze, jakby chciała coś powiedzieć, jednak machnęła tylko ręką i energicznym krokiem przeszła do pokoju z radiem. Po chwili muzyka zamilkła, zgasła także lampa. Dom pogrążył się w ciszy i ciemności. Człowiek w golfie usłyszał jeszcze odgłos stąpania, brzęk kluczy, skrzypnięcie otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych, cichy trzask zamka.

Został sam.

## Rozdział 26

Wygwieżdzone niebo z wyraźnie zaznaczonym pasmem Drogi Mlecznej rozpościerało się nad uciszonym lasem, zapowiadając na rano siwy mróz.

Porucznik Rybacki szczelniej owinął się płaszczem. Nie bardzo wierzył w pozytywny wynik swojego wyczekiwania, ale polecenie było wyraźne. Wpatrywał się więc pilnie w majaczący w ciemności dom, drętwiejąc coraz bardziej od chłodu i braku ruchu. Słyszał przytłumione dźwięki radiowej muzyki nakładające się na podobne dźwięki dobiegające z innych domostw, widział przesuwany się na tle oświetlonego okna cień postaci zajętej zapewne przygotowaniami do snu, jak wszyscy inni normalni ludzie o tej porze. Stopniowo okna gasły, uciszyły się aparaty radiowe i telewizyjne. Zamilkła również muzyka i zgasło światło w interesującym porucznika domu.

Po pewnym czasie Rybacki raczej wyczuł niż zauważył, iż z domu ktoś wyszedł. Natężył uwagę, ale cisza w dalszym ciągu pozostawała nie zmącona. Już był skłonny przypuszczać, że uległ złudzeniu, gdy na żwirze ścieżki zaszeleściły niespieszne, choć pewne kroki. Jeszcze bardziej wsunął się w cień leszczyny.

Ktoś przeszedł obok, znikając po chwili na omroczonej ścieżce. Rybacki ostrożnie wychylił się z kryjówki i nie mniej ostrożnie udał się za nieznaną postacią. Czasami widział ją na otwartej przestrzeni, czasami niknęła mu między drzewami. Starał się nie tracić jej z oczu, co nie było łatwe bez narażania się na dekonspirację. Wystarczyło, żeby niezauważenie zoczyła na parę kroków w gęstwinę któregoś z przydrożnych zagajników, a wtedy mógłby szukać wiatru w polu.



Najwyraźniej jednak nie miała takiego zamiaru. Szła spokojnie, bez zbytniego hałasu, ale i bez najmniejszej podejrzliwości, co Rybacki stwierdził z niejakim zdziwieniem. Spodziewał się raczej czegoś odwrotnego.

Stopniowo przecinki, dukty i ścieżki zaczęły mu się mieszać, wszystkie były podobne. Stracił w końcu orientację, w jakiej części lasu się znajduje. Pocięszął się tylko w myślach, że dopóki nie zgubi z oczu tamtej osoby, sam również nie może się zgubić. Nocna eskapada musiała mieć jakiś cel i ten właśnie cel interesował porucznika bardziej niż droga.

Mimo wszystko było to męczące. Zrobili chyba pięć albo sześć kilometrów, kiedy las rozstał się z nienacka, przecięty szeroką wstęgą asfaltowej drogi. Śledzona postać bez wahania wstąpiła na szosę przyśpieszając kroku. Teraz obserwacja stała się łatwiejsza. Rybacki mógł się spokojnie trzymać brzegu lasu, na szczęście w tej okolicy nie podszytego zbyt gęsto zaroślami. Po kwadransie osoba znowu skręciła z szosy na przecinkę, po drugim zaś kwadransie...

Ależ tak, nie mogło być wątpliwości. Nawet w mroku nocy porucznik rozpoznał leśne osiedle, z którego rozpoczął się ten dziwny spacer. Tyle że teraz wrócili do niego z przeciwnej strony. Osoba będąca obiektem obserwacji Rybackiego weszła do domu, który poprzednio opuściła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Jeszcze zapaliło się światło w jednym oknie, potem w drugim, w końcu dom pogrążył się w ciemności i ciszy.

Porucznik nic z tego nie rozumiał. Zaszły się na powrót w cieniu leszczyzny, nie spuszczać domu z oka. Ale do świtu nic już się nie zdarzyło.

Bułecka odłożyła książkę i zgasiła nocną lampkę. Przekreśliła się na bok, koc podciągnęła pod brodę. Miała ponad dwie godziny do czasu kolejnej łączności. Próbowała się zdrzemnąć, ale głowie nabitej myślami było nie do snu. Zegar w głębi

domu wydzwonił dwunastą. Bułeczka wiedziała, że to na dole, w mieszkaniu Sosnowskich. Odczekała chwilę po ostatnim uderzeniu i wstała nie zapalając światła. Po omacku założyła spodnie i sweter, na nogi wciągnęła trampki. Postąpiła przy otwartym oknie, łowiąc uchem głęboki, choć cichy szum bliższego lasu i wdychając półotwartymi ustami rześkie powietrze, pachnące grzybami i ściółką. Miała po zmierzchu nie wychodzić z domu, polecenie było wyraźne, ale szeleszcząca ciemność ciągnęła ją ku sobie jak topiel. Postanowiła zrobić tylko niedaleki spacer drogą do osiedla i z powrotem - w nadziei, że potem uda jej się jednak krótka drzemka.

Stąpając jak najciszej, aby nie budzić uspiętego domu, wymknęła się na dwór. Dobrze naoliwione zawiasy i zamek nie wydały prawie żadnego odgłosu, gdy ostrożnie zamykała drzwi. Brama wyjazdowa stała otworem, jak to było tutaj w zwyczaju, toteż pani Grażyna bez przeszkód znalazła się w alei klonowej, wiodącej z nadleśnictwa do osiedla. Szła powoli, rozkoszując się pogodą nocy i jednocześnie łowiąc uchem każdy szmer dobiegający z lasu.

Po kilkunastu minutach znalazła się w pobliżu pierwszego domu osiedla i już miała zawrócić, gdy zatrzymało ją skrzypnięcie furtki. Szybko cofnęła się w głęboki cień pobocza, próbując rozpoznać zbliżającą się postać. Wiedziała, kto był właścicielem domu, nie przypuszczała jednak, że właśnie ta osoba lubi szukać wrażeń po lesie po nocy. Ale to był ktoś obcy, co stwierdziła, gdy tamten człowiek znalazł się od niej o kilkanaście kroków i skręcił z alei na drogę do lasu. Pod wpływem nagłego impulsu poszła w jego ślady. Mężczyzna kroczył szparko, to ginąc w cieniu, to ukazując się na nowo na mniej zadrzewionej przestrzeni. Musiała dobrze wyciągać nogi, aby za nim nadążyć. Starła się zachować ostrożność, ale szybkość

pościgu czyniła tę ostrożność nieco iluzoryczną. Przeszli w ten sposób chyba ze dwa kilometry i Bułeczka dostała lekkiej zadyszki. Nagle mężczyzna zniknął. Myślała początkowo, że skrył go cień zagajnika, ale gdy minęła zagajnik i przystanęła na jego skraju, ujrzała przed sobą pustą drogę. Po obydwu stronach ciągnęły się szerokie zręby - gdyby tamten szedł jeszcze przed nią, tutaj z całą pewnością musiałaby go dostrzec. Na drodze i na zrębach nie było nikogo.

Adiunkt Bułeczka rozglądała się skonsternowana, zastanawiając się, co robić dalej. Dać za wygraną, wracać? Ta ewentualność nie bardzo jej odpowiadała. Powinna za wszelką cenę odszukać tamtego człowieka. Jak przed wieczorem po spotkaniu z Wykrotem, wiedziała, że to jest ważne, bardzo ważne, może najważniejsze w sprawie, w której brała udział. Ów niezajomy mężczyzna musiał mieć tutaj coś do załatwienia. Była tego pewna. Nikt przecież bez określonego celu nie włóczy się po lesie w środku nocy.

Gdzieś daleko, krótko zaryczał jeleń, jego zduszony głos wsiąkł szybko w ciemność. Stała wyęzając słuch, a gdy noc na nowo stała się tylko jednostajnym poszumem lasu, skręciła z drogi na ścieżkę między zrębem a zagajnikiem. Od czasu do czasu zatrzymywała się nasłuchując i czujnym spojrzeniem obrzucając ciemne pustkowie. Teren obniżył się nagle ku bagnistemu uroczysku, ścieżka się skończyła. Bułeczka wpatrywała się w mleczny, niski opar nad wysokimi trawami i sitowiem, gdzie rozlegało się powolne człapanie, szmery i szelesty, z których natury nie od razu zdała sobie sprawę. Dopiero, gdy usłyszała głucho stęknienie, zrozumiała, że ma przed sobą niewidocznego we mgle byka, być może nawet z kilkoma łaniami. Serce biło jej mocno, tajemniczość scenerii i ostre poczucie samotności wprawiło ją w stan lękliwej, a jednocześnie podniecającej emocji.

Zawróciła. Doszła z powrotem do drogi i jeszcze raz rozejrzała się wokół siebie. Tutaj panował spokój, a jednak stan emocji nie tylko jej nie opuszczał, lecz przeciwnie, wzrastał się w coraz większym stopniu. W pewnym momencie wydało się jej, że słyszy czyjś oddech. Zamarła w nasłuchiwanie. Las szumiał niezmiennie pod usianym gwiazdami niebem. Nic więcej nie słyszała. Zaśmiała się cicho, nerwowo, potem zdecydowanym krokiem ruszyła w przeciwnym kierunku wzdłuż zrzębu po drugiej stronie drogi. Starła się zorientować w okolicy, znała przecież dobrze teren nadleśnictwa, ale w nocy wszystkie punkty orientacyjne uległy zatarciu, zmieniły swoje miejsca, nawet kształty drzew i krzewów nie miały wiele wspólnego z kształtami oglądanymi za dnia. Osiągnąwszy wysoki las, ponownie zawróciła do drogi.

Irracjonalny lęk, mający swe źródło jedynie chyba w owej przepastnej, leśnej nocy, opanował ją ze zdwojoną siłą. Przyspieszyła kroku w przemożnym pragnieniu znalezienia się z powrotem na szerokiej drodze, która przywiodła ją tu z bezpiecznego schronienia w zabudowaniach nadleśnictwa. Ochota wyśledzenia celli eskapady nocnego wędrowca opuściła ją zupełnie. Z uczuciem ogromnej ulgi postawiła stopy na piasku duktu. Odetchnęła do głębi płuc, ocierając spocone czoło i w tym samym momencie poczuła obok siebie czyjąś obecność. Nie zdążyła się nawet przestraszyć, nie zdążyła nawet w myśli sformułować do końca tego faktu, kiedy coś świsnęło krótko nad jej głową, zapalając w mózgu tysiące iskier. Te iskry zawirowały błyskawicznie razem z gwiazdzistym niebem i gasnąc posypały się na nią, gdy spadała na daleką, jak się jej jeszcze wydało, wręcz nieosiągalną w swym oddaleniu ziemię.

## *Rozdział 27*

**W** namiocie od dłuższego czasu było cicho.

Sierżant Polański siedząc na rozkładanym turystycznym krzeselku, wpatrywał się w stojącą przed nim przenośną radiostację, major Grot leżał na materacu. Wydawał się drzemać, jednak od czasu do czasu unosił powieki, nieznacznie obserwując młodszego kolegę. Gdy tamten nie patrzył, na twarzy majora odbijała się nieukrywana troska.

- Dlaczego tamten nadajnik milczy? - zapytał Polański, uparcie manipulując przy aparacie. - Czas już dawno minął.

- Do mnie mówisz? - uniósł powieki major.

- Nie, nie. Tak sobie.

Znowu zapadła cisza. Sierżant jednak długo nie wytrzymał. Odwrócił się do zwierzchnika.

- Majorze, czy wy coś z tego rozumiecie? Bo ja przestałem. A zdawało mi się, że wiemy już na tyle dużo, aby sprawę doprowadzić do szybkiego finału.

Grot usiadł.

- Nie chcę udawać - powiedział z nieoczekiwanym zaferowaniem. - Ale nie wszystko wygląda tak, jak się spodziewałem.

- Ten cholerny leśniczy, ten Wykrot - mówił sierżant bardziej do siebie niż do majora. - Po kiego diabła on tam laził z tą solą?

- Jesteście pewni sierżancie, że paśnik i okoliczny teren przeszukany został dokładnie? Że nic nie przegapiono?

- Robili to fachowcy, nie partacze - obruszył się Polański. - Oczywiście, i najlepszy fachowiec może coś sfuszować.

Major wiercił się na materacu.

- Potem kazałeś posterunek zlikwidować, prawda?  
- Przecież wiecie, majorze. Po co... - Polański wstał gwałtownie, przekręcając krzesło. - Majorze, co macie na myśli?

- Być może to samo co ty.  
- Tak - powiedział sierżant. - Tak. To był chyba błąd z naszej strony.

- Z naszej? - uniósł brwi major.

Tamten roześmiał się bez radości.

- Z mojej strony. Zgoda, majorze. To był błąd z mojej strony. Ja przecież odpowiadam za tę część akcji. - Wyprostował się, patrząc na zwierzchnika uważnymi oczami. - Mam jednak nadzieję, że nie jest jeszcze za późno na naprawienie tego błędu. Jeśli to rzeczywiście był błąd. Na chwilę przepraszam.

Wyszedł szybko z namiotu, gwizdnął cicho. Z ciemności wyłoniła się jakaś postać, stając o dwa kroki od sierżanta.

- Słucham, szefie.

- Plutonowy! Weźcie jednego z wywiadowców, najlepiej Kalinowskiego, on zna teren i natychmiast z powrotem pójdziecie na punkt zero. Co macie robić, wiecie. Gdyby nic nie zaszło, zlikwidujecie posterunek rano o siódmej, Jasne?

- Tak jest. Jasne.

- W porządku. Ruszajcie.

Polański wrócił do namiotu. Spojrzał z ukosa na majora, który znowu leżał na materacu oddychając spokojnie, jak człowiek pogrążony w sprawiedliwym śnie. Zaczął manipulować przy radiostacji, ale ta ciągle milczała jak zaklęta. Po chwili dał spokój. Wyciągnął papierosy, zapalił.

- Nie pozostaje nam nic poza czekaniem. - Powiedział to ze spokojem, tylko leciutka wibracja głosu zaprzeczła temu

spokojowi. – Mam nadzieję, że chłopcy nie przybędą tam za późno.

Rozparł się na krzesło, przymknął oczy. Sina smuga dymu z papierosa unosiła się leniwie ku górze, układając się nad jego głową w postrzępiony, przezroczysty obłok.

Już od dłuższego czasu widział, że ktoś za nim idzie. Przestraszył się. Radził przecież, żeby przeczekać, żeby na razie dać wszystkiemu spokój. Dziecko by się domyśliło, że po nagłej śmierci tego dziennikarza milicja będzie węszyć, że po lesie będą się snuć różni faceci, ciekawi wszystkiego, co się tu dzieje. Wprawdzie zabójstwo Rolaka nie miało nic wspólnego z jego sprawami, ale sytuacja, jaka się w związku z tym wytworzyła, cholernie utrudniała lub wręcz uniemożliwiała ich załatwienie. Gdyby przy okazji, nawet przypadkiem, odkryto, jakie to są sprawy, zarówno on sam, jak i jego partnerzy mogliby się pożegnać z jakimikolwiek marzeniami na przyszłość. Nie tylko na tę dalszą. Na najbliższą również.

Spociał się od szybkiego marszu, ale bardziej chyba od niepokoju. Ostatecznie nic się jeszcze nie stało. W każdym razie nic nieodwołalnego. Może zawrócić, może pójść w zupełnie innym kierunku niż zamierzał. Spaceru nikt mu nie może zabronić. Nawet w nocy.

Swoją drogą ciekawe, kto za nim idzie. Kobieta, tego był pewien. Dlaczego kobieta? I czy sama? W głębokim cieniu kępy świerków obejrzał się z determinacją. Chyba sama. Na co więc liczy?

Poszedł dalej, nieco uspokojony. Ujrawszy przed sobą szeroki zrąb, uskoczył za ostatnie sosny zagajnika. Wstrzymując oddech, czekał. Jeszcze nie wiedział, co robi. Chciał zbać sytuację.

Kobieta zatrzymała się tuż przed zrębem, jakby wahała się, czy wyjść na otwartą przestrzeń. Poza nią nie dostrzegł niczyjej obecności. Jednak nie tylko wzrok i słuch mówił mu, że jest sama. Upewnił go o tym również lęk kobiety, przejawiający się w szybkim oddechu i pełnym niepewności zachowaniu. Widział, jak najpierw udała się wzdłuż zrębu na prawo, potem na lewo. Wyczuwał jej determinację i strach w tej determinacji. Wtedy powziął decyzję. Na skraju zrębu bez trudu znalazł grube polano, które ujął przez chusteczkę. Kiedy kobieta wróciła na drogę, uderzył. Miał nadzieję, że nie zrobił jej krzywdy, choć bez jęku osunęła mu się do nóg.

Potem, idąc pośpiesznie ku swojemu celowi, zastanawiał się, dlaczego to zrobił. Mógł przecież zawrócić do domu, mógł próbować ją zgubić. W nocy i w lesie nie przedstawiałoby to specjalnych trudności. Myślał o tym, jak tylko tę kobietę zobaczył. Dlaczego więc to zrobił? Czyżby działała tu obawa przed tamtą osobą, jego zwierzchnikiem? A może powodowała nim chciwość większa od strachu przed ewentualnymi konsekwencjami?

Był wściekły, a wewnętrzne psychologizowanie jeszcze tę wściekłość pogłębiało. Przy jakimś sągu zatrzymał się, zdjął kilka okrągłaków, położył polano, przykrył okrągłakami. Rozejrzał się, raczej dla formalności, niż z rzeczywistej potrzeby. Był sam, nie miał co do tego najmniejszej wątpliwości.

Teraz już prawie nie zachowywał ostrożności. Trzymał się środka duktu, od czasu do czasu mrucał ze złością, gdy potykał się o wystające korzenie. Minał szklące się martwo jedno jezioro, potem drugie. Znalazłszy się na rozstaju dróg, przy którym drogowaskazy na krzywym słupie wskazywały kierunek nieczytelnych w mroku miejscowości, skręcił prostopadle



do trasy swego dotychczasowego marszu. Jeszcze pół kilometra i przystanął. Nasłuchiwał, ale przez ciemność niósł się tylko niezmienny, niczym w swej niezmienności nie zakłócony poszum lasu. Uspokojony, wszedł między drzewa. Poruszał się pewnie, jak przechodzień po ulicach rodzinnego miasta. Wkrótce zamajaczył przed nim cień paśnika. Mężczyzna obszedł paśnik dookoła, przy jednej ze szczytowych ścianek pogrzebał we mchu.

Przez chwilę stał niezdecydowany, potem zaczął szukać coraz niecierpliwiej, coraz gwałtowniej. Rozgrzebał mech i resztki siana, zaklął, przeniósł się na drugą stronę paśnika, ale i tutaj najwidoczniej jego wysiłki okazały się daremne. Obmacał teraz każdą zerdź, niemal każdą słomkę na daszku.

Trwało to kilkanaście minut, mężczyzna klął teraz prawie głośno. Zrezygnował wreszcie. Postać jeszcze przy paśniku, otarł dłonią twarz i szybko rozejrzał się dokoła. Ale ciemność trwała nieporuszona, głucha. Jeszcze raz się rozejrzał i bez dalszej mitręgi szybkim krokiem poszedł na przelaj przez las.

Nie uszedł daleko. Zanim zorientował się, o co chodzi, unieruchomił go mocny chwyt nelsona. Szarpnął się na tyle rozpaczliwie, co bezskutecznie.

- Tylko spokojnie - usłyszał nad samym uchem głośną radę. Jednocześnie ten sam głos zawołał w przestrzeń: - Mam go, panie plutonowy. Tutaj!

Jeszcze kilka sekund, wypełnionych trzaskaniem gałązek pod stopami, i na przegubach rąk zatrzymanego tak niespodziewanie mężczyzny ze szczękiem metalu zatrzasnęły się kajdanki.

- W porządku - powiedział drugi głos. - Wracamy do domu, Kalinowski. Major się ucieszy z tej nowej znajomości.

Błysnęła latarka, mężczyzna zmrużył oczy.

- Cholera, chyba się jednak nie znamy - powtórzył ten

drugi. - Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale z pewnością się nie znamy. No, ale mam nadzieję, że w najbliższym czasie dopełnimy formalności wzajemnej prezentacji. Pan będzie uprzejmy. Tędy.

Światło latarki przesunęło się po lufie pistoletu, która niedwuznacznie wparła się w bok skutego mężczyzny. Ten bez oporu ruszył, gdzie mu kazano.

## *Rozdział 28*

**W**ykrot szlochał. Był to szloch tym bardziej nieznośny, że wyglądał na szczery i Rybacki słuchał go z niesmakiem. Nie mógł pojąć, że takie chłopisko aż tak się rozkleiło, nie próbując nawet zachować odrobiny godności. Decydując się na udział w przestępstwie, musiał przecież wiedzieć, że ryzykuje i musiał przewidzieć konsekwencje tego ryzyka.

- Przysięgam na Chrystusa Pana, że nie mam z tym nic wspólnego - zaklinał się Wykrot wśród płaczu. - Dałem się tylko namówić córce do głupiego żartu. I tylko ten jeden jedyny raz. Przysięgam.

- Do jakiego żartu? - spytał Grot. - Mówcie jasno.

- Z tą solą.

Ze słów leśniczego, jeśli były prawdziwe - a Rybacki już zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić - wynikało, że owego wieczoru poszedł do lasu na prośbę córki. Opowiedział o spotkaniu z panią adiunkt, o tym, że chciał się z imprezy wycofać, ale córka jeszcze raz go przekonała, w końcu nie popełnili ani ona, ani on wielkiego przestępstwa. Ot, głupi żart, do którego bezsensownie dał się namówić.

I znów ten szloch. Rybacki odwrócił się z obrzydzeniem tym większym, że przecież leśniczy nie był nawet zatrzymany, poza paroma godzinami tamtej nocy, kiedy nadział się na

wywiadowców przy paśniku. Nie było przeciwko niemu żadnych istotnych zarzutów, bo przecież pozostawienie torebki soli w paśniku dla zwierząt, nawet w nocy, nie może być przestępstwem, więc albo źródłem łez była obawa przed wyjściem na jaw innych jego ciemnych sprawek, o których milicja na razie nie wiedziała, albo istotnie przeżył szok z powodu niespodziewanego zatrzymania i nie może się z tego otrząsnąć.

- Trzydzieści lat w leśnictwie - łkał Wykrot - i nigdy najmniejszego zarzutu, nawet tyle, co brudu za paznokciem. Na co mi przyszło za moją pracę, za lojalność wobec władzy ludowej, za ciężkie życie...

- Uspokójcie się, Wykrot, nikt wam krzywdy nie zrobi, jeżeli jesteście w porządku - powiedział major. - Na razie idźcie do roboty. Tylko nie wyjeżdżajcie nigdzie bez naszego pozwolenia.

Po wyjściu Wykrota Grot swoim zwyczajem skubnął wargę i zwrócił się do porucznika:

- Ładny pasztet, co?

- Trochę nadpsuty - skrzywił się Rybacki. - Rozlaż się jak krowie łajno na deszczu. Coś mi tu nie gra.

- Zapalimy? - Grot podsunął młodszemu koledze giewonty. - Czeka nas teraz trudna przeprawa z tym waszym zabójcą.

Wszedł nadleśniczy Sosnowski.

- Jest kilka punktów w pańskich zeznaniach, które chcielibyśmy wyjaśnić - zaczął major prosto z mostu. - Na przykład, dlaczego z uporem godnym lepszej sprawy zaprzecza pan faktowi zamiany butów? Wtedy, w lesie, kiedy zginął redaktor Rolak?

- Tylko po to pan major mnie tu wezwał?

- Nie tylko - głos Grota był oschle uprzejmy. - Od tego jednak chciałbym zacząć.

Sosnowski był wymizerowany. Pobyt w areszcie nikomu

nie robi dobrze na cerę, z pewnością zaś jeszcze mniej dobrze robi ludziom z racji ich pracy nawykłym do swobody i nieustannego obcowania z naturą. A do takich ludzi należał nadleśniczy. Mimo wszystko czynił starania, aby zachować spokój i za te starania porucznik był mu niemal wdzięczny.

- Nie zamieniałem żadnych butów - powiedział po krótkiej przerwie Sosnowski.

- Widział to traktorzysta Klekot. Nie mamy żadnych podstaw do podważania jego oświadczenia.

- Zastępuję chyba na tyle wiary, co Klekot?

- Widzi pan - Grot nie zmienił tonu - Klekot nie przyznał się do zabójstwa.

Nadleśniczy kiwnął głową.

- Rozumiem. Oświadczenia mordercy nie mogą mieć tej samej wagi, co oświadczenia porządnego człowieka.

- Mniej więcej.

- Nie zamieniałem butów. Bo i w jakim celu?

Grot przeszedł więc po pokoju i zatrzymał się przy nadleśniczym.

- Pan jest zapalonym wędkarzem, prawda?

- Co to ma do rzeczy?

- Jest pan zapalonym wędkarzem, zwłaszcza lubi pan łowić węgorze, prawda?

Czoło Sosnowskiego było mokre od potu.

- Ależ ja... ja...

- Spokojnie, panie nadleśniczy. Tylko spokojnie. Załóżmy, że krytycznego ranka miał pan zabrać z jeziora swój kolejny połów. Rzecz jasna, jak najbardziej dyskretnie. Doskonale się złożyło, że akurat tego ranka pańska małżonka wyjeżdżała do Bydgoszczy. Cóż prostszego i naturalniejszego niż wziąć służbową nyskę, z której przecież wolno było panu korzystać i z której pan już nieraz w podobnych wypadkach korzystał - i po odwiezieniu żony na stację zawadzić o interesujące pana jezioro,

zabrać łup i przetransportować go w odpowiednie miejsce. Proszę nie przerywać! W tym celu wziął pan do bagażnika zapasowe buty, bo prowadzenie samochodu w gumiakach nie jest najbardziej wygodne. Odwiózł pan żonę, podjechał do jeziora, zmienił półbuty na gumiak i wszedł do wody po ryby. W tym mniej więcej momencie usłyszał pan strzał. Bliski strzał. To pana zaskoczyło. Wyszedł pan z jeziora i udał się w tamtym kierunku. Uświadomił pan sobie natychmiast, iż w tej okolicy tego dnia nie powinno być myśliwych. Byli oni o sześć kilometrów dalej, w każdym razie powinni być tam, nie tutaj. Wysnuł więc pan logiczny wniosek, że strzał pochodzi z broni kłusownika i nie jest wykluczone, że postanowił pan schwytać tego kłusownika na gorącym uczynku. Kiedy już znalazł się pan w oddziale, w którym strzelano, zobaczył pan... Kogo i co pan zobaczył, panie Sosnowski?!

Nadleśniczy miał teraz nie tylko czoło mokre. Był cały mokry od potu jak mysz, pot wręcz parował przez jego ubranie. Pot udrećzenia i strachu, jak to w myśli określił Rybacki.

Kocie oczy majora Grota wbiły się w twarz Sosnowskiego. Przedłużył efektownie ciszę, jaka nagle nastąpiła, potem, skubnąwszy wargę, podjął swobodnie:

- Zobaczył pan swoją żonę...
- Nie! - krzyknął nadleśniczy.
- ... z dubeltówką w dłoniach. Musiało to panem potężnie wstrząsnąć, zwłaszcza że pani Sosnowska powinna być w owej chwili w pociągu podążającym do Bydgoszczy. Następnie, a może jednocześnie, zobaczył pan leżące na przecince ciało Rolaka. Wykonał pan prawdopodobnie jakiś gwałtowny ruch albo coś pan powiedział, to nie ma znaczenia. Pańska małżonka zdała sobie nagle sprawę, że nie jest sama. Ogarnęło

ją przerażenie. Rzuciła strzelbę i uciekła, chyba na przełaj przez las, bo w lesie mogła się łatwiej ukryć. Nie ma także znaczenia, czy próbował pan małżonkę zatrzymać. W tamtym momencie miał pan jedno pragnienie: zatrzeć ślady zbrodni, odwrócić podejrzenie od żony. W tym celu podszedł pan do zabitego, odciągnął go w zarośla i pierwszą lepszą gałęzią zatarł ślady. Nie ślady, jakie pozostawiło wleczone ciało, lecz ślady obuwia pani Sosnowskiej. Każdy laik przecież wie, że ślady obuwia mogą stanowić corpus delicti w stosunku do właściciela tego obuwia. Wziął pan także z miejsca zbrodni dubeltówkę, z podobnego zresztą powodu. Chodziło o zlikwidowanie qdcisków palców. Nie mógł pan tego zrobić na miejscu, z obawy, żeby ktoś pana nie zobaczył. Przybiegł pan do samochodu, ukrył dubeltówkę, ale przypomniał pan sobie o swoim wędkarskim sprzęcie w jeziorze. Normalnie nie zawracałby pan sobie tym głowy, ale tym razem sytuacja nie była normalna. Przypuszczał pan słusznie, że milicja przeszukując okolice miejsca zbrodni znajdzie pańskie przybory bez większych trudności. Nie wykluczam, że przy manipulacjach z ciałem krew nieboszczyka poplamiała panu ręce czy jakąś część garderoby. Choćby gumiaki. Gdzie łatwiej można się było tych plam pozbyć, jeśli nie w jeziorze? Tak więc wrócił pan do jeziora, załatwił, co trzeba i bez przeszkód dotarł furgonetką do nadleśnictwa. Dalszy ciąg znamy.

Nadleśniczy siedział jak na mękach. Widać to było po jego kredowej twarzy i rozszerzonych z lęku źrenicach. Poruszał bezgłośnie ustami, palce zacisnął na krawędzi biurka, aż pobieląły.

- Moja żona nie ma z tym nic wspólnego - wyszeptał wreszcie. - Nie wplątujcie jej w tę sprawę!

Major pochylił się ku niemu. Powiedział jak do dziecka:

- Nikt nie ma zamiaru wplątywać pańskiej żony w morderstwo. Musimy jednak ustalić fakty i pan powinien nam pomóc. W ten sposób najskuteczniej pomoże pan swojej żonie.

Sosnowski oddychał ciężko.

- Dzieci... - wyjąkał przez dzwoniące zęby. - Jakby się dzieci o tym dowiedziały...

- Kocha pan bardzo swoją żonę - Grot bardziej stwierdził niż zapytał.

Nadleśniczy skinął głową.

- Moja żona... moja żona miała romans z Rolakiem. Wiedziałem o tym i Bóg mi świadkiem, że życzyłem mu nagłej a niespodziewanej śmierci. Ale żeby ona... Jak ona mogła to zrobić? I dlaczego? Przecież nigdy nie wspomniałem nawet słówkiem o tej sprawie. Ona nie wiedziała, że ja wiem, nie wiedziała na pewno. Nie miała się czego obawiać. - Sosnowski wyprostował się na krześle. - Czy Zenka... czy moja żona jest aresztowana?

- Jeszcze nie - odparł major. - Musimy najpierw ją przesłuchać.

## *Rozdział 29*

**R**ozmowa z powabną nadleśniczyną dostarczyła Rybackiemu nowej porcji emocji, której się nie spodziewał.

- W jaki sposób udało się pani podrzucić na miejsce pistolet redaktora Rolaka? - zapytał Grot. - A może zechce nam pani również powiedzieć, jak go pani przedtem zdobyła?

Nadleśniczyną siedziała bez ruchu.

- Pistolet? Jaki pistolet? - wyjąkała po chwili.

- Wyraziłem się chyba jasno! Pistolet redaktora Rolaka.

- Nie wiem o żadnym pistolecie! - zaprzeczyła gwałtownie.

- Prowadzimy sprawę o morderstwo, proszę łaskawej pani - głos majora był surowy. - Proszę to wziąć pod uwagę i nie utrudniać nam pracy. Pani udział w tej sprawie nie ulega żadnej wątpliwości. Tylko od pani szczerości zależy ocena tego udziału.

Sosnowska rozpląkała się rozpaczliwie.

- Ja go nie zabiłam - powiedziała, kiedy się trochę uspokoiła. - Przysięgam na głowy moich dzieci.

Porucznik pamiętał doskonale wyniki ekspertyzy daktyloskopijnej. Nie rozumiał tych wyników, bo Rolak zginął od broni śrutowej, pistolet nie miał tu nic do rzeczy. Fakt jednak pozostawał faktem, I musiał mieć ten fakt określone znaczenie, jeśli interesował majora Grota. Czekał niecierpliwie na jego następne pytanie, ale pytanie nie padło.

- Na pistolecie będącym własnością denata pozostały odciski pani linii papilarnych - porucznik zdecydował się zabrać głos. - Pozostały odciski pani palców. Nasi eksperci stwierdzili to ponad wszelką wątpliwość.

Grot miał twarz bez wyrazu, tylko jego zielonkawe oczy, których nie spuszczał z Sosnowskiej, świeciły leciutkim, jakby litościwym blaskiem.

- Czy mogę prosić o wodę? - zapytała leśniczyna słabym głosem. A gdy jej życzeniu stało się zadość, rzekła: - To ja może zacznę od początku.

- Tak będzie najlepiej - powiedział spokojnie major.

Opowieść kobiety nie była długa, za to najzwyczajniejsza, banalna.

Romans z Rolakiem trwał od dwóch lat. Zaczął się w nadleśnictwie, przy okazji kolejnego pobytu dziennikarza na rykowisku. Właściwie już od dawna wiedziała, że stanowi obiekt jego zainteresowania, ale traktowała to żartobliwie,



jako niewinny, do niczego nie zobowiązujący flirt towarzyski, wynikający raczej z nudów niż z głębszego uczucia. Dopiero dwa lata temu, kiedy nadleśniczy był na kilkudniowym kursie, doszło między nimi do zbliżenia. Przeżyła to, choć w dalszym ciągu nie zamierzała traktować zaistniałej sytuacji w innych kategoriach, jak tylko w kategoriach przygody. Bardzo szybko jednak spostrzegła, że to, co chciała uważać za przygodę, przynajmniej u niej, przerodziło się w głębokie uczucie. Sosnowska zakochała się jak szesnastolatka, bezrozumnie i namiętnie, co stwierdziła ze zdumieniem, lękiem, wstydem, lecz równocześnie z poczuciem szczęścia. Miłość - uczucie dzisiaj niemodne - zaślepiła ją do tego stopnia, że przestała myśleć o konsekwencjach swojego związku z Rolakiem. Miała męża, dzieci, dom, a więc wszystko, co wypełnia człowiekowi życie i czyni je sensownym. Teraz to wszystko przesłonił jej Rolak. Spotykała się z nim, gdzie się dało i jak się dało, na jedno skinienie gotowa była poświęcić mu się bez reszty. Przyjeżdżała zresztą do niego do Warszawy pod najróżniejszymi pretekstami. Czy mąż się czegoś domyślał? Raczej nie, sądząc po jego niezmiennie czułym i troskliwym do niej stosunku. Nie wiele ją to zresztą obchodziło. Ład i spokój dotychczasowego życia bez najmniejszych obiekcji poświęciła dla kaprysu. Bo dzisiaj widzi, że historia z Rolakiem była zwykłym kaprysem. Zaczęła być o niego zazdrosna, zresztą, nie bez podstaw. Roman był kobieciarzem, zdradzał ją na prawo i lewo, wobec niej zobojeźniał. Tymczasem ona odwrotnie. Im bardziej dziennikarz stawał się obojętny, tym większym darzyła go uczuciem. Płakała po nocach, gryzła się, wielokrotnie chciała zakończyć ten żaloszny romans, jednak nie dawała rady. Miłość, czy może raczej namiętność, okazywała się silniejsza. Doszło wreszcie do tego, że poniżyła się do śledzenia go i do

robienia awantur. Ze sprzedawczynią z Mękowa, Wykrotówną, łączyły go już od zeszłego roku bliskie stosunki, przyłapała ich w lesie kilkakrotnie. Na dwa dni przed śmiercią Rolaka pokłóciła się z nim i zagroziła, że go zabije. Przysięga, że nie miała takiego zamiaru. W kłótni mówi się różne rzeczy, ale między słowami a czynami jest kolosalna różnica. Owszem, w przeddzień zabójstwa wykradła jego pistolet, żeby go nastraszyć. Nic więcej. Ona nawet nie umie się pistoletem posługiwać. Rolak przyłapał ją w swoim pokoju i odebrał broń, jednak, kiedy znowu wrócił do brydża, wykradła ją powtórnie. Wiedziała, że następnego dnia o świcie był umówiony z Wykrotówną, podsłuchiwała ich rozmowę telefoniczną. Mężowi powiedziała, że jedzie do Bydgoszczy i poprosiła o odwiezienie na stację. Od stacji do miejsca spotkania tamtych dwojga jest blisko, najwyżej półtora kilometra. Kiedy mąż odjechał, wróciła do lasu. Spóźniła się, bo w zdenerwowaniu pomyliła drogę, choć las zna dobrze. Tamten strzał usłyszała w momencie, gdy znajdowała się bardzo blisko, za narożnikiem zagajnika. Myślała, że Rolak strzelał do jelenia. Przyśpieszyła kroku i znalazła go leżącego na przecince. Niemal potknęła się o niego, nie patrzyła bowiem pod nogi, tylko rozglądała się dookoła.

Sosnowska przerwała. Zaniósła się płaczem, sięgnęła po wodę. Opanowała się po dłuższej chwili i podjęła relację.

Więc kiedy zobaczyła Rolaka we krwi, zrobiło się jej słabo. Była przerażona, panicznie przerażona, zwłaszcza że nie rozumiała, co się stało. Jeśli myślała o czymkolwiek, to chyba tylko o tym, że Roman miał wypadek z bronią, że sam się postrzelił. Ani przez sekundę nie podejrzewała umyślnego zabójstwa. Nie, nikogo nie widziała ani nic nie słyszała. Rolak miał sztucer, jak zwykle, i ten sztucer leżał obok niego jeszcze

z paskiem na jego ręce. Oprócz sztucera była tam też dubeltówka końcami luf oparta o jego ciało. Nie potrafi w żaden sposób wyjaśnić, dlaczego tę dubeltówkę wzięła do rąk. Jakoś chyba równocześnie, trudno jej to zresztą twierdzić na pewno, usłyszała, że ktoś nadchodzi. Cisnęła dubeltówkę na ziemię i uciekła na przełaj przez las. Chciała w pierwszej chwili udać się do najbliższej leśniczówki po pomoc, ale kiedy trochę ochłonęła, zrezygnowała z tego zamiaru. Przecież nie mogłaby ani mężowi, ani nikomu innemu wyjaśnić swojej obecności w lesie, ponieważ wydałyby się jej związki z Rolakiem. Poza tym nie wątpiła, że człowiek, który pojawił się na przecince, z pewnością zajmie się zorganizowaniem pomocy, jeśli jakaś pomoc była jeszcze potrzebna. Rana na piersi Rolaka wyglądała strasznie, z pewnością była śmiertelna. W tej sytuacji nadleśniczyna zdecydowała się pojechać najbliższym pociągiem do Bydgoszczy. Pokazała się w radzie narodowej, w wydziale leśnictwa, gdzie ją znali, potem udała się w drogę powrotną. Wszystko to robiła jak w koszmarnym śnie. Wróciła do domu, wyczekała moment, kiedy pokój Rolaka był pusty i podrzuciła pistolet na swoje miejsce. W nadleśnictwie już wszyscy o wypadku wiedzieli, panowało wielkie zamieszanie, toteż nikt specjalnie nie zwracał uwagi na jej wzburzenie i dziwne chyba zachowanie. Przysięga, że powiedziała całą prawdę i że nie ma nic wspólnego ze śmiercią dziennikarza.

- Zobaczmy - powiedział Grot po zakończeniu opowieści nadleśniczyny. - Teraz proszę się uspokoić i wrócić do domu. Ostrzegam, że musi pani być przygotowana do natychmiastowego stawienia się na każde nasze wezwanie.

Sosnowska wyszła zapłakana. Jej chybotliwe biodra zdawały się żyć odrębnym życiem i nawet teraz, kiedy ich

właścicielka znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia i kiedy bez żadnej wątpliwości daleko jej było do jakiegokolwiek kokieterii, nie straciły swego kuszącego jak grzech powabu. Rybacki westchnął.

- Przepraszam, obywatelu majorze. Czy właśnie to spodziewaliście się usłyszeć od pani nadleśniczyny? Wierzycie w te jej dyrdymałki?

- Tak! - strzepnął palcami Grot. - Zaplątała się w tę historię jak mucha w pajęczynę. Naszym zadaniem jest tę pajęczynę rozplatać. Wtedy również wyjaśni się rola nadleśniczyny.

## *Rozdział 30*

**D**ziewczyna była ładna, choć niepotrzebnie w pretensjach. Fioletowa szopa włosów, fioletowy makijaż oczu, równie fioletowe paznokcie, usta pod grubą warstwą amarantowej szminki - wszystko to było zbyt wyzywające, aby mogło się podobać normalnemu człowiekowi. Obrazu dopełniała spódniczka ledwie zakrywająca pupę i przezroczysta bluzka, spod której prześwitywało gołe ciało. Panna Janina Wykrot okazała się stanowczo nie w guście porucznika Rybackiego.

- W krytycznym dniu była pani umówiona z samego rana z redaktorem Rolakiem, prawda? W jakim celu?

Dziewczyna wydeła wargi.

- Kto to panu powiedział? Rolak?

- Pani zapomina, że chodzi o morderstwo - Grot z politowaniem pokiwał głową. - Pani była z nim umówiona tego ranka, kiedy został zastrzelony.

- Bzdura. Nie umawiałam się z żadnym Rolakiem. W ogóle prawie go nie znałam. Widziałam go zaledwie kilka razy.

- Jest świadek rozmowy Rolaka z panią. Tej rozmowy, podczas której umówiliście się na owo fatalne dla redaktora spotkanie. Była pani ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Arogancja Wykrotówny jakby się zmniejszyła.

- Powiedziałam, że to bzdura.

Rybacki spojrział pytająco na zwierzchnika, a gdy ten przyzwalająco skinął głową, podszedł do dziewczyny i powiedział niemal pieszczotliwie:

- Tylko grzecznie, panienko. Tylko grzecznie. Taki język i ton zachowaj dla swoich koleżanek. Tutaj jest milicja.

- Bo co? - hardo rzuciła głową.

- Bo każemy cię zamknąć i nie wyjdiesz wcześniej, aż się nauczysz dobrych manier. Rozumiesz?

O dziwo, pomogło. W oczach dziewczyny po raz pierwszy zamigotał strach. Rozejrzała się rozpaczliwie dokoła, jakby teraz dopiero uświadomiła sobie powagę sytuacji.

- Przepraszam - wykrztusiła.

- To już lepiej - pochwalił Rybacki.

Major z trudem ukrył uśmiech rozbawienia.

- Wiedziałem, że młodzież dogada się ze sobą o wiele łatwiej niż ze starszym. Powtarzam więc pytanie: w jakim celu umówiła się pani z Rolakiem i jak to wasze spotkanie wyglądało?

Wykrotówna wierciła się na krześle, niespokojnymi oczami wpatrywała się w Grota.

- Nie byłam na spotkaniu. Słowo honoru, że nie byłam. Musicie mi, panowie, uwierzyć.

- To już słyszeliśmy - zmarszczył brwi major.

- Ale ja powiem wszystko, jak było naprawdę.

- Czekamy. Opuściła głowę.

- Poznałam pana redaktora Rolaka, tak samo zresztą jak kilku innych myśliwych, w sklepie w Makowie - mówiła

cicho. - Zachodzili tam często po rannych polowaniach, ponieważ sklep, gdzie pracuję, jest lepiej zaopatrzony od kłownowskiego. Poza tym najwięcej jeleni jest właśnie w okolicach Mękowa. Nie interesowali mnie zbytnio. No, może trochę więcej niż inni klienci, bo to i panowie z Warszawy, i tacy jacyś weseli ludzie. Szczególnie redaktor Rolak. Fundował mi czekoladki, zawsze powiedział jakiś komplement, a to dla każdej dziewczyny jest przyjemne, nie? Ale, broń Boże, nic między nami nie było, same żarty.

Uniosła głowę, spojrzała na oficerów. Powiedziała tonem zwierzenia:

- Musicie, panowie, wiedzieć, że mam chłopaka. Chcemy się pobrać, jak wróci z wojska. Spodziewałam się jego przyjazdu wtedy, kiedy się to wszystko stało, ale pewno nie dostał przepustki, bo nie przyjechał. Ale gdyby nawet nie pokazał się i przez rok, nie mogłabym sobie pozwolić na żadne romanse, bo Mękowo to bardzo mała osada, wszyscy się tutaj znają i wszystko o sobie wiedzą. Kazik dowiedziałby się zaraz o wszystkim i zerwałby narzeczeństwo. Nie to, żeby był specjalnie zazdrosny. Jest po prostu dumny, może z tego powodu tak mi na nim zależy. Naprawdę mi na nim zależy, toteż żaden mężczyzna nie może mnie aż tak bardzo zainteresować, żebym się odważyła na jakiś głupi wyskok.

- W końcu jednak umówiła się pani z redaktorem Rolakiem - powiedział Rybacki. - Mimo wszystkich swoich obiekcji.

Dziewczyna splótła nerwowo palce.

- To nie było tak - potrząsnęła fioletową głową.

- A jak? - nie ustępował porucznik.

- Przed rokiem podczas rykowiska pan redaktor zaczął się mną jakoś bardziej niż inni i bardziej niż poprzednio

interesować. Spotkałam go parę razy w lesie, zupełnie niespodziewanie, bo w czasie dnia, a wtedy, jak panowie wiedzą, nie poluje się na jelenie. Tylko rano albo wieczorem, kiedy ryczą. Musiał mnie śledzić czy co?

Janina Wykrotówna mówiła tak, jakby się głośno zastanawiała, jakby dla niej samej sprawa nie była jasna.

- Z czego pani wnioskuje, że spotkania z redaktorem Rolakiem nie były przypadkowe? - wtrącił Rybacki. - Że panią śledził?

- No bo dlaczego zjawiał się akurat wtedy, kiedy odnosiłam przesyłkę? - Podniosła zaciśniętą pięść do ust, spojrzała z przerażeniem na porucznika, potem na majora, zamruwała fioletowymi powiekami. - On...on... co ja plotę? Dlaczegożby miał mnie śledzić? Na pewno zbierał w tym czasie grzyby. Wszyscy myśliwi zbierają na polowaniu grzyby.

Rybacki zerknął na majora. Ten, zapalając kolejnego papierosa, skinął tylko nieznacznie głową. Porucznik pochylił się nad dziewczyną. Powiedział z udaną obojętnością:

- Rzeczywiście, to nie były chyba przypadkowe spotkania, jeśli zdarzały się akurat w momencie odnoszenia przez panią przesyłek. - I rzucił pytanie, które zabrzmiało jak pierwszy pomruk burzy: - A jakie to były przesyłki? Od kogo i dla kogo?

Wykrotówna skuliła się na krześle. Uciekła oczami w bok, ale i tak nie ukryła zaciemniającego je lęku.

- A takie tam, różne - wyjąkała. - Od znajomych dziewczyn do chłopaków, od chłopaków do dziewczyn. Różne.

- Nazwiska tych dziewczyn i chłopaków! - Rybacki jeszcze niżej pochylił się nad dziewczyną.

- Kiedy ja... ja naprawdę nie pamiętam. Może sobie przypomnę później.

- Albo zaraz nam to powiesz, panienko - Rybacki cedził teraz słowa niemal do jej ucha - albo będziesz sobie przypominać w areszcie. Jak wolisz.

- Ja nigdy nie siedziałam w areszcie! - krzyknęła dziewczyna. - Nigdy!

- To teraz sobie panienska posiedzi. Zawsze musi być ten pierwszy raz.

Wykrotówna zaczęła płakać.

- Ja naprawdę... naprawdę nie wiem, co to były za przesyłki. Ani dla kogo.

Major zgasił giewonta. Odezwał się bez zniecierpliwienia, prawie po ojcowsku.

- Ostatnią przesyłkę pani знаła. Tę, którą na pani prośbę odnosił ojciec.

- Tylko tę jedną, przysięgam! I tylko dlatego, że sama tę torebkę soli przygotowałam. O innych paczkach, a właściwie paczuszkach, nie miałam i nie mam do dzisiaj pojęcia. Przysięgam!

- Za dużo przysięg, a za mało konkretów - kontynuował tym samym tonem Grot. - Ktoś pani owe paczuszki przekazywał, komuś je pani doręczała. No więc?

- Boże, jaka ja jestem głupia! - szlochała Wykrotówna. - Jaka głupia! I wszystko dla paru nędznych setek. Już nigdy więcej nie dam się tak nabrać. Nawet za sto tysięcy. - Otarła oczy, starała się uspokoić. - Jak panom opowiem całą prawdę, to i tak mi, panowie, nie uwierzycie. Sama bym nie uwierzyła.

- Uwierzymy, jeśli rzeczywiście powie nam pani prawdę - zapewnił major poważnie.

- Dobrze, spróbuję - zgodziła się jeszcze przez łzy. - Zaczęło się to przed dwoma laty. Pewnego dnia otrzymała anonimowy telefon z propozycją przyjęcia od kogoś, kto się zjawi u niej w sklepie, zalakowanej koperty i ukrycia jej w jednym



z pańników w lesie. Za tę przysługę miała dostać dwieście złotych. Myślała, że to głupi kawał, bo po pierwsze, rozmówca absolutnie nie chciał się jej przedstawić, po drugie zaś, nikt przy zdrowych zmysłach nie każe nosić listów do lasu - i jeszcze płaci za to dwie stówki? Do jeleni pisze czy jak? Jednak po paru dniach zjawił się w sklepie jakiś facet i rzeczywiście wręczył jej zalakowaną kopertę oraz dwa czerwone banknoty. Widziała tego człowieka po raz pierwszy i ostatni w życiu. Od tamtej pory więcej się nie pokazał i ona też nie spotkała go nigdzie. Aha. Jeszcze musiała się zobowiązać, że zachowa wszystko w najgłębszej tajemnicy. Nie traktowałaby tej sprawy poważnie, gdyby nie chodziło o forszę. Forszę zawsze należy traktować poważnie, jeśli chce się w życiu czegoś dochrapać. Po pierwszym zadaniu, które wypełniła dokładnie, otrzymała kilka następnych, takich samych. Początkowo pańnik był za każdym razem inny, ale zawsze były to koperty. Dopiero jak zaczęła otrzymywać niewielkie paczuski, też zapieczętowane, musiała je odnosić do pańnika nad jeziorem Bręde. Korciło ją, żeby kiedyś zajrzeć do tajemniczej przesyłki, ale bała się narużyć pieczęć. Ludzie od tych przesyłek zmieniali się, ani razu nie pokazała się ponownie ta sama osoba.

Nie, to nie byli tylko mężczyźni, ci posłańcy, choć poważnie mężczyźni. Były wypadki, że zjawiały się kobiety, dwa albo trzy razy. Po pewnym czasie przestała ją interesować dziwaczność jej zajęcia, w końcu pieniądze to pieniądze, a jej chodziło wyłącznie o pieniądze. Miała wyjść wkrótce za mąż, a wesele, wiadomo, kosztuje. Płacili uczciwie, czego miała więcej wymagać?

Ostatnią historię z ojcem urządziła również na telefoniczne polecenie. Miała u siebie zaplombowaną paczkę, którą tego wieczora po pracy powinna zanieść jak zwykle do pańnika w okolicy jeziora Brędego. Po raz pierwszy polecenie zostało

zmienione, pojęcia nie ma, z jakiego powodu. Kazano jej przesłać przez ojca zawiniątko z solą, zaś właściwą paczkę zanieść na to samo miejsce w nocy między dziesiątą a dwunastą. Ojciec najpierw się rozgniewał, ale jakoś go ubłagała. Nie, nie bała się iść do lasu w nocy, bo i czego? Zna tam każdą ścieżkę, tam się przecież urodziła i wychowała, las nie ma dla niej tajemnic, zżyła się z nim od dziecka.

Wracając do Rolaka. Chyba ją naprawdę śledził, bo raz nawet nie mogła przez niego w wyznaczonym czasie wykonać swojego zadania i zaraz następnego dnia musiała się z tego gęsto tłumaczyć. Jasne że przez telefon. Otrzymała wtedy polecenie, aby informować o każdym spotkaniu z Rolakiem. Kazano jej się zachowywać jakby nigdy nic, nawet zabierać do lasu jakąś torbę, niby na grzyby. Nie podobało się jej, że również jego umiżgi miała przyjmować życzliwie, rzekomo po to, żeby mogła poznać jego zamiary. Tego ostatniego polecenia z pewnością by nie wykonała, gdyby pan redaktor nie był rzeczywiście sympatyczny i gdyby się jej rzeczywiście nie spodobał. Owszem, przy jakiejś okazji wspomniała mu o tych idiotycznych przesyłkach. Bardzo go to zainteresowało. Nawet obiecała mu, że kiedyś zgodzi mu się taką przesyłkę pokazać. Tylko pokazać, ze względu na pieczęć. Oczywiście, że nie powiedziała o tym swojemu telefonicznemu rozmówcy.

Słowo honoru, że nie wie, kto jest tym telefonicznym rozmówcą. Raz wydawało się jej, że to kobieta, drugi raz, że mężczyzna. Głos zawsze był niewyraźny, to znaczy słowa było słycać dobrze, tylko że brzmiały tak, jakby ten ktoś miał kłuski w gębie.

Dziewczyna skończyła.

- A to ostatnie spotkanie - zapytał cicho Rybacki - które nie doszło do skutku, ponieważ redaktor Rolak został

zastrelony? A może doszło? Może pani tam jednak była?

- Nie! - krzyknęła dziewczyna z nie udawanym przerażeniem. - Nie byłam.

- To po co się pani umawiała?

- Telefon! Otrzymałam telefon, żeby się z nim umówić. I żeby nie iść.

- Przekonamy się, na ile pani zeznanie pokrywa się z prawdą - powiedział porucznik. - Tak czy inaczej...

- Przysięgam, że nic nie zbijałam! Nic a nic.

- Tak czy inaczej zaprowadziła pani Rolaka na miejsce jego śmierci.

- Jak to?! - podskoczyła dziewczyna.

- Ktoś kazał się pani z nim umówić i jednocześnie zabronił pójść na to spotkanie. Czy jesteś aż na tyle głupia - porucznik znowu zaczął zwracać się do dziewczyny per „ty” - że nie zdajesz sobie sprawy, co zrobiłaś? To ty go wysłałaś tam, gdzie ktoś czekał, aby go zabić. Wysłałaś go na śmierć! Jeśli sama nie zabiłaś...

Wykrotówna patrzyła na Rybackiego oczami okrągłymi ze strachu. Chyba dopiero feraz zdała sobie sprawą z treści jego słów i ze swojej sytuacji. Z jej początkowej arogancji nie pozostało śladu. Harda kocica przemieniła się z chwili na chwilę w przerażoną mysz, na której zatrzasnęła się pułapka. Nie płakała już, ale suchość warg i bladość policzków były widoczne nawet pod grubą warstwą szminki i pudru. Wydawało się, że zemdleje.

- Tak - przerwał milczenie major. - Niewesoło, panienko, niewesoło.

## Rozdział 31

**B**yla cicha, pogodna sobota początku października. Kilku jednak ludziom nie dane było rozkoszować się tego dnia urokami złotej polskiej jesieni.

Z samego rana, zgodnie z poleceniem Grot, porucznik Rybacki wezwał do komendy miejskiej panią Ewelinę Rzęsę. Zjawiła się jak zwykle zaaferowana, uśmiechnięta ni to nieporadnie, ni to dobrodusznie, zachybotwała się w drzwiach na swoich krótkich nóżkach i zajęła miejsce przed biurkiem Rybackiego, za którym tym razem siedział major Grot.

- Mam przykrą wiadomość dla pani - zaczął z miejsca major. - Zatrzymaliśmy pod zarzutem zabójstwa dokonanego na osobie redaktora Romana Rolaka pani chrześnicę, Janinę Wykrot. Bardzo jej pani broniła wtedy, gdy złożyłem pani wizytę w domu. Niestety, fakty okazały się inne niż pani opinia.

Wodniste oczy księgowej rozszerzyły się na krótką chwilę od lęku, natychmiast jednak zwężyły się znowu w dwie wąskie szparki. Major czekał.

- Dlaczego mówi to pan major właśnie mnie? - zapytała wreszcie kobieta. Jej głos stracił dotychczasową dobroduszość. - To chyba bardziej sprawa jej ojca, prawda?

- Tak, oczywiście. Tylko, widzi pani, ojciec dowiedział się, że córka jest zamieszana w sprawę zbrodni, w ogóle nie chce jej widzieć, nie chce z nią rozmawiać. Wyparł się córki. Dziewczyna jest zupełnie załamana, a ponieważ matkę straciła kilka lat temu, pozostała pani, jako jej matka chrzestna. Wyraziła życzenie rozmowy z panią, a my, cóż, choć nie jest to w zgodzie z przepisami, postanowiliśmy spełnić jej prośbę. Czy jest pani skłonna porozmawiać z podejrzaną?

Księgowa już nie kiwała się na krześle. Siedziała sztywna, nieruchoma, tylko zmrużone oczy były pełne żywych refleksów, co jednak w żadnej mierze nie przydawało im ciepła.

- Pan się myli, panie majorze - odezwała się głosem zduszonym, ale pewnym. - Janka nie ma z morderstwem nic wspólnego. Za dobrze ją znam, aby w to uwierzyć. Nawet gdyby się przyznała. Robicie dziewczynie wielką krzywdę, aresztując ją. W opinii ludzkiej pozostanie z piętnem zbrodniarki, choćbyście ją potem sto razy uniewinniali.

Grot rozłożył ręce.

- Niestety. Wszystkie dowody świadczą przeciwko niej. Odciski palców na dubeltówce Rolaka...

- Tam nie mogło być odcisków jej palców! - krzyknęła pani Rzęsa. Poderwała się, szybko siadła z powrotem i tak samo szybko się uspokoiła. - Wiem, że Janka wtedy... wtedy, kiedy się to stało, była w sklepie od świtu. Miała przyjęcie towaru - dokończyła z przekonaniem.

- Dziwne - major wydawał się zmieszany. - Bardzo dziwne. Oczywiście, sprawdzimy to, nasi eksperci od daktyloskopii mogli się pomylić. To się zdarza. Rzadko, ale się zdarza.

Przez zimne oczy księgowej przebiegła iskierka nadziei. Grot ledwie ją dostrzegł, tak była nikła i tak krótko żyjąca.

- Gdzie ją trzymacie?... Gdzie w tej chwili jest moja chrześnica?

Major Grot uśmiechnął się lekko, leciutko, samym cieniem uśmiechu. Odpowiedział:

- Dosłownie w zasięgu ręki.

Księgowa powzięła nagłą decyzję.

- Dobrze, porozmawiam z nią. Możemy iść.

Tym razem major nie ukrywał uśmiechu.

- Nie możemy iść, proszę pani. Z różnych względów, o których nie mogę mówić.

- Powiedział pan przecież, że jest w zasięgu ręki. Rozumiem. Każe ją pan przyprowadzić.

- Nie. Natomiast może pani porozmawiać z nią telefonicznie. To miałem na myśli mówiąc, że jest w zasięgu ręki.

Zanim kobieta zdążyła zareagować, major już kręcił tarczą jednego z dwóch stojących na biurku aparatów. Oddał słuchawkę.

Księgowa zacisnęła usta. Siedziała bez ruchu, potem wyciągnęła rękę, wzięła słuchawkę od majora, podniosła powoli do ucha i przez długą chwilę milczała, oddychając z trudem.

- Halo - powiedziała wreszcie. - Janeczka? - Widocznie nie było odpowiedzi, bo powtórzyła głośniej: - Janka? Halo! Odezwij się, mówi chrestna.

Grot uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Nie zgłasza się? Niemożliwe.

Delikatnie odebrał słuchawkę z ręki księgowej i przyłożył do ucha. Spojrzał na aparat, postukał widełkami.

- Rzeczywiście głucho. - Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Przepraszam panią. Pomyliłem aparaty.

Wykręcił jakiś numer z drugiego aparatu.

- Chwileczkę, będzie rozmowa.

Znów oddał słuchawkę księgowej.

- Halo! Janka? Poznajesz mnie? Tak, to ja, twoja chrestna... Nie płacz, uspokój się, to na pewno jakaś pomyłka... Oczywiście, zrobimy wszystko, abyś jak najprędzej wróciła do domu... Dobrze, przyślę ci wszystko, co trzeba, kiedy tylko będzie to możliwe... Musisz kończyć?... Bądź dzielna, córuchno, wszystko się wyjaśni... Całuję cię, drogie dziecko. Trzymaj się.

- Dziękuję pani - powiedział Grot. - Ta rozmowa była bardzo potrzebna. Bardzo.

- Jance potrzebne są drobiazgi osobiste - księgowa mówiła rzeczowo, jej niedawne wzburzenie przeszło bez śladu. Grot podziwiał opanowanie tej kobiety. - Kiedy będę mogła doręczyć jej te rzeczy?

- Sądzę, że wkrótce. Zawiadomimy panią. Na razie dziękuję, może pani wracać do pracy.

W dziesięć minut po jej odejściu wezwał porucznika Rybackiego. Ten patrzył na zwierzchnika z taką estymą, że Grot parsknął śmiechem.

- Jak poszło? Wszystko zgodnie z planem? - zapytał.

- Towarzyszu majorze, chciałem... - zająknął się porucznik i zarumieniony po białka oczu dokończył z determinacją: - Melduję, że towarzysz major jest geniuszem.

## *Rozdział 32*

**P**ożegnanie z myśliwymi odbyło się zupełnie dla nich niespodziewanie.

- Możecie panowie jechać do domu - zakomunikował im Grot. - Trochę musieliście przedłużyć swoje urlopy, wiem. Rozumiecie jednak, że powód nie był błahy.

Znajdowali się znowu w pokoju, gdzie mimo otwartych okien powietrze było ciężkie od suszących się grzybów. Grzybów, które zbierał także Rolak nie przypuszczając, że nigdy nie będzie ich spożywał. Z myśliwych byli tylko Węgierski i Rudek, inżynier Wójcik przebywał zupełnie gdzie indziej i - co porucznik Rybacki doskonale wiedział - na razie nie szykował się jeszcze do wyjazdu.

Redaktor Rudek nie ukrywał konsternacji:

- Z tego wynika, że jesteśmy poza podejrzeniami - powiedział do majora. - To dobrze. Sami, panowie, chyba nie wierzyliście, że ktoś z nas mógłby być mordercą kolegi. Ale wynika z tego również, że macie już rzeczywistego mordercę.

- Właśnie - dorzucił z podnieceniem Węgierski. - Czy możecie nam zdradzić, kto to jest?

Grot zrobił tajemniczą minę.

- Nie chcemy uprzedzać faktów. Jest jeszcze kilka niejasności, które musimy rozwikłać. Ale w zasadzie...

- Nie wierzę, żeby to zrobiła ta siusiumajtką Wykrotówna - wyrzucił z siebie dziennikarz. - Z jakiego powodu? Zazdrość? To śmieszne.

- Nikt nie powiedział, że to ona - zwrócił mu uwagę porucznik Rybacki.

- To po co żeście ją zatrzymali?

- Okaże się. Poza tym od zatrzymania do udowodnienia winy daleka droga. Ale, ale. Skąd pan wie, panie redaktorze, o zatrzymaniu obywatelki Wykrot?

- Krasnoludki mi powiedziały. To pan nie wie, że w tym lesie roi się od krasnoludków? Pod każdym grzybem można spotkać co najmniej jednego.

- Pytam poważnie.

- Niech pan da spokój, poruczniku - wtrącił się Węgierski. - Całe nadleśnictwo o niczym innym nie mówi. Jeśli aresztowanie tej dziewczyny chcieliście utrzymać w tajemnicy, to nie bardzo wam to wyszło, panowie.

Rudek był w dalszym ciągu poruszony.

- Nie wierzę w winę Wykrotówny - powtórzył. - Boję się, że znowu strzeliliście byka, jak z nadleśniczym. Działacie na ślepo. Tymczasem prawdziwy zbrodniarz śmieje się w kufak i spokojnie zaciera ślady. Jeśli jakieś ślady jeszcze w ogóle pozostały.

- Dosyc tego, panowie - powiedział Grot stanowczo.



- Rozumiem, że jesteście niecierpliwi i że chcielibyście zobaczyć kolegi widzieć jak najprędzej pod kluczem. Macie do tego prawo. We właściwym czasie dowiecie się o wszystkim, to wam przyrzekam. Ale na razie pozwólcie nam działać. Dochodzenie w sprawie morderstwa trwa jednak dłużej niż wypalenie paczki papierosów. Dlatego jeszcze raz proszę o cierpliwość i wyrozumiałość. Życzymy panom szerokiej drogi. Do zobaczenia.

- A co się dzieje z Wójcikiem? - zapytał Rudek. - Nie widziałem go od kilku godzin. Nie pojedziemy bez niego.

Major stuknął się w czoło.

- Na śmierć zapomniałem. Inżynier Wójcik musi tu jeszcze jakiś czas pozostać. Prosił, aby was pożegnać w jego imieniu.

- Chyba jego żeście nie aresztowali? - dziennikarz zmarszczył brwi niespokojnie.

Węgierski roześmiał się ironicznie. Rzucił pod adresem kolegi.

- Dlaczego nie? Był nadleśniczy Sosnowski, jest dziewczyna, dlaczego nie miałby być Wójcik? Do trzech razy sztuka.

- Dostyc żartów, panowie - uciął Grot. - Jeżeli jesteście spakowani, to szmat drogi możecie jeszcze zrobić przed zachodem słońca. Zresztą, jak uważacie. Ja was nie wyganiem.

- Nie mam zamiaru zostawać tu ani pięciu minut dłużej - mruknął Rudek. - Pieprzone polowanie.

- Ani ja - przyłączył się do niego doktor. - Do widzenia, panowie.

Podali sobie ręce i gdy myśliwi byli już w drzwiach, major jakby sobie o czymś przypomniał.

- A grzyby?

Zatrzymali się z wahaniem.

- Co grzyby? - zapytał zaskoczony dziennikarz.
- Zostawiacie, panowie, grzyby? - Grot wskazał na naniżane na sznury i nitki dorodne borowiki i koźlaki. - Przecież nie po to żeście je zbierali.

Rudek wzruszył ramionami.

- To grzyby Romana - wyjaśnił. - Zresztą, ja nawet swoich własnych nie zabrałem. Żadnego nie mógłbym przełknąć ze świadomością, że były zbierane tutaj, razem z nieżyjącym kolegą.

- A ja swoje zabrałem - powiedział Węgierski. - Niestety nie szczęście, a grzyby grzybami. Nie widzę związku między jednym a drugim.

- Do widzenia, panowie - powiedział major. - I szerokiej drogi.

Myśliwi wynosili jeszcze swoje klamoty do samochodu, kiedy Grot z Rybackim wsiedli do służbowej wołgi i opuścili nadleśnictwo. Do miasta dojechali w milczeniu, tylko major ćmił jednego papierosa po drugim. W komendzie miejskiej czekał na nich sierżant Polański.

- Wszystko gra? - zapytał major bez wstępów.

- Melduję, że jak w szwajcarskim zegarku - wyprężył się sierżant. - Ani przez chwilę nie spuścimy z nich oka.

- To ruszajcie. I w razie jakichkolwiek niespodzianek meldować.

- Tak jest, obywatelu majorze! Po zakończeniu akcji gdzie się mam zameldować? - zapytał od drzwi.

- Nad jeziorem Czarnym, wiecie przecież - major uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Tak jest! Chciałem się tylko upewnić.

Gdy wyszedł z pokoju, Grot zwrócił się do porucznika.

- Wasza ekipa gotowa?
- Tak jest - odpowiedział Rybacki. Jego głos był suchy, służbowy. - Chłopcy czekają na rozkaz.
- A więc wydajcie rozkaz. Przeprowadzić dokładną rewizję i bez względu na jej wynik zatrzymać podejrzaną. Zamknąć także dwie pozostałe osoby. Potem zameldujcie się tutaj. Jasne?
- Jasne.

Bułeckiej w mieszkaniu nie było. Nie było także porucznik Wiesławy Karaś, u której tamta zamieszkała od wczoraj, po powrocie ze szpitala. W dziurce od klucza tkwiła natomiast kartka z informacją, że obydwie panie w towarzystwie inżyniera Wójcika pojechały nad jezioro do pewnego namiotu, który adresatom tej kartki jest poniekąd znany. Więc gdyby pan major i pan porucznik mieli ochotę...

Mieli ochotę, chociaż Grot mruczał coś o niewydarzonych pannicach, co to zamiast siedzieć grzecznie w domu, włóczą się nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co. To swoje mruczenie zakończył uwagą, że widocznie z głową pani adiunkt musiało być gorzej, niż twierdzili lekarze.

Nad jeziorem Czarnym, poza trójką, której szukali, zastali panią Danutę Grotową. Wójcik oświadczył, że warto by płynąć na wyspę, gdzie czekają już ziemniaki do pieczenia oraz susz na ognisko, przy którym się najmilej gawędzi.

Nie było protestów, propozycja odpowiadała wszystkim.

## *Rozdział 33*

**K**iedy skończyła się uczta z pieczonych ziemniaków, major Grot zasiadł przy ognisku i przystąpił do końcowej relacji o sprawie, w której każde z nich brało udział, a której wielu fragmentów dotychczas nie rozumieli.

- Wszyscy znacie już z grubsza tło wydarzeń, jakie się tutaj rozegrały. Nie tylko zresztą tutaj. Gdzie indziej również - kontynuował Grot. - Afera przemytnicza, której nici prowadziły do Klonowa, a którą z tak tragicznym dla siebie skutkiem próbował na własną rękę rozwikłać redaktor Rolak, nie jest znana jedynie chyba inżynierowi Wójcikowi. Dlatego nie będę rozwodził się nad szczegółami.

- Chciałbym jednak poznać te szczegóły - wtrącił Grzegorz.

- Ja też! - poparła go Wiesia.

- I ja bym nie był od tego - dodał porucznik Rybacki.

- Więc dobrze - zgodził się Grot. - Jak już wiecie, Grażyna jest naszą kuzynką. Przed objęciem posady w Klonowie pracowała w innym nadleśnictwie, nieważne gdzie, w każdym razie wystarczająco daleko, aby nikt jej tu nie znał i nie łączył jej osoby z moją żoną, a przez nią ze mną, czyli z milicją. Kiedy na skutek pewnych sygnałów nasza centrala doszła do wniosku, że jednym z miejsc, gdzie skupiają się nici przemytniczej afery jest województwo bydgoskie i kiedy mnie powierzono prowadzenie tej sprawy, załatwiliśmy przeniesienie Grażyny do Klonowa. Oczywiście najzupełniej oficjalnie, przez właściwy dla jej pracy resort. Takich operacji dokonaliśmy więcej, jak choćby z porucznikiem Karasiówną. Chcieliśmy mieć wgląd w rozmaite środowiska na naszym terenie, to chyba jasne. Szkopuł jednak w tym, że Grażyna nigdy nie

pracowała ani nie miała zamiaru pracować w milicji. Wobec tego, że trudno nam było znaleźć odpowiednią liczbę ludzi o koniecznych tu kwalifikacjach, poprosiłem o pomoc Grażynę. Miała pracować przecież w dalszym ciągu w swoim zawodzie, a jedyne, czego od niej oczekiwaliśmy, to żeby miała oczy i uszy otwarte na wszystko, co się tu działo, a co mogło nas zainteresować. Grażyna zgodziła się może dlatego, że mnie trochę lubi, a może dlatego - major uderzył w ton żartobliwy - że jest jeszcze na tyle młoda, iż pociąga ją romantyzm milicyjnej pracy. Wiecie, tajemniczość, przygoda i tak dalej.

- A może jest po prostu dobrą obywatelką - wtrąciła półgłosem Wiesia. - Wielu uczciwych i wcale nie romantycznych ludzi nam pomaga.

- Zgadzam się - powiedział Grot poważnie. - Nie chciałem uderzać w górne tony, ale to była główna przyczyna, dla której Grażyna wyraziła zgodę. Postawiła jednak warunek, że poradzi się swojego narzeczonego, obecnego tutaj Grzegorza Wójcika. Nie powiem, żebym przyjął to z entuzjazmem. Bardzo cię przepraszam, Grzegorz, ale potencjalnie każdy był w tej sprawie podejrzany. A tak się składa, że ty od lat przyjeżdżałeś tu na polowania. Po konsultacjach z przełożonymi postanowiliśmy wyrazić zgodę na warunek Grażyny, z tym że absolutnie nie podaliśmy najmniejszego szczegółu, który mógłby cokolwiek powiedzieć inżynierowi o rodzaju i charakterze sprawy. Potem zresztą to się zmieniło. Ale dopiero potem, kiedy byliśmy pewni inżyniera pod każdym względem.

Major zrobił krótką przerwę na zapalenie papierosa. Nikt się nie odzywał.

- Ustaliliśmy, że będziemy się kontaktować przez krótkofalówkę nadleśnictwa przy okazji nadawania meldunków meteorologicznych. Nie spodziewałem się, nikt się nie spodziewał, że może to być dla Grażyny aż tak niebezpieczne,

jak było! Przemysłowcy nie mają się mokrej roboty, przynajmniej w Polsce. Stało się inaczej, z winy zresztą samego Rolaka. Chciał działać sam, poza milicją. Takie aspiracje nigdy nie kończą się dobrze. Tyle jeśli chodzi o Grażynę i Grzegorza.

- A Wiesia? - nie wytrzymał Rybacki.

- Koleżanka Wiesława Karaś jest oficerem milicji - powiedział Grot oficjalnie. Zaraz jednak powrócił do swobodnego tonu narracji. - Pracę w aptece, choć także zgodną z jej zawodem, podjęła na polecenie służbowe. To polecenie wykonała bez zarzutu. Z wrodzonym sobie wdziękiem i bezpośredniością w sposobie bycia nawiązała szerokie, tudzież serdeczne stosunki z przedstawicielami miejscowych środowisk, nie wyłączając organów MO - tu Grot spojrzął z rozbawieniem na porucznika Rybackiego. - Bardzo cenne okazały się zwłaszcza jej spostrzeżenia dotyczące kawiarni „Leśna”, gdzie odbywało się przekazywanie informacji. Informatorzy, jak wiemy, wiadomości przekazywali w niecodziennej formie. Byli to zazwyczaj ludzie szukający łatwego zarobku i nie pytali, czego te informacje dotyczą. Być może nie wiedzieli nawet, że przekazują cenne komunikaty. Ich rola polegała na publicznym, w tym wypadku w rzeczowej kawiarni „Leśna”, wygłaszaniu pewnej formułki, z reguły dosyć śmiesznej i absolutnie niewinnej dla osób nie wtajemniczonych. Otrzymywali za to zapłatę od mocodawców, którzy pozostawali w cieniu. Pewien rodzaj ludzi nie pyta, od kogo dostaje pieniądze. Najwyżej ile i za co. Ten sposób przekazywania wiadomości miał jedną niezmiernie ważną zaletę: był całkowicie bezpieczny. Przynajmniej w mniemaniu zainteresowanych i przynajmniej do czasu. Ktoś, dla kogo dana wiadomość była przeznaczona, nie musiał się obawiać dekonspiracji - formuła była jasna tylko dla niego, dla osób postronnych stanowiła co najwyżej niezrozumiały

wyglup. Poza tym ten ktoś był dla informatora anonimowy.

- Rozumiem mechanizm działania - odezwał się Wójcik.

- Ale nie rozumiem celu, dla którego mechanizm ten stworzono. Przecież najprostszym sposobem porozumienia się jest choćby zwykły list.

- Nie dla każdego. Gdzie jest list, tam musi być nadawca i adresat. Nawet poste restante może się okazać formą niebezpieczną, bo ktoś musi w końcu list czy przesyłkę odebrać w publicznym miejscu, a sam ten fakt w pewnych okolicznościach stwarza konkretne zagrożenie. Nie, kochani. Ludzie, którzy to wymyślili, nie chorowali na przerost wyobraźni pod względem organizacji. Byli tylko ostrożni, piekielnie ostrożni. Dlatego właśnie nie pozwalali wykonawcom swoich poleceń na bezpośrednie kontakty. Schemat działania był mniej więcej taki: ktoś poprzez ogniwo neutralne zawiadamia kogoś o tym, że w danym miejscu i czasie czeka przesyłka, którą ów drugi ktoś ma podjąć. Ten pierwszy dostarcza tymczasem przesyłkę określonej osobie, która z kolei ma ją dostarczyć na punkt odbioru. Owa osoba jest pod ścisłą kontrolą, która jest dyskretna, lecz bezwzględna, nie można jej uniknąć. Rolę posłańców z wiadomościami spełniali ludzie, których tak pięknie rozpracowała porucznik Karasiówna - Grot gestem uznania skłonił głowę. - Natomiast rola posłańca z przesyłkami przypadła naszej ekspedientce z Mękowa, pannie Wykrot. Jak wiemy, panna Wykrot do końca wywiązywała się ze swoich zadań bezbłędnie.

Teraz dochodzimy do sprawy zabójstwa Rolaka.

W przeddzień zabójstwa zadzwoniła do niego panna Wykrot z propozycją spotkania nazajutrz o świcie. Nie było w tym nic dziwnego, bo przecież myśliwi wychodzą do lasu przed brzaskiem. Chodziło tylko o to, aby to spotkanie odbyło się w nieuczęszczanej części lasu, z daleka od innych

myśliwych. Rolak wyraził zgodę. Wykrotówna oczywiście nie przysłała, umówiła się bowiem na polecenie swoich mocodawców. Muszę dodać, że przynajmniej część tej telefonicznej rozmowy usłyszała pani Sosnowska. Była w Rolaku zakochana nieprzytomnie i niewyobrażalnie zazdrosna. Krytycznego dnia, również wczesnym rankiem, wybrała się do Bydgoszczy. Tak przynajmniej oświadczyła mężowi, aby usprawiedliwić wczesne wyjście z domu. Mąż odwiózł ją na przystanek kolejowy, skąd natychmiast wróciła do lasu. Znała las doskonale, odszukanie miejsca schadzki było dla niej fraszką. Wcześniej zabrała pistolet Rolaka, chyba raczej po to, aby nastraszyć rywalkę i u drammatyzować sytuację, niż po to, aby go użyć. Spóźniła się, Rolak na kilka chwil przed jej przybyciem został zastrzelony. Właściwie niepotrzebnie jeszcze raz opisuję wypadki, które są wam znane.

- W tej chwili najbardziej interesuje mnie co innego - przerwał Wójcik. Starał się mówić spokojnie, ale nie mógł powstrzymać drżenia głosu. - Jak to się stało, że tamtej nocy, kiedy podjęliście akcję na paśniku, nikt nie pilnował nadleśnictwa i nikt nie przeszkodził Grażynie w jej eskapadzie, która, aż trudno uwierzyć, że skończyła się tak, jak się skończyła.

Grot dorzucił do ognia wiązkę chrustu. Odpowiedział nie patrząc na nikogo:

- Grażyna dała słowo, że nie wyjdzie poza obręb nadleśnictwa. No i ty tam byłeś, Grzegorzu.

Wójcik milczał. Nie chciał przedłużać dyskusji na temat ukochanej kobiety i za to porucznik ciepło go w myśli pochwalił. Rybackiemu nie dane było jednak długo upajać się błogim spokojem. Major Grot postarał się o to, jak zwykle.

- Poza wszystkim na posterunku w bezpośredniej bliskości nadleśnictwa był nasz znakomity młody przyjaciel,



porucznik Stefan Rybacki. Musiał jednak opuścić miejsce postoju z przyczyn obiektywnych, co zresztą było przewidziane jako ewentualność w planie jego działania. Grażyna wyszła z domu niestety później.

## *Rozdział 34*

**R**ęce Grotowej wyciągnięte nad płomieniem drżały. Błyszczącymi oczami wpatrywała się w męża, który mówił dalej.

- Stało się więc tak, że Grażyna niechcący natknęła się na faceta, który wybierał się właśnie po odbiór rodowego klejnotu Radziwiłłów, ukrytego w jednym z paśników. Nie myśląc, pod wpływem emocji, o niebezpieczeństwie, udała się za nim. Człowiek nie był jej znany, choć wyszedł ze znanego jej domu i to w okolicznościach nieco tajemniczych. Jak się później okazało, nocny turysta nazywa się Albin Kolski i jest pracownikiem spółdzielni „Las”. To on okazał się bezpośrednim odbiorcą przesyłek, których doręczycielem na ostatnim etapie była uroczą panną Wykrot. Niestety, po zatrzymaniu go w punkcie odbioru, czyli przy paśniku, nie znaleźliśmy przy nim historycznej broszy naszych dawnych, kresowych ksiąząt.

- Właśnie! Co z klejnotem? - zawołała Wiesława.

- Czyżby jednak zjadły go jelenie? - wtrąciła kpiąco Grotowa.

Major chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go Wójcik.

- Ze słów majora wynika, że spodziewał się tę broszę znaleźć albo przy Kolskim, albo w paśniku. Nie znalazł jej, jak słyszeliśmy. Czy to znaczy, że pod tym względem akcja nie przyniosła rezultatów? Że klejnotu nie odzyskano?

Grot uśmiechnął się, spojrzął na zegarek.

- Na te pytania odpowiem za jakieś pół godziny. Mam nadzieję, że brosza Radziwiłłów mimo wszystko się znajdzie. Na razie wróćmy do przygody Grażyny.

Otóż w drodze do paśnika pan Albin Kolski zauważył w pewnym momencie, że ma niepożądane towarzystwo. Przywarował za jakimś krzaczkiem, zapewne nie tylko z prostej ciekawości, no i dalej już wiecie.

Danuta wzdrygnęła się jak polana lodowatą wodą.

- Czy on... czy on chciał ją zabić? - zapytała z trudnością.

- Wszystkiego jeszcze nie wiemy - major stracił wiele ze swojej niedawnej obojętności. - Ale dowiemy się. I to wkrótce. W każdym razie dzięki Grażynie złapaliśmy ptaszka...

- Jak to, dzięki mnie?! - zdumiała się Bułeczka.

- Dzięki tobie. Bo facet stracił przez ciebie kilkanaście lub kilkadziesiąt drogocennych minut i w tym czasie nasi ludzie zdążyli się na powrót usadowić przy paśniku, gdzie miała być ukryta brosza Radziwiłłów. Na powrót, ponieważ przez tę chryję z solą, którą podrzucił leśniczy Wykrot, zdjęliśmy stamtąd posterunek i dopiero w ostatniej chwili napraviliśmy to niedopatrzenie. Wywiadowca Kalinowski z kolegą po raz wtóry zjawili się przy paśniku dosłownie na dwie minuty przed przyjściem Kolskiego. Należą ci się klapsy, Grażynko, za lekkomyślność i jednocześnie słowa uznania za inicjatywę.

- Dziękuję - mruknęła dziewczyna. Była dziecinnie uradowana i nie udawało jej się tego ukryć. - Mamusia zapomniała mnie zapisać do milicji, dlatego ani twoje pochwały, ani nagany nic mnie nie wzruszają.

Major zaśmiał się krótko, swobodnie.

- Poruczniku Rybacki! Czy teraz rozumiecie, jaki był

cel wyprawy Wykrota z solą na jelenie? Wyjaśnijcie to naszym przyjacielom.

- Chodziło o odwrócenie uwagi od tego konkretnego paśnika i poprzez pozorną jego dekonspirację, jako punktu kontaktowego, wmówienie nam, że nic się już w tym miejscu nie stanie.

- I rzeczywiście nic się nie stało - sarkastycznie zaśmiał się Wójcik. - Bo klejnotu w paśniku nie było i Kolski nie mógł go przejąć. Wyście go również nie znaleźli. Pod tym względem eskapada Grażyny była bezcelowa.

- Nie zgadzam się - zaoponował Grot. - Dzięki Grażynie wiemy, kto przejmował przesyłki. A to już bardzo wiele.

Grot bez pośpiechu wyciągnął giewonta i wsadziwszy nos w przygasłe już ognisko, głośnymi pyknięciami przypalał papierosa od żaru. Zaczął z innej beczki.

- Z chwilą, gdy podjęliśmy uzasadnione podejrzenie, że Rolak został zastrzelony z własnej dubeltówki, musieliśmy także założyć, że zabójstwa dokonał ktoś, kto miał do tej broni łatwy dostęp. Czyli ktoś z ludzi mieszkających w nadleśnictwie albo tam pracujących.

Napięcie rosło. Grot zdawał się tego nie wyczuwać. Zaciągnął się dymem i mówił spokojnie dalej.

- Myśliwych szybko wykluczyłem z kręgu podejrzanych. Wyszli z domu wszyscy razem, żaden z nich nie miał możliwości zabrania z sobą dubeltówki Rolaka w tajemnicy przed kolegami. Jechali jednym samochodem, razem wysiedli z niego w łowisku, razem wrócili do nadleśnictwa. Dość łatwo udało się to ustalić. A więc dubeltówkę zabrano po wyjeździe myśliwych i uczynił to ktoś, kto mógł się po terenie nadleśnictwa poruszać bez zwracania uwagi, a jednocześnie miał tyle czasu, by zdążyć na rzekome spotkanie Rolaka z Wykrotówną. I musiał znać termin i miejsce spotkania. Tym kimś mógł

być z powodzeniem nadleśniczy lub jego żona. Porucznik Rybacki przyjmował to na pewnym etapie śledztwa jako pewnik.

- Miał podstawy - przerwała majorowi Karasiówna.

W tym momencie porucznik gotów był ją ucałować z wdzięczności za niespodziewaną odsiecz. Nie z samej zresztą wdzięczności, bo w blasku ogniska Wiesia wyglądała szczególnie ponętnie i Rybacki musiał zdobyć się na ogromny wysiłek, aby nie okazać jej większego zainteresowania, niż to wynikało z sytuacji.

- Wyeliminowanie z kręgu podejrzanych państwa Sosnowskich było trudne, zważywszy na charakter ich związków z Rolakiem. Dopiero po dokładnym ustaleniu faktów można było zająć się bliżej innymi osobami. I wtedy właśnie stały się zrozumiałe, przynajmniej dla mnie, wydarzenia w „Leśnej”, które, choć do zagadki morderstwa nie miały bezpośredniego odniesienia, okazały się kluczem do jej rozwiązania. Pod jednym warunkiem, który trzeba było przyjąć: że śmierć Rolaka wiąże się z jego zainteresowaniem sprawą przemytu kosztowności.

- Nie rozumiem - bąknął Wójcik.

- W „Leśnej” pracowała jako barmanka Ewa Kolska...

- Córka głównej księgowej nadleśnictwa, pani Rzęsy! - wykrzyknęła Wiesia.

- Zięc pani Rzęsy, Albin Kolski, był pracownikiem „Lasu” - ciągnął major. - Z racji swojej roboty jeździł po całym kraju. To on właśnie dostarczał do rąk odbiorców albo do rąk przedstawicieli tych odbiorców kosztowne przesyłki. Marynarzom w portach, niektórym zagranicznym korespondentom, pracownikom obcych placówek.

- A więc jednak Kolski... - powiedziała Danuta.

Grot przeszedł do porządku nad tą uwagą.

- Wiadomości przekazywane w taki niecodzienny sposób trafiały natychmiast do nadleśnictwa przez Ewę Kolską. Konkretnie do pani Rzęsy. Ona była tutaj szefem przemytniczej placówki i jednym z głównych organizatorów gangu na szczelbłu centrali. Ona jest także mordercą redaktora Romana Rolaka.

Zaskoczenie trwało kilka długich sekund. Potem jednocześnie posypały się okrzyki:

- Niemożliwe!
- Kto by się spodziewał?!
- Gdzie dowody?!
- Jak to?!

Major Grot wrzucił do ognia niedopałek. Skubnął wargę, powiódł spojrzeniem po rozgorączkowanych twarzach.

- Główna księgową od dawna miała na oku Rolaka. Jego zainteresowanie sprawami, którymi nie powinien się być interesować, stawało się dla gangu coraz bardziej niebezpieczne. Wręcz groźne zaczęło być ostatnio na skutek jego konszachtów z Wykrotówną, która swojego nieznanego mocodawcę, właśnie panią Rzęsę, o tym poinformowała. Być może, a ośobiście jestem skłonny przypuszczać, że na pewno, Rzęsa przeglądała papiery Rolaka. Nie sprawiło jej to większego kłopotu.

Wiemy przecież, że pokoje myśliwych nie były zamykane i praktycznie każdy mógł się do nich dostać bez najmniejszego ryzyka. W notatkach Rolaka pani Rzęsa odkryła pewien rysunek z uwagą, która ją wstrząsnęła. Był to rysunek paśnika i dziwaczny dla osób postronnych podpis: „Jelenie jedzą klejnoty”. Rzęsa nie miała wątpliwości: Rolak albo już odkrył całą prawdę, albo był o krok od jej odkrycia. Postanowiła działać natychmiast i zdecydowanie. Poprzez Wykrotównę nakłoniła Rolaka do odejścia daleko od kolegów i sama udała się w jego ślady. Po wyjeździe myśliwych, a później Sosnowskich,

wykradła dubeltówkę, wzięła kilka naboí i na rowerze udała się do lasu. Broń ukryła gdziekolwiek - w torbie, w plecaku, ostatecznie pod płaszczem. Rozłożona dubeltówka nie zajmuje zbyt wiele miejsca. W lesie złożyła broń, nabiła ją i zastrzeliła Rolaka w pierwszym momencie, gdy się tylko pojawił. Wytarła także z broni odciski palców, a jeżeli nawet tego nie zrobiła, wyręczył ją nadleśniczy, na skutek zbiegu okoliczności przekonany, że sprawcą zabójstwa jest jego żona. Pani Rzęsa nie zdążyła jednak dokonać jednej ważnej rzeczy. Nie zabrała mianowicie dokumentów Rolaka z kompromitującym rysunkiem i notatką. Prawdopodobnie spłoszył ją warkot samochodu, którym wracał Sosnowski, albo może usłyszała nadchodzącą jego żonę. Dalszy przebieg wypadków znać.

- Bardzo piękna opowieść, towarzyszu majorze. Boję się, że nazbyt piękna - powiedziała Karasiówna z niedowierzaniem. - Bo gdzie dowody, że macie rację?

Grot wstał, przeciągnął się, aż mu zatrzęszczało w stawach i parsknął krótkim, zduszonym śmiechem.

- Jest jeden dowód. Tylko jeden, ale wystarczający.

- Jaki? - zapytał Wójcik.

- Odciski linii papilarnych pani Rzęsy.

- Gdzie? Na czym? Przecież dubeltówka była wytarta do czysta - włączył się Rybacki.

- Nie tylko przestępcy popełniają błędy. Niedopatrzienia zdarzają się także w milicji. Naszemu wojewódzkiemu laboratorium wydarzyło się takie jedno niedopatrzenie, które kosztowało nas trochę czasu i jałowego wysiłku. Jak pamiętacie, na dubeltówce Rolaka nie znaleziono niczych odcisków palców. Taki meldunek, zresztą zgodny ze stanem faktycznym, otrzymaliśmy od naszych ekspertów. Eksperci nie dołączyli jednak do sprawozdania wyniku badania łuski po wystrzelonym ładunku, który, jak pamiętamy, tkwił w lufie dubeltówki.

Niestety wynik ten dotarł do nas oddzielnie i z opóźnieniem. W każdym razie na gilzie znajdowały się odciski palców pani Rzęsy i wyłącznie jej palców, niczych więcej.

- Dlaczego nie wyjęła łuski? - zapytała Bułeczka. - Musiała się przecież orientować, czym to grozi?

- Nie była w stanie. Nabój zaklinował się w lufie, czego nie mogła przewidzieć.

- Nie tylko łuska jest koronnym dowodem przeciwko księgowej Rzęsie - wtrącił porucznik, gdy minęło pierwsze zdumienie. - Obywatel major jest zbyt skromny.

- Coś jeszcze? - nie wytrzymała Wiesława.

- Major przeprowadził pewien eksperyment, na którego pomysł mógł wpaść tylko on.

- No, no? - z komicznym powątpiewaniem zawiesiła głos Grotowa.

- Nie wiem, czy wolno... - porucznik spojrzął z ukosa na zwierzchnika.

Ten machnął ręką z rezygnacją.

- A mów, mów, jeśli ich to ciekawi. Ale że się rozczarują, to pewne.

- Ten eksperyment był związany z Janiną Wykrot, która przebywała już wówczas w areszcie. Otóż obywatel major wpadł na pomysł, aby dokonać pewnego rodzaju konfrontacji Wykrotówny z ewentualną osobą, która mogła być jej nieznanym mocodawcą. Jak pamiętamy, dziewczyna nigdy owego mocodawcy nie widziała, polecenia otrzymywała telefonicznie, ale głos był taki, że nie była nawet w stanie określić, czy należy on do mężczyzny czy kobiety. Konfrontacja więc mogła być dokonana tylko telefonicznie. Zrobiliśmy to tak, że zaproszona do obywatela majora na rozmowę pani Rzęsa porozmawiała sobie ze swoją chrześnicą, czyli z panną Wykrot, właśnie przez telefon. Ale słuchawki były dwie. W jednej

z nich membranę owinęliśmy kawałkiem płótna i rozmowę nagraliśmy na magnetofon. Dla pani księgowej ten aparat nie działał, za co ją obywatel major przeprosił, że niby to pomyłka, dopiero przez drugi nastąpiło połączenie. Siedziałem podczas tej rozmowy przy panie Wykrot i mogę was zapewnić, że głos matki chrzestnej z niczym się jej nie kojarzył. Później przegraliśmy jej taśmę z nagraniami fragmentów kilku różnych rozmów przez ten pierwszy, rzekomo nieczynny aparat Trzech nagrań wysłuchała obojętnie, za to przy czwartej rozmowie zemdląca. Po prostu zemdląca, ponieważ poznała głos swojego mocodawcy. Nie powiedzieliśmy jej, że jest to również głos Rzęsy, tyle że zmieniony przez kawałek szmatki na membranę, ale będziemy to musieli w pewnym momencie zrobić.

Bułęcka słuchała z niedowierzaniem.

- Chce pan powiedzieć, że księgowa za każdym razem, kiedy łączyła się z Wykrotówną, rozkręcała telefon i owijała membranę?

- Nie musiała tego robić - powiedziała żywo Wiesława. - Wystarczyło, że mówiła przez chusteczkę do nosa lub kawałek ligniny. Stary kawał.

- Nawet ja o czymś takim słyszałem - mruknął Wójcik. - Ale porucznik ma rację. Trzeba było na to wpaść, żeby i od tej strony przygoździć zbrodniarkę.

## *Rozdział 35*

**N**a drugim brzegu coś się działo. Słysząc było stłumioną rozmowę, rozległ się plusk wody. Po chwili na tafli jeziora zamajaczył jakiś cień, który wkrótce okazał się pontonową łódką zmierzająca wyraźnie ku wyspie. Kiedy łódka dobiła do



brzegu, wyskoczył z niej sierżant Polański. Podeszedł do zebranych i w przepisowej postawie stanął przed Grottem.

- Obywatelu majorze! Sierżant Polański...

Ten machnął niecierpliwie ręką.

- Jak tam, sierżancie, w porządku? - zapytał. W jego głosie wyczuwało się napięcie.

- Melduję, że wszystko zgodnie z planem, obywatelu majorze - sierżant sięgnął do zawieszanej na piersiach torby, wyciągnął z niej niewielką paczuszkę. - Tutaj jest przedmiot, o który chodziło.

Grot z hamowaną niecierpliwością rozwinął paczuszkę. W blasku ogniska zaświeciło coś tysiącem iskier. Grot odetchnął głęboko.

- Oto słynny klejnot rodowy Radziwiłłów! - powiedział unosząc w dwóch palcach broszę. - Przedmiot naszych poszukiwań i... powód morderstwa.

Wszyscy stłoczyli się przy Grocie. Rozległy się okrzyki zdumienia i niedowierzania.

- Więc jednak?

- Gdzie ją znaleźli?

- Fredek, jesteś cudowny!

- Żądamy wyjaśnień!

Major Grot poczekał, aż podniecenie zebranych opadnie.

- Uspokójcie się, moi drodzy. Zaraz wszystko wam wytłumaczę. Ale najpierw usiądźcie i dajcie mi dość do głosu. Sierżancie - oddał klejnot Polańskiemu - na razie miejcie jeszcze ten skarb pod swoją opieką.

Ucichli, sadowiąc się z powrotem wokół ogniska. Grot zapalił kolejnego papierosa.

- Jak już wiecie - zaczął - wbrew oczekiwaniu, przy Kolskim klejnotu nie znaleźliśmy. Nie znaleźliśmy go również w paśniku ani w jego pobliżu, choć po owej nocy, skoro świt, przetrząsnęliśmy każdy krzaczek, każdą kapkę mchu, każdą

mysią norę. Przyznaję, że wtedy na krótki moment zwątpiłem w powodzenie naszej akcji. A przecież klejnot powinien się znaleźć w paśniku i ktoś go stamtąd musiał zabrać. Tylko kto i kiedy? I co z nim zrobił? Jeszcze raz przeanalizowałem wszystkie dane, jeszcze raz przesłuchałem niektóre osoby. I wtedy doszedłem do wniosku, że poza panią Rzęsą musiał być ktoś w nadleśnictwie, kto działał z ukrycia nawet w stosunku do bohaterów afery, o kim nawet księgowa, jako szef placówki, nie miała pojęcia. Ten ktoś był doskonale zorientowany w planie działania zainteresowanych osób i włączył się w momencie, gdy ten plan działania został zagrożony. Wykorzystał przy tym czynnik czasu, który także dla nas grał zasadniczą rolę. Otóż krytycznego wieczora, kiedy Wykrotówna otrzymała dziwne polecenie ukrycia w paśniku najpierw zawiniątka z solą, potem zaś dostarczenia na to samo miejsce właściwej przesyłki, zjawił się u niej w sklepie jeden z myśliwych z Kłownowa. Jak to się mówi, przypiął się do dziewczyny i nie spuszczał jej z oczu również po zamknięciu sklepu. Chciał ją namówić na spacer, potem odprowadzić do domu. Wykrotówna nie zgodziła się, miała przecież do wykonania określoną misję jednak facet nie dawał za wygraną. Szedł za nią tak, żeby go widziała i żeby nie mogła w wyznaczonym czasie wypełnić otrzymanego polecenia. Dziewczyna postanowiła więc wstąpić w Mękowie do znajomych w przekonaniu, że niepożądany adorator wreszcie się znudzi i da jej spokój. Tamten jednak był uparty. Wykrotówna dwa razy wychodziła od znajomych i dwa razy widziała go czatującego na drodze. Dopiero za trzecim razem już go nie zobaczyła. Na wszelki wypadek poprosiła koleżankę, aby ją kawałek odprowadziła, ale nawet poza osiedlem nie było nikogo. Uspokojona pożegnała przyjaciółkę i udała się do lasu. Zanim jednak dotarła do paśnika, zrobiło

się późno. Myślę, że dochodziła pierwsza.

- Czyli było to jakąś godzinę po zatrzymaniu Kolskiego - wtrącił Rybacki, korzystając z tego, że Grot przerwał na chwilę swoją relację. - Nic dziwnego, że Kolski nie znalazł broszy.

- Ów myśliwy oczywiście śledził ekspedientkę, ale tym razem absolutnie dyskretnie - podjął Grot. - Myślę, że brosza znalazła się w jego posiadaniu nie później niż w minutę po jej ukryciu w paśniku. Powrót do nadleśnictwa był fraszką, chodziło teraz tylko o ukrycie klejnotu. O takie ukrycie, później zaś wywiezienie z miejsca zagrożenia, żeby uzyskać maksimum bezpieczeństwa. Facet mógł się przecież spodziewać, że pod byle pozorem zechcemy jeszcze raz dokładnie przejrzeć rzeczy osób w jakiś sposób związanych z dramatem.

- Kto to był? - tym razem nie wytrzymała Bułeczka.

- Gdzie ukrył broszę? - dorzuciła Wiesia.

Major uśmiechnął się niewyraźnie.

- Mógł to być tylko jeden z dwóch myśliwych: Rudek albo Węgierski. Inżynier Wójcik, z powodów wam już znanych, nie wchodził w rachubę. Tak więc krąg się zacieśnił, a wyjście z tego kręgu musiało być wyznaczone tylko przez broszę Radziwiłłów. I tak się stało. Sierżant Polański znalazł broszę, przez nią zaś zidentyfikował człowieka, o którego nam chodziło. Sierżancie! - Grot zwrócił się do Polańskiego. - Gdzie znaleźliście klejnot?

Polański przestąpił z nogi na nogę.

- Melduję, że tam, gdzie obywatel major kazał szukać. W grzybach.

- W grzybach? - Danuta aż usta otworzyła ze zdumienia.

- W jakich grzybach? - zachnął się Wójcik.

Grot zachował niezmałony spokój.

- W grzybach, które panowie myśliwi zbierali na polowaniu, które suszyli, marynowali, zalewali masłem, składali do torebek. Sierżancie, kto miał te grzyby z broszą?

- Przecież obywatel major wie. Doktor Węgierski.

Zrobiło się tak cicho, że słychać było niemal bicie serc.

- Tak też myślałem - Grot machinalnie skubnął wargę. - Woreczek czy słój z grzybami były idealnym schowkiem dla wywiezienia klejnotu z Klonowa. Chodziło jednak o to, kto ten schowek wywiezie. Tym razem się nie pomyliłem. Tym kimś był Węgierski.

- Jak obywatel major do tego doszedł? - zapytała Karasiówna niemal bez tchu.

- Do czego? Że Węgierski będzie miał broszę? Domyśliłem się z zeznań Janiny Wykrot. Tylko w jaki sposób miał ją wywieźć z Klonowa, jeśli przy paśniku schwytaliśmy najpierw Wykrota, a później Kolskiego? Przyznam się, że Kolskiego uważałem również raczej za dostawcę kosztowności niż odbiorcę. Dlatego zniknięcie klejnotu wprawiło mnie w ogromne zakłopotanie. Nie wiedziałem, gdzie go teraz szukać, bo przecież trudno było założyć, że jego posiadacz włożył go sobie po prostu do kieszeni lub pozostawił w miejscu, gdzie byłby łatwy do znalezienia. Jednocześnie zakładałem, że musiał go mieć blisko siebie, pod ręką, aby go zabrać przy pierwszej nadarzącej się okazji. O tym, żeby taki skarb mógł pozostać bez opieki, zwłaszcza po zabójstwie Rolaka, nie było mowy. Musiał więc spróbować. Tylko jak?

Major spojrzał na Rybackiego.

- Pamiętacie, poruczniku, nasze pożegnanie z myśliwymi, konkretnie z Rudkiem i Węgierskim? Redaktor Rudek powiedział wtedy, że nie weźmie grzybów, boby żadnego z nich nie mógł przełknąć ze względu na sytuację, w jakiej

były zbierane, natomiast doktor Węgierski...

- Węgierski powiedział wtedy - podjął porucznik - że grzyby nie mają nic wspólnego ze zbrodnią czy, jak to on to nazwał, nieszczęściem, i nie widzi powodu, żeby z nich zrezygnować.

- Otóż to. Wtedy właśnie upewniłem się w przekonaniu, że prawdziwym bohaterem przemytniczej afery, choć nie mordercą, jest Węgierski i że wywiezie skarb właśnie w grzybach. Dlatego poleciłem sierżantowi Polańskiemu zatrzymanie na drodze fiata, którym Rudek z Węgierskim wracali do domu i pod pretekstem, że taki wóz został skradziony, przetrzymanie myśliwych z dala od samochodu dopóty, dopóki nasi funkcjonariusze nie przeprowadzą dokładnej rewizji. Jak widzicie, akcja przyniosła oczekiwany wynik.

Major Grot przerwał, jakby w oczekiwaniu na pytania. Nikt się jednak nie odezwał. Wójcik popatrzył na wygwieżdżone niebo.

- Jutro znowu będzie pogoda - mruknął. - Ciekawe, czy jelenie będą jeszcze ryczeć.